



ARTUR ŚLIWIŃSKI

KRÓL
WŁADYSŁAW IV

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

KRÓL WŁADYSŁAW IV



T E G O Ź A U T O R A :

- MICKIEWICZ JAKO POLITYK. — Kraków, 1908 (*Wyczerpane*).
JOACHIM LELEWEL. — *Zarys biograficzny 1785—1831.*
Warszawa, 1918.
MAURYCY MOCHNACKI. — *Żywot i dzieła. Wydanie drugie.*
Warszawa, 1922.
POLSKA NIEPODLEGŁA. — *Opowiadania z dziejów Polski.*
Warszawa, 1919.
TADEUSZ KOŚCIUSZKO. — *Wydanie drugie.* Warszawa, 1922.
NARÓD, WÓDZ i WOJSKO. — Warszawa, 1924.
STEFAN BATORY. — Warszawa, 1922.
HETMAN ŻÓŁKIEWSKI. — Warszawa, 1920.
JAN KAROL CHODKIEWICZ. — *Hetman wielki litewski.*
Warszawa, 1922.
KRÓL WŁADYSŁAW IV. — Warszawa, 1925.
WOJNY Z KOZAKAMI ZA JANA KAZIMIERZA.
(*W przygotowaniu*).
JAN SOBIESKI. — *Wydanie albumowe, z 110 rys.* — Warszawa, 1924.
JAN SOBIESKI. — *Wydanie zwykłe, z rys.* — Warszawa, 1925.
KONSTITUCJA 3 MAJA. — *Wydanie trzecie.* Warszawa, 1921.
POWSTANIE KOŚCIUSZKOWSKIE. — *Wydanie drugie.*
Warszawa, 1920.
POWSTANIE LISTOPADOWE. — *Wyd. piąte.* Warszawa, 1921.
POWSTANIE STYCZNIOWE. — *Wyd. drugie.* Warszawa, 1921.



Władysław IV, według portretu Rubensa.

A R T U R Ś L I W I Ń S K I

K R Ó L
W Ł A D Y S Ł A W I V



104022
WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

1374

BIBLIOTEKA UNIwersYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0184008



4130

M. ARCT — ZAKŁADY WYDAWNICZE

Sp. Akc. w Warszawie.

WARSZAWA, KSIĘGARNIA, NOWY-ŚWIAT 35.

ODDZIAŁY I PRZEDSTAWICIELSTWA:

GDANSK, Tow. „Ruch”, Rynek Kaszubski.

KATOWICE, Księgarnia Polska, Poprzeczna 2.

KRAKÓW, Księgarnia Jagiellońska, Wiślna 3.

LUBLIN, M. Arct i S-ka, Krak.-Przedm. 17.

LWÓW, Księgarnia Naukowa, Zimorowicza 17.

ŁÓDŹ, M. Arct i S-ka, Piotrkowska 105.

NEW-YORK, Polish Book Importing Co.

POZNAN, M. Arct, Księgarnia, plac Wpłność 7.

RÓWNE, Księgarnia Naukowa, Szosowa 27.

WILNO, Księg. Słow. Naucz. Polsk., Królewska 1.

Druk, M. Arcta w Warszawie, N.-Świat 41

W S T Ę P

W żadnym okresie swych dziejów nie przedstawiała Rzeczpospolita takiego obrazu kontrastów, jak za panowania pierwszego na tronie polskim Wazy. Od wielkich mężów, jak Zamoyski, Żółkiewski, Chodkiewicz, Koniecpolski, których potężne umysły i ramiona wznosiły Polskę ku szczytom, dziwnie odbijał mały król, co w otoczeniu małych ludzi z szerokich gościńców idei nieustannie spychał państwo na bezdroża. Za panowania Zygmunta III znakomite dzieła i czyny graniczyły z intrygą, po triumfach następowały klęski, po klęskach triumfy, a siła ciągle splatała się z niemocą. Głośnie w świecie zwycięstwa polskie kończyły się bądź ustępstwami na rzecz zwyciężonych, bądź, niedoprowadzone do końca we właściwym czasie, wywoływały krwawy odwet i spadały plagami na zwycięską Polskę.

Wybitniejsi statysci dobrze widzieli niebezpieczeństwa, wynikające z takiego stanu rzeczy dla państwa, ale ogół, któremu dymy chwały wojennej zasłaniały rzeczywistość, wierzył w potęgę Rzeczypospolitej i niefrasobliwem okiem spoglądał w przyszłość. Tymczasem była to już potęga pozorna: rozszerzeniu granic Polski towarzyszył upadek jej powagi nazewnątrż, a rozkład

wewnętrzny, osłaniany bujnością życia i temperamentów polskich, zastraszające czynił postępy.

Polska za Zygmunta III żadną ideą nie z bogaciła dziedzictwa, które sprowadzony ze Szwecji król otrzymał w spadku po Jagiellonach i Stefanie Batorym. Najwyżsi cnotą, rozumem i patriotyzmem mężowie, skutkiem polityki króla, paraliżowani na każdym kroku w swych zamiarach, nie mogli porwać za sobą narodu i odegrać roli, do jakiej byli przeznaczeni. Poza ich wpływem kształtowały się najważniejsze wypadki, wbrew ich woli zapadały najdonioślejsze decyzje. Na czele stronnictw, które opanowały ówczesne życie w Polsce, stali mali ludzie i małe sprawy górowały nad wielkimi ideami. Walka wewnętrzna, prowadzona bez wyższych celów, wytworzyła atmosferę, w której dominowała nad wszystkim nienawiść i nieufność wzajemna walczących. W pożarze tej walki spalały się na popiół idee niedawnej przeszłości. W sercach, palających ku sobie nienawiścią, nie było miejsca na twórczą miłość ojczyzny. Ogół żył w samobójczej beztrosce o przyszłość.

A na tronie polskim po królu Stefanie, który miał wielkie ambicje państwowe i dążył do tego, by Rzeczpospolita zajęła przodownicze stanowisko w Europie, zasiadał król intrygant i fanatyk, stawiający własny swój interes ponad interesy narodu.

Dumny, chytry i skryty Zygmunt nie postępował otwarcie, lecz czał się i najczęściej krętymi drogami szedł do przyświecającego mu celu. Uparty, choć niezdecydowany w działaniu, otaczał się orszakami gotowych na wszystko pochlebców, stale odsuwając od siebie mężów, co jaśnieli charakterem, patriotyzmem i za-

sługą. Z ducha, serca i usposobienia obcy był narodowi. Podejrzewając wszystkich i we wszystkim wietrząc skierowaną przeciw sobie intrygę, sam knuł ciągle intrygi i stał się przedmiotem tak wielkich podejrzeń, że na ich tle przyszło do wojny domowej i przelewu krwi bratniej.

Zygmunt III stale podporządkowywał sprawy Rzeczypospolitej zamiarom reakcji katolickiej, planom wszechwładnych jezuitów i interesowi własnej dynastji. Wbrew woli narodu, zbliżył się do Austrii, pomógł cesarzowi w ujarzmianiu Czechów i Węgrów, wznowił walki z Turcją i, nie wyzyskawszy we właściwym czasie zwycięstw Żółkiewskiego nad Moskwą, przedłużył wojnę z niebezpiecznym i drapieżnym sąsiadem. Polityką swoją przysporzył Polsce wrogów, nie zjednał jej natomiast ani jednego szczerego sprzymierzeńca. Wkońcu przyczynił się do tego, że Rzeczpospolita, która za Stefana Batorego cieszyła się szacunkiem świata, wszędzie miała ukrytych lub jawnych nieprzyjaciół. Za jego to panowania państwo polskie zagubiło myśl twórczą, wkroczyło na manowce i zepchnięte zostało ze stanowiska wielkiego mocarstwa.

Przestając oddziaływać na rozgrywające się w Europie wydarzenia dziejowe, przeżywała Polska nieustanny kryzys wewnętrzny. Walka, którą wywołały zarówno intrygi króla, jak jego przeciwników, skończyła się moralną przegraną stron obu. Polała się krew, ale zwycięska dla króla bitwa nie doprowadziła go do celu. Na placu boju pod Guzowem najwięcej ucierpiała Rzeczpospolita. Bezelowy a krwawy posiew, zakończony melodramatyczną ceremonją przeprosin i wzajemnych ustępstw, wydał zatrute owoce: autorytet najwyższej

władzy został sponiewierany, a triumfujący republikanizm szlachecki pogłębił tylko anarchję, której fale coraz groźniej zaczęły podmywać fundamenty państwowe.

Również za Zygmunta III Polska, słynąca dotąd z tolerancji, sprzeniewierzyła się swej u obcych sławie. Fanatyzm szlachty, cieszący się poparciem króla, a podsycany nieustannie przez jezuitów, doprowadzał do zaburzeń i ciągłego wrzenia namiętności na tle wyznaniowym. Sprawy dysydentów najpoważniej zagrażały pracy twórczej sejmów, a zrażeni do Polski dyzunicy coraz częściej zwracali oczy w stronę schizmatyckiej Moskwy.

W związku z wzrostem wpływu jezuitów zaczęła się chylić do upadku oświata. Młodzież szkolna i akademicka pałała nienawiścią do innych wyznań. Wysuwając się na czoło w czasie rozruchów, napadała bezkarnie na domy prywatne i świątynie różnowierców, rozpędzała ich pogrzeby, przeszkadzała im w odprawianiu modłów. Różnowiercy tem samem odpłacali katolikom—i wzajemna nienawiść rosła. Prawda, że walki religijne w Polsce w porównaniu z walkami w innych państwach europejskich miały charakter nadzwyczajnie łagodny. Ale młode pokolenie w atmosferze tych walk wychowywane nie wносиło do życia technienia świeżości i zapału, lecz bojowość fanatyzmu i ciasnotę pojęć. Obniżał się poziom życia publicznego, karłała myśl państwowa, zacieśniały się dążenia Rzeczypospolitej.

Za panowania tegoż króla zaczęły się pierwsze na wielką skalę bunt y Kozaków. Krwawo tłumiono te bunt y, ale nie szukano środków, by żywił nad wyraz przedsiębiorczy i wojowniczy, żyjący wojną i w wojnie

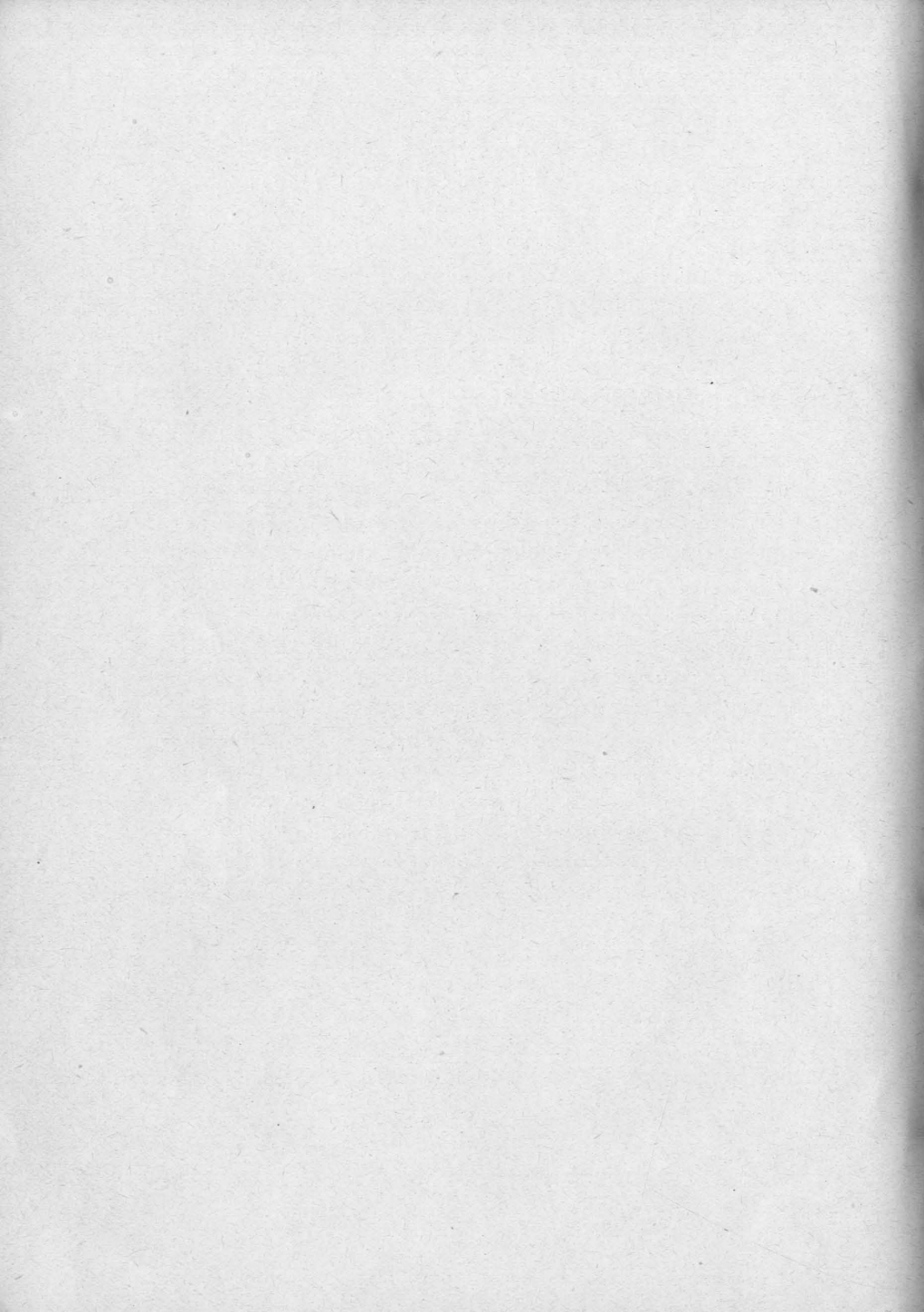
rozkochany, pozyskać na stałe dla obrony zewsząd zagrożonej Polski. Po każdym buncie Kozaków usiłowano zmniejszyć ich siły, ale wobec każdego niebezpieczeństwa wzywano pomocy niedawnych buntowników i najchętniej korzystano z ich usług. W ten sposób przyzwyczajano ich do lekceważenia rządów polskich i wychowywano sobie wroga, który miał czasem rozpalić tak olbrzymi pożar na ziemiach Rzeczypospolitej, że trzeba było wyłączenia wszystkich sił narodu, by ugasić ogarniające państwo płomienie.

Upadek miast i rozpaczliwe położenie włościan uzupełniały smutny obraz stosunków, panujących w kraju za Zygmunta III-go.

Widział dobrze ten stan rzeczy kanclerz Zamoyski; bolał nad upadkiem ducha obywatelskiego Piotr Skarga i straszliwymi prorocztwami starał się zbudzić w narodzie dążenie do poprawy; wybuchał gniewem na myśl o tem, co się dzieje w kraju gwałtowny Chodkiewicz i już tylko o śmierci w obronie ojczyzny marzył niesłuchany przez króla a szarpany przez ogół Żółkiewski.

Ponure dziedzictwo pozostawiał swemu następcy Zygmunt III Waza.

Na tle tego smutnego dziedzictwa jasno zarysować się miała pełna bohaterskich porywów, śmiałych planów i wielkich ambicij niepospolita postać króla Władysława IV.



I

MŁODOŚĆ WŁADYSŁAWA

Najstarszy syn Zygmunta III i pierwszej jego małżonki arcyksiężniczki austriackiej Anny, Władysław Zygmunt, urodzony 9 czerwca 1595 roku w Łobzowie pod Krakowem, od lat najmłodszych wzrastał w otoczeniu polskim i jako Polak był wychowywany. Miało to duże dla jego przyszłości znaczenie. Ojciec Władysława, acz mówił po polsku i szczycił się płynącą w jego żyłach krwią Jagiellonów, nigdy nie zbliżył się do narodu, który mu oddał berło królewskie. Przyjechawszy do Polski z dalekiej północy, musiał dopiero w kraju uczyć się obyczajów polskich, poznawać ludzi i stosunki miejscowe. Pomimo młodego wieku nie mógł się przyzwyczaić do tych stosunków, czuł się w Polsce nieswojo i do końca życia pozostał królem, obcym narodowi. Stefan Batory, acz następcę swego nieskończenie przewyższał umysłem i charakterem, nie znał języka polskiego i również nie umiał zaskarbić sobie serc szlachty. Ogół widział w nim zawsze cudzoziemca, a chociaż nieraz ugiął się przed żelazną wolą króla Stefana, to jednak przez cały czas panowania nie umiał wielkości

jego ocenić i nie darzył go swoją sympatją. A już całkiem nie mogli Polacy zrozumieć Henryka Walezego. Zgorszeni postępowaniem i obyczajami króla-Francuza, nawzajem gorszyli Henryka swą surową powagą i wydawali mu się barbarzyńcami. W ten sposób po śmierci ostatniego z Jagiellonów, między królami polskimi a narodem wznosiła się stale ściana wzajemnych uprzedzeń i niechęci. A brak duchowej więzi, łączącej społeczeństwo z najwyższym sternikiem nawy państwowej, często doprowadzał do nieporozumień i zgrzytów, które zakłócały życie publiczne i szkodę przynosiły krajowi.

Władysław IV nie potrzebował szukać drogi do sere polskich. Syn Szweda i Niemki, ale urodzony na ziemi polskiej, czuł się Polakiem, Polskę uważał od dzieciństwa za swoją ojczyznę, przejął wiele cech polskich, a usposobieniem i temperamentem bliski był Polakom. Zygmunt III rad otaczał się cudzoziemcami i najchętniej mówił po niemiecku. Władysław najmniej ten język lubił i czuł się najlepiej w otoczeniu polskim.

Wychowanie królewicza było sprawą, którą nawet sejm się zajmował, dając królowi wskazówki, jak ma postępować, jeśli sympatje narodu chce zapewnić swemu synowi. Już w r. 1605-ym hetman Stanisław Żółkiewski, przemawiając na sejmie warszawskim, domagał się, aby dziesięcioletni Władysław, prawdopodobny spadkobierca korony polskiej, „wyjęty był z opieki i konwersacji białogłowskiej” i męskiej opiece został powierzony. Obawiał się Żółkiewski, że wychowanie niewieście wyrobi w królewiczu charakter miękki i słaby, a chciał w nim widzieć męża ze stali, statystę i rycerza, dobrze rozumiejącego Polaków i wychowanego go polsku.

— „Druga rzecz,—mówił mądry hetman,— jest potrzebna, aby cudzoziemcy byli od wychowania królewicza jegomości oddaleni. Niech ten zaćny potomek waszej król. mości obcych narodów ludzi sobie nie smakuje, lud polski miłować się niech uczy”...

Przestrzegał nadto Żółkiewski Zygmunta, że nie intrygami, zmierzającemi do zaprowadzenia w Polsce dziedziczności tronu, ale jedynie właściwem wychowaniem swego syna zapewnić mu może wolne głosy szlachty w czasie przyszłej elekcji.

Król usłuchał tej rady i pieczę nad wychowaniem Władysława powierzył Polakom: kasztelanowi gdańskiemu Michałowi Konarskiemu i podkomorzemu koronnemu Zygmuntowni Kazanowskiemu. Do tego ostatniego szczerze się Władysław przywiązał, a z synami Kazanowskiego: najpierw Stanisławem, a później z Adamem żył długie lata w serdecznej przyjaźni. W naukach spობił się królewicz pod kierunkiem księdza Gabrjela Prevanciusa *), pochodzącego z Chełmży na Pomorzu.

Z wiadomości, które przedostały się do naszych czasów o mistrzu królewicza, przypuszczać należy, że był to człek niepospolity. Prevancius, syn ludu polskiego, kształcił się w Akademji Krakowskiej, a zwrócił na siebie uwagę tak wybitnemi zdolnościami, że sam król zajął się przyszłością biednego studenta i wysłał go po ukończeniu Akademji na dalsze studia do Rzymu i Paryża. Po powrocie do kraju powierzył mu nauczanie Władysława, a następnie młodszych jego braci. Prevancius zjednał sobie takie uznanie, że za zgodą sejmu

*) Nazwisko to, znane z tekstu łacińskiego, musiało brzmieć po polsku inaczej.

został w r. 1609 nobilitowany. Od imienia ucznia nadał mu król nazwisko Władysławowskiego i obdarzył herbem, który był również dowodem wielkiego uznania: na prawem polu tarczy herbowej widniało skrzydło orła białego, na lewem—korona królewska. Wiadomo jeszcze o Władysławowskim, że zczasem został sekretarzem królewskim, że był kanonikiem plockim i chełmińskim.

O stosunkach pomiędzy nauczycielem a uczniem brak bliższych wiadomości, są tylko dane, że stosunki te były bardzo serdeczne. Prevancius-Władysławowski całe swe życie z największem uwielbieniem wspominał Akademię Krakowską, a w testamencie swym zapisał jej 30.000 złp. na wzniesienie nowego gmachu dla kolegium (dziś gimnazjum św. Anny). Otóż Władysław, już jako król, zatwierdzając ten testament w r. 1633, z wielką wdzięcznością wspominał pracę nad swoim wykształceniem, a nie wahał się powiedzieć, że jak drugiego ojca miłował całym sercem swego nauczyciela.

Prevanciusowi zawdzięczał króliewicz rozległą wiedzę, którą z biegiem lat sam uzupełniał, a która pozwalała mu imponować uczonym cudzoziemcom. Prawdopodobnie od mistrza swego przejął również gorące zamiłowanie do sztuk pięknych i wszelkich umiejętności. To zamiłowanie przerodziło się w znawstwo tak wielkie, że w artystycznym i naukowym świecie Europy stał się później wielce poważanym królem-mecenasem. We Włoszech kilku poetów rymami, kilku uczonych prozą głosiło sławę Władysława; cieszyli się jego opieką artyści, jak słynny Hondius i Baer, garnęli się do niego ludzie nauki, z którymi najchętniej obcował, albo też, jak z Galileuszem, zapomocą korespondencji pod-

trzymywał stosunki. Na dworze Władysława wiele lat gościł znany dyplomata, a zarazem fizyk i astronom, zakonnik Walerjan Magni i stale informował swego protektora o rozwoju i postępach nauk ścisłych. Ten dwór głośny był z bogatego księgozbioru i cennych dzieł sztuki, słynał po świecie ze znakomitej (pierwszej w Polsce) trupy operowej i orkiestry, uchodzącej za jedną z najlepszych w Europie.

Wielki miłośnik sztuk pięknych i umiejętności, Władysław, dzięki wykształceniu i żywości umysłu, pod niejednym względem wyprzedził swą epokę. Nie mając w sobie nic z fanatyzmu ojca, wyższy ponad przesady czasu, szczerze bolał nad zakłócającymi spokój Rzeczypospolitej waśniami religijnymi, widział upośledzenie mieszczan i niedolę chłopów, współczuł z wszelką biedotą, był czuły na zanoszone do niego skargi i, jak to okaże się później, często brał w obronę uciskanych, gromiąc za nadużycia zarówno szlachtę, jak potężnych magnatów. Zapewne Prevancius, człek z ludu, wszczepił w królewicza poszanowanie dla człowieka bez względu na jego stan i pochodzenie. Ku zgorszeniu swego otoczenia, Władysław rad obcował z ludźmi „niskiego stanu”. Stwierdził to nawet cudzoziemiec, nuncjusz papieski Visconti, wyrażający się o Władysławie ze słowami uznania i podziwu, ale zarzucający mu, że nie dość baczy na swą godność, zbyt się pospolituje i zniża.

Historycy Władysława IV, współcześni mu Kobierycki i Wassenberg, świadczą, że królewicz z zapalem garnał się do nauki i odznaczał się wszechstronnością. Prócz języka polskiego, który był jego językiem rodzimym, władał swobodnie łaciną, niemieckim, szwedzkim i włoskim. Interesował się wszystkimi dziedzinami

wiedzy, o wszystkim starał się wyrobić sobie sąd gruntowny, a do ulubionej jego lektury należały dzieła historyczne. Był zdolny, pojętny, umysł miał twórczy, temperament żywy, zapalny, dużo wrodzonej prostoty i umiejętności zdobywania serc ludzkich. Wesołego usposobienia, wymowy gorącej, łatwej, pełnej wdzięku, ujarzmiającego najbardziej niechętnych słuchaczy, lubił towarzystwo, umiał się bawić i używać życia. W otoczeniu swoim pragnął widzieć twarze pogodne i zadowolone. Był wrażliwy na cudzą krzywdę i boleść. Gdy zwracano się do niego z prośbą, czuł się nieszczęśliwym, jeśli zmuszony był odmówić proszącemu. Rękę miał hojną prawdziwie po królewsku. Zapominając o własnych interesach, nieraz sypał złotem, jak piaskiem, przesadzając w lekkomyślnej szczodrości i narażając się na największe kłopoty pieniężne. Często nadużywano jego usposobienia, ale Władysław zamykał oczy na nienasyconą chciwość ludzką i z niedbałością o dobra doczesne pozwolił się wyzyskiwać. Dostępny, łatwo udzielający się szlachcie, miał przecież w sobie znamię wyższości, która onieśmielała najbliższych przyjaciół i najzuchwalszych trzymała w karbach szacunku. Przyczyniała się do tego jego pozycja, ale w równym, a może w wyższym jeszcze stopniu zalety jego umysłu, bystrość sądu, własne, mocno ugruntowane zdanie i pewność siebie przy umiejętności jednania sobie nawet niechętnych.

W latach młodości odznaczał się Władysław uderzającą urodą. Z biegiem czasu dopiero nadmierna otyłość zniekształciła jego postawę i uczyniła twarz króla obrzękłą, nalaną, świadczącą o chorobliwości i cierpieniach fizycznych. Był bowiem pod jednym względem upośle-



Władysław w wieku młodzieńczym, według portretu F. Holbeina.





dzony: pomimo dużej siły fizycznej zapadał nieustannie na zdrowiu, a od trzydziestego roku życia bóle reumatyczne, kamień i inne nieznane bliżej choroby na całe miesiące przykuwały go do łoża. Nigdy przecież nie przestawał interesować się sprawami publicznymi. Podczas największych cierpień jego umysł twórczy, lotny, i zarazem niespokojny, na chwilę nie przestawał być czynnym.

Z usposobienia pogodny i towarzyski, miał przeciw Władysław chwile smutnej zadumy i melancholji. Opuszczał wtedy dwór, uciekał od ludzi, zaszywał się w puszcze i knieje, szukając zapomnienia w łowach na dzikiego zwierza i w obcowaniu z naturą. Podobnie jak Stefan Batory, był namiętnym myśliwcem. Zamiłowanie do książek i aspiracje artystyczne godził z upodobaniem do trudu fizycznego, do przygód i wrażeń, jakich dostarczały mu łowy i wymowa przyrody. Nuncjusz Visconti, pisząc o zwyczajach Władysława, wspominał, że ten, będąc jeszcze królewiczem, „lubił mieszkać na ustroniu, żeby uniknąć oddychania dworskiem powietrzem i żyć po swojemu bez świadków”. Ponad wszystkim przecież od lat młodocianych górowało we Władysławie poczucie wielkiej roli, którą ma odegrać w świecie, a do której już w zaraniu życia powoływały go wypadki.

Wszczęta przez Zygmunta III wojna ze Szwecją, już w r. 1599 doprowadziła do tego, że sejm szwedzki, zwołany przez ks. Karola Sudermańskiego, zdetronizował znenawidzonego króla i koronę szwedzką oddał Władysławowi. Wprawdzie sejm żądał, by królewicz przyjechał niezwłocznie do Szwecji i tam w religji luterskiej był wychowywany. Wobec tego, że Władysław



liczył w owym czasie zaledwie cztery lata, żądanie sejmu było w gruncie rzeczy rękawicą, ciśniętą znie-nawidzonemu przez Szwedów Zygmuntovi i zapowie-dzią dalszej z nim wojny. Jakoż na tronie szwedzkim zasiadł książę Karol i wojna szwedzko-polska potoczyła się dalej. Ale Zygmunt nie przestał uważać się za pra-wowitego króla Szwecji, a królewicz od lat najmłod-szych przyzwyczajany był do myśli, że jest następcą tronu szwedzkiego.

Liczył lat piętnaście, gdy zaszły nowe wypadki, które na młodocianym umyśle musiały potężne uczynić wrażenie.

Oto hetman Żółkiewski, odniósłszy sławne pod Klu-szynem zwycięstwo, zbliżył się do Moskwy, zajął ją po pewnym czasie, a mądrą polityką sprawił, że bojarowie ogłosili królewicza swym carem. Tysięczne tłumy złoż-yły nowemu władcy przysięgę na wierność. Stolica moskiewska z najwyższą niecierpliwością oczekiwała przyjazdu Władysława. Już ukazywały się dekrety z je-go podpisem, już z jego wizerunkiem krążyły monety, już olbrzymie państwo carów gotowe było runąć do stóp królewicza.

Ale dzieło Żółkiewskiego zepsuł Zygmunt III.

Pragnąc korony moskiewskiej nie dla Władysława, lecz dla samego siebie, wywołał, jako fanatyczny kato-lik powstanie wśród Moskali, utracił stolicę carską i po-zbawił syna drugiej z rzędu korony.

Wszystkie późniejsze wysiłki, by odzyskać tron car-ski nie doprowadziły do celu.

Carem moskiewskim został Michał Romanow.

Lecz Zygmunt III nie pogodził się z przegraną. Wojna z Moskwą toczyła się dalej, a na dworze kró-

lewskim w Warszawie Władysław nie przestał być uważany za prawego cara.

Śród takich niezwykłych wydarzeń upływały lata młodzięncze królewicza.

Niedoszły król szwedzki i niedoszły car moskiewski, a w perspektywie król polski, nieraz rozmyślał o swojej przyszłości. Gorąca wyobraźnia unosiła go na swych lotnych skrzydłach w świat fantastycznych rojeń, a rzeczywistość nadawała tym rozeniom kształty prawdopodobieństwa. Świetne zwycięstwa Żółkiewskiego i Chodkiewicza otwierały drogi wszelkim możliwościom, a zapal młodzięncy nie znał przeciwnieństw.

Władysław widział przed sobą ogromne zadania i już na progu życia kształtował swą przyszłość na miarę olbrzyma. Ambicja jego nie znała granic. Nie zadowalając się w swych marzeniach trzema tronami, śnił jeszcze o koronie cesarskiej i rozmyślał o wielkiej roli, jaką wypadnie mu odegrać w dziejach Europy. Uśmiechała mu się sława potężnego władcy i wielkiego wojownika. Aleksander Wielki i Henryk IV francuski byli jego ulubionymi bohaterami. Wyobrażał sobie, że podejmie nieureczywistnione przez Batorego zadanie, stoczy śmiertelny bój z Turcją i uwolni świat chrześcijański od groźnej potęgi sultanów. Z takimi zamiarami nosił się w wieku dojrzałym, takie zamiary już w latach młodzięńczych musiały ożywiać jego umysł i rozpłomieniać wyobraźnię. Któż zgadnie zresztą, gdzie mógł być kres tych marzeń i ku jakim wyżynom szedła ognista myśl królewicza! To pewna, że już we wczesnej młodości uważał się za powołanego do wielkich przeznaczeń dziejowych i, ożywiony zapalem, płonął gorączką czynu. Umiął przecież panować nad sobą

i nie ujawniać swych planów przed czasem. Tylko niektórzy bystrzejsi dyplomaci zagraniczni, zbliżywszy się później do niego, a przeniknąwszy jego naturę przedsięwzięcia, śmiałą i wojowniczą, jego niezmierną ambicję i żywą wyobraźnię, z uczuciem podziwu i większego nad podziw niepokoju przestrzegali swe dwory przed możliwościami wielkich powikłań, jakie Władysław zgutować może zczasem Europie.

Rozpłomieniony wielkimi planami, wcześniej, bo w 22-im roku życia miał króliewicz zetknąć się z rzeczywistością i doświadczyć na sobie przeciwności niesprzyjających mu losów.

W roku 1616-ym sejm polski uchwalił znaczniejsze pobyry na obronę granic ojczystych przed Turcją i Tatarami oraz na ukończenie wojny z Moskwą. Tym razem nie król Zygmunt, lecz króliewicz miał na czele rycerstwa ruszyć ku stolicy carskiej i mieczem utorować sobie drogę do tronu moskiewskiego. Zobowiązał się Władysław przed wyruszeniem na wyprawę, że przy Rzeczypospolitej pozostanie Smoleńsk, Siewierszczyzna, Połock, Wieliz, że Moskwa zawrze z Polską wieczystą unję, by między obu narodami braterska zakwitła miłość.

Do boku króliewicza dodano ośmiu komisarzy, którzy mieli wykorzystać pierwszą okazję, by zawrzeć wygodny dla Polski pokój z Moskwą.

Świadczyło to, że zdobywanie tronu carskiego nie jest tej wyprawy celem i że tylko wielce sprzyjające okoliczności mogą Władysławowi dać koronę moskiewską.

Pomimo to, gdy w kwietniu 1617 roku króliewicz opuszczał Warszawę, żegnano go bardzo uroczyście.

Prymas Gembicki, po modłach w kościele katedralnym, wygłosił podniosłą mowę i ofiarował odjeżdżającemu do swego państwa carowi chorągiew oraz szablę poświęcaną, napominając go zarazem, aby nie zapominał nigdy o Polsce, swej ojczyźnie. Król na czele całego dworu z ogromną pompą odprowadzał syna aż do Wilczysk, odległych o 12 mil od Warszawy, a przy rozstaniu się żegnał Władysława z takim płaczem, jakby go nigdy w życiu nie miał już zobaczyć.

Car-królewicz, po zboczeniu na południe, by wziąć udział w spodziewanem odpieraniu Tatarów, wyruszył do Mohilowa nad Dnieprem, a następnie w towarzystwie pozyskanych dla sprawy książąt Szujskiego i Trubckiego udał się do Smoleńska. Niebawem połączył się z hetmanem wielkim litewskim Chodkiewiczem, który miał kierować wyprawą.

Dnia 4 października wojsko skierowało się ku granicom moskiewskim, ale pod złą wróżbą, gdyż w obozie polskim wybuchły swary i kłótnie. Chodkiewicz krzywym okiem spoglądał na komisarzy, których rad musiał słuchać, a którzy w sprawach wojennych nie zawsze podzielali zdanie znakomitego wodza. A królewicz, młody, niedoświadczony i niecierpliwy, niechętnie spoglądał zarówno na komisarzy od niego niezależnych, jak i na hetmana, który go krępował swą surową powagą. Utworzyły się odrazu jakby trzy stronnictwa, nieprzyjaźnie dla siebie usposobione. W najbliższem otoczeniu Władysława rej wodzili panowie Kazanowscy, przedewszystkiem zaś młody Stanisław, faworyt króla i najserdeczniejszy jego przyjaciel. Rodzina Kazanowskich wielką wagę przywiązywała do tej przyjaźni, widziała w niej bowiem rękojmię świetnej przyszłości

i splendorów dla całego rodu. Czuwano też nad tem, by tej przyjaźni nie nie naruszyło. Wraz ze Stanisławem pociągnęli na wyprawę brat jego Adam, jego ojciec i stryj, później przyłączył się do wojsk królewicza Marcin Kazanowski, dowodzący silnym oddziałem, a wysłany na pomoc Żółkiewskiemu przeciw Tatarom.

Z Kazanowskimi rywalizował Jerzy Ossoliński, przyszły kanclerz koronny, mający zczasem silnie zaważyć na szali dziejów Rzeczypospolitej. Zdolny, ambitny, niezwykle zręczny młodzieniec umiał zjednać sobie łaski dworu królewskiego i pozyskać względy Władysława. Ossoliński stał się solą w oczach panów Kazanowskich. Skutkiem tego i w najbliższem otoczeniu królewicza dochodziło do nieustannych kłótni, swarów, a nawet intryg, których echa rozlegały się aż w Warszawie, skłaniały do interwencji króla i do żywego dokuczały Władysławowi, nie umiejącemu jeszcze poskromić osaczających go zawiści.

Pomimo panującej w obozie niezgody początek wyprawy duże obudził nadzieje.

Pierwsze większe miasto, ku któremu skierowało się wojsko polskie, Dorohobuż, otworzyło przed królewiczem swe bramy, a wodzowie moskiewscy wraz z całą załogą złożyli hołd Władysławowi, przepraszały go za bunt i niedotrzymanie przysięgi. W ślad za Dorohobużem poddała się Wiazma, do której uroczyście wjechał car-królewicz, witany przez władze miejscowe i ludność.

W Wiazmie otrzymano wiadomość, że i Możajsk, uważany za wrota, wiodące do Moskwy, pragnie się poddać Polakom.

Ale skutkiem niesnasek w obozie, braku żywności i wzrastającego głodu, postanowiono zatrzymać się pod Wiazmą, następnie zdecydowano przeczekać tu zimę.

Przyszły straszliwe mrozy i wraz z głodem w okropny sposób dawały się we znaki nieopłaconym żołnierzom.

Po świetnym początku i wielkich nadziejach zniechęcenie zaczęło ogarniać umysły. Śród swarów, kłótni i nieporozumień czekano nadejścia wiosny. Bezczynność wojsk polskich wykorzystał nieprzyjaciół, obsadził silną załogą Możajsk, a wódz carski Łykov uderzył niespodzianie na ostożek, zbudowany przez Chodkiewicza między Możajskiem a Wiazmą, rozgromił załogę polską i wziął do niewoli rotmistrzów.

Porażka Polaków uczyniła duże wrażenie na ludności moskiewskiej i zachwiała jej wiarę w siły Władysława. Zrozumiał to Chodkiewicz i postanowił powetować niepowodzenie nagłym zdobyciem Możajska. Na nieszczęście, w wyprawie tej koniecznie chciał wziąć udział królewicz, co pokrzyżowało plany hetmańskie, gdyż w obawie o bezpieczeństwo Władysława zmuszony był przygotować poważniejsze do pochodu siły. Nastąpiła zwłoka, a Moskale dowiedzieli się o zamierzonym planie i udaremнили śmiało przedsięwzięcie.

Wyprawa się nie powiodła.

Zdemoralizowane wojsko wróciło na pozycje pod Wiazmą, a szemranie i złorzeczenia na wodzów coraz głośniejsz rozlegały się w przetrzebionych szeregach.

W obozie zapanowało wielkie przygnębienie. Śród trzaskających mrozów, głodu, chorób i wyrzekań płynęły tygodnie i miesiące. Przyszła wreszcie oczekiwana wiosna, ale wraz z nią nastąpił wylew wód na olbrzymich przestrzeniach i uniemożliwił pochód w głąb car-

stwa. Siły królewicza zeszczułwały, a duch niesnasek i waśni nie wróżył nic dobrego wprawie.

Chodkiewicz, chory, skutkiem poniesionych trudów i zmartwień, nie mógł dojść do ładu z komisarzami, sam zaś w oczach królewicza uchodził za głównego sprawcę wszystkich niepowodzeń. Niedoświadczony Władysław rad był pozbyć się opieki hetmańskiej. Właśnie nadszedł do obozu Marcin Kazanowski. Był to dowódca ambitny, niesforny, zarozumiały. Zaufany w protekcję królewicza, a dumny, że zdobył po drodze Starodub, nie chciał uznać nad sobą komendy Chodkiewicza. Władysław podtrzymywał go w tym uporze. Był pewien, że hetman obrazi się, złoży dowództwo i opuści wojsko. Ale stary lew z pod Kircholmu nie zwykł komukolwiek ustępować z drogi. Gdy przy wyruszaniu z obozu pułki Kazanowskiego nie zastosowały się do przepisane go w pochodzie szyku, Chodkiewicz ruszył ku Kazanowskiemu z tak strasznym krzykiem, że ulubieniec królewicza rzucił się między chorągwie, uchodząc przed wybuchem tej hetmańskiej furji. Chodkiewicz, niepomny siebie, cisnął za uciekającym buławą. W jednej chwili największy posłuch zapanował w podległych Kazanowskiemu chorągwiach. Struchleli wszyscy Kazanowscy, przeraził się królewicz i ledwie zdołał ulagodzić hetmana, który trząsł się z gniewu, jak Jowisz i długo jeszcze budził w otoczeniu grozę swem zamię obliczem. Wkońcu dał się przecieć przebłagać Władysławowi, który ani przypuszczał, jak niebezpiecznym stać się może w swym gniewie głośny w całym świecie wojownik.

Takim epizodem rozpoczął się marsz ku Moskwie, który uradzili komisarze, chociaż sprzeciwiał się temu

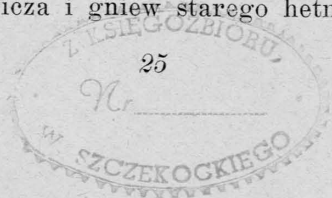
Chodkiewicz, gdyż, zdaniem jego, wojsko było źle zaopatrzone, zbyt szczupłe i zbyt już wynędzniałe, by walczyć się na to przedsięwzięcie. Ale posłuszny radzie wojennej, prowadził szyki ku stolicy carskiej.

Po drodze usiłowano zdobyć Możejsk, wszakże bez skutku.

Nieopłacone wojsko biło się niechętnie, zato wrzaskliwie domagało się żołdu i groziło buntem. Oszukiwano żołnierzy obietnicami, ale gdy kanclerz Sapieha, wysłany po pieniądze do Warszawy, wrócił z próżnemi rękoma, wielki gwałt wszczął się w szeregach. Kilka chorągwi opuściło obóz, a można się było obawiać, że za złym przykładem pójdzie całe rycerstwo. Z największym trudem zażegnano katastrofę, ale wojna, prowadzona w takich warunkach, nie rokowała szczęśliwego końca.

W październiku armja polska rozłożyła się w Tuszynie pod Moskwą. Wzmocniona przez 20.000 Kozaków, których przyprowadził oddany Rzeczypospolitej Konaszewicz Sahajdaczny, próbowała szturmem zdobyć stolicę. Lecz szturm został odparty, a to nowe niepowodzenie sprawiło, że komisarze królewscy, przejęci instrukcjami sejmu, postanowili rozpocząć z Moskalami układy.

Daremnie Chodkiewicz, przyzwyczajony do zmiennej kolei wojny, sprzeciwiał się komisarzom i dalej walczyć pragnął. Władysław teraz dopiero poznał się na wielkim duchu znakomitego wodza i chwycony za serce jego bohaterską, nieczem niewzruszoną postawą, największą okazywał mu wdzięczność i z młodzieńczym zapalem bronił jego poglądów. Ale na nic się nie zdała wymowa królewicza i gniew starego hetmana. Komisa-



rze byli panami położenia. Więc wszczęto układy. Zadanie było ciężkie, bo Władysław nie chciał zrzec się tytułu cara, a obrażeni Moskale domagali się od Polaków, by carem nazywali Michała. Zmiekli przecież, gdy pomysłowi komisarze, mówiąc o Michale, wyrażali się: „ten, którego teraz swoim carem nazywacie“. Wreszcie po długich targach stanął w Dywulinie rozejm, zawarty na lat 14 i pół. Przez ten czas oba państwa miały czynić starania o pokój wieczysty. Polska pozostała ostatecznie przy Smoleńsku i Siewierszczyźnie, ale osadzenie królewicza na tronie moskiewskim zawiodło. Pomiędzy to Władysław nie zrzekł się tytułu cara i nie przestał go w dalszym ciągu używać.

Ta wyprawa na Moskwę była dla rycerskiego Władysława cennym doświadczeniem. Przekonał się on naocznie, jak trudnem dziełem jest wojna i jak okropną niemoc cechuje już Polskę, skoro ani odpowiednich sił nie zdołała zebrać na wyprawę, ani nawet żołdu zapłacić swemu żołnierzowi. A pobyt w obozie i obcowanie z jednym z największych swego czasu wodzów musiało rozwinąć w królewiczu przyrodzone zdolności wojenne i zbogacić go niejedną praktyczną wiadomością.

W wyprawie tej Władysław zetknął się z Kozakami, ujął sobie ich wodza Sahajdaczego i zdobył serca mołojców.

Niepowodzenie odczuł głęboko, ale się nie zniechęcił, nie porzucił swych planów i nie przestał myśleć o koronie moskiewskiej.

W roku 1621-ym Władysław wyruszył pod Chocim, by wziąć udział w wojnie z Turcją, lecz ciężka febra, której się nabawił, nie pozwoliła mu uczestniczyć w wie-

kopomnych bojach. Trawiony chorobą, bezczynnie musiał słuchać gromów armatnich i odgłosu walk, staczanych przez rycerstwo polskie z przemagającymi siłami Osmana. Pomimo to obecność jego w oblężonej twierdzy nie była bez pożytku. Popularność, jaką zdobył sobie wśród Kozaków, pozwoliła mu w krytycznej chwili ułagodzić ich wzburzenie i zapobiec buntowi w obozie. Potrafił również udobruchać wojska litewskie, gdy te, po śmierci Chodkiewicza, nie chciały się poddać pod komendę Lubomirskiego i przez deputację prosiły królewicza, aby wziął je pod swoją opiekę, jako tych, co wodza swego postradali. Władysław opiekę przyrzekł, ale zarazem wytłumaczył, że skoro wojska koronne słuchały komendy hetmana litewskiego, to niema żadnego powodu, dla którego Litwini nie mieliby podlegać wodzowi koronnemu. Dodał wreszcie, że sam jest w Chocimiu nie po to, aby rozkazywać, lecz rozkazów słuchać i tem oświadczeniem uśmierzył ostatecznie partykularne ambicje Litwinów. A w naradach, które odbywały się u jego łoża w namiocie, ujmował obradujących swem rozsądnem zdaniem i rycerską dzielnością, która biła z jego słów i w ciężkich chwilach podtrzymywała w oblężonych ducha.

Po powrocie z wyprawy chocimskiej zapragnął królewicz zwiedzić kraje cudzoziemskie i o pozwolenie na wyjazd usilnie prosił ojca. Zygmunt nie rad wojażowi syna, jak zwykle, zwlekał z decyzją, wkońcu zaś odwołał się do opinii senatu. Senatorowie, widząc niechęć króla, oświadczyli się przeciw podróży, pozorując swoją odmowę rzekomymi niebezpieczeństwami wojażu. Królewicz, ciekaw świata i ludzi, nieustannie ponawiał swoje podróżnicze projekty.

A nie tylko ciekawość nim powodowała. Ruchliwy, czynny, tęsknił do życia na szerszej arenie. Tymczasem Zygmunt III, zazdrosny o swą władzę, a żądający dla siebie bezwzględności od syna posłuchu, usuwał Władysława od udziału w sprawach publicznych. Więc Władysław, skazany na przymusową bezczynność, uważał się za pokrzywdzonego przez losy. Tem się zapewne tłumaczy, że nie mogąc znaleźć zrozumienia u ojca, zbliżył się do kilku obrażonych na króla magnatów, jak potężny Krzysztof Radziwiłł, przywódca dysydentów na Litwie, Rafał Leszczyński i Jerzy Zbaraski.

Niespokojny umysł Władysława szukał ciągle dróg, któreby pozwoliły mu wyjść ze stanu dręczącej go bierności. Spokrewniony przez matkę z Habsburgami, starał się zaskarbić sobie względy króla hiszpańskiego Filipa IV, gdy zaś pomiędzy Hiszpanją a Polską toczyły się pertraktacje w sprawie wspólnego prowadzenia wojny ze Szwecją i Danją, Władysław, marzący o odzyskaniu tronu dziedzicznego w Szwecji, oświadczył gotowość objęcia dowództwa naczelnego nad flotą hiszpańską i kontynuowania walki na rachunek swego domu, choćby nawet między Szwecją a Polską przyszło do zawarcia pokoju.

A gdy projekt do skutku nie doszedł, nie dał za wygraną, lecz ciągle mając na widoku odzyskanie Szwecji, powziął myśl osobiście starać się o pomoc Habsburgów i zaprzyjaźnionych z Habsburgami dworów. W tym celu wznowił projekt wojażu, przełamał racjami politycznymi opór ojca i wreszcie zyskał jego zezwolenie na upragniony wyjazd za granicę.

Według ułożonej instrukcji miał udać się najpierw do Nissy na dwór arcyksięcia Karola, następnie razem

z nim wyjechać do Wiednia, wizytować zkolei biskupa passawskiego, arcyksięcia Leopolda, później skierować się do Belgji dla pozyskania pomocy infantki Izabeli w projektowanej akcji przeciw Szwecji. W dalszym ciągu miał odwiedzić Rzym, dwór tokański, Wenecję i przez Wiedeń, Nissę powrócić do Polski.

W maju 1624 roku z wielką radością opuścił królewicz stolicę. Jako ochmistrz i marszałek dworu towarzyszył mu książę Albrecht Radziwiłł, znany stronnik polityki rakuskiej i żarliwy katolik, a w orszaku znajdowali się młodzi panowie znakomitych rodów, jak Łukasz Żółkiewski, starosta kałuski, Stefan Pac, pisarz litewski, Adam Kazanowski, Denhof oraz kilku innych paniąt i grono dworzan. Razem w czterdzieści koni wyruszono w drogę. Jechał królewicz incognito pod przybranem nazwiskiem Snopkowskiego.

Zgodnie z planem podróży, skierowano się najpierw do Nissy, skąd wraz z arcyksięciem Karolem udano się do Wiednia.

Tutaj Ferdynand II z wielką okazałością podejmował swego siostrzana. Czas uprzejmniały podróżnikom uczty, festyny, bale i łowy. Dumny Habsburg nie szczędził przypuszczalnemu dziedzicowi polskiego tronu oznak swej życzliwości. Więc bawiono się ochoczo. Urodziwy i dziarski królewicz wszystkim przypadł do serca, szczególniejsze zaś względy okazywały kuzynowi sentymentalne arcyksiężniczki. Był zwyczaj na dworze wiedeńskim, że nie kawalerowie zapraszali panny do tańca, lecz, jak się wyraża Stefan Pac, „panny kawalerów brały”. Otóż arcyksiężniczki tak skwapliwie korzystały ze swego przywileju, że według tegoż świadka,

„nadmordowały królewicza jegomości, jako to gościa, bo go prawie z rąk nie spuszczały”.

Pobyt w Wiedniu przedłużył się nieco, gdyż Władysław przeziębził się i dwa tygodnie przeleżał w łóżku. Do choroby przyczyniły się pono „szlaftrunki”, których był niezwyčajny, a do których przynaglał go nad miarę gościnny arcyksiążę Karol.

Dnia 15 lipca pożegnał Wiedeń, odprowadzany pół mili za miasto przez cesarza i arcyksiążąt.

Odwiedziwszy drugiego swego wuja arcyksięcia Leopolda w Salzburgu, wyjechał do Monachjum. Tutaj poznał się z elektorem Maksymiljanem, znakomitym twórcą armji bawarskiej. Po łowach, ucztach, szczegółowem zwiedzeniu wspaniałego arsenału i ciekawych zabytków architektury, podróżnicy przez Trewir, Kolonję, Bonn skierowali się do Belgji.

Przy wjeździe do Antwerpji Władysław, wieziony na pięknym statku po Skaldzie, powitany został salwami armat, ustawionych na wałach, wystrzałami piechoty i muzyką gwardji municypalnej. Trzy dni zwiedzał tutaj pilnie fortyfikacje i urządzenia sławnej twierdzy, a następnie gmachy, pracownie sławnych malarzy i słynne warsztaty kobierców.

Z Brukseli, gdzie serdecznie i wspaniale podejmowała go infantka Izabela, wyjechał do obozu pod Bredę, najgłośniejszą w Europie twierdzę holenderską, obleganą podówczas przez Hiszpanów.

Prowadził go na czele 2.000 jazdy generał Don Luyz de Velasco, przed obozem wyjechał na jego spotkanie naczelny wódz hiszpański, margrabia Ambroży Spinola w otoczeniu świty. Przy wjeździe do obozu na powitanie królewicza zagrzmiały działa wszystkich baterji

hiszpańskich, a 3.000 jazdy, stojącej w szyku bojowym oddało mu honory, pałac na wiwat z pistoletów.

Po tej powitalnej uroczystości uprzejmy Spinola złożył wysokiemu gościowi raport, i w jego ręce złożył dowództwo naczelne.

Następnego dnia, wśród silnej kanonady, którą rozpoczęła oblężona forteca, królewicz oglądał bacznie szanse oblężnicze, informował się ciekawie o postępach oblężenia, a gdy wskazał miejsce, na którym, jego zdaniem, należałoby usypać szaniec, Spinola natychmiast wydał rozkazy i w ciągu kilkunastu godzin na wskazanym miejscu stanęła potężna fortyfikacja. Władysław i jego towarzysze podróży podziwiali na każdym kroku wzorowy porządek, „w obozie skromność i cichość nie naszym kształtem polskim”.

Po zwiedzeniu obozu podróżnicy udali się do olbrzymich piekarni, w których co dnia wypiekano 17.000 chlebów, następnie oglądali ośm wielkich browarów, przygotowujących piwo dla żołnierzy. Panujący wszędzie ład smutne refleksje nasuwał Polakom, gdy przenosili się myślą do ojczyzny i obóz hiszpański porównywali z obozami polskimi. Uderzała zwiedzających dbałość o wyżywienie żołnierza i system aprowizacyjny, którego nie znano w Polsce. W czasie zwiedzania szanieców kule latały nad głowami orszaku królewicza, jednemu z masztalerzy polskich pocisk armatni odebrał nogę, a koń Paca ciężko został skaleczony.

Po trzech dniach pobytu pod Bredą Władysław, żegnany honorami wojskowemi, z tą samą silną eskortą jazdy, syt niezapomnianych wrażeń, powrócił do Brukseli.

Późną jesienią przez Szwajcarję wybrano się do Włoch.

Na życzenie Władysława orszak jego czynił wysiłki, by zachować w podróży incognito, unikać oficjalnych przyjęć i nie tracić czasu na uroczystości. Nieraz używano podstępów, by oszukać władze. A więc, przejeżdżając przez znaczniejsze miasta, zapewniano pytających, że królewicz, którego chciano powitać, podąży dopiero za swym orszakiem i za kilka dni nadjedzie, a tymczasem wymykano się na miasto i zwiedzano jego osobliwości. To znowu podróżnicy dzielili się na dwie grupy, jadące w znacznej od siebie odległości, co często wprowadzało w błąd szpiegujących Władysława urzędników i wywoływało zabawne nieporozumienia.

Dziennik podróży, który zostawił po sobie Stefan Pac, oraz listy innych tego wojażu uczestników niejednokrotnie malują miłe i wdzięczne usposobienie królewicza, tęskniącego do swobody i wpadającego w najlepszy humor, gdy, niepoznany przez obcych, mógł się „pospolitować”. W Szwajcarji podczas przejścia przez górę św. Gotarda przyłączył się do podróżników chłop Szwajcar, upodobał sobie Władysława, pomagał mu przy wspinaniu się na strome urwiska i bawił go nieczem niekrępowaną rozmową. Gdy zaś ofiarował królewiczowi piękną sztukę kryształu, a chciano mu za nią zapłacić, odpowiedział, że ofiaruje ją za darmo, na znak braterstwa, przyczem kordjalnie ścisnął ręce królewicza ku wielkiemu tegoż ukontentowaniu. Prawda, że było to w górach, wśród śniegu i lodów, a prosty chłop, wiodąc pod rękę Władysława, oddawał mu przysługę, której, jak powiada słusznie i zarazem naiwnie Stefan Pac, „żaden senator polski, co zwykli królów, panów swych, pod rękę prowadzić, nie potrafiłby być...” Innym razem, we Włoszech, w czasie przejażdżki galerą, dostrzegł

Władysław między galernikami ośmiu chłopów Rusinów, których losy zagnały aż na morza włoskie. Wzruszony dołą nieszczęślików, wstawił się zaraz za nimi i prośbą swą sprawił, że darowano ich wolnością. Przy wjeździe do Brukseli, przed samym pałacem Izabeli, jeden z asystujących Władysławowi dworzan infantki zranił go przez nieostrożność w stopę. Rana była bardzo bolesna, lecz króliewicz zataił wypadek, byle winnego nie narażać na karę. Cierpiąc, odbył wszystkie ceremonje. Okazało się później, że but był pełen krwi, rana zaś tak znaczna, że wypadło dłużej przeleżeć w łóżku i poważnie się kurować.

Po zwiedzeniu Rzymu, gdzie Władysław z wielką uprzejmością podejmowany był przez papieża, a gdzie doznał niezapomnianych na całe życie wrażeń, odwiedził dwór tokański, był potem w Wenecji, skąd przez Wiedeń i Niszę skierował się do Polski.

Rok cały trwała ta podróż. Nie przyniosła spodziewanych korzyści politycznych, ale rozszerzyła widnokręgi myślowe przyszłego króla, dostarczyła mu silnych i podniosłych wzruszeń, pogłębiła w nim upodobania artystyczne, uzupełniła jego wiedzę wojskową i stała się cennem zakończeniem odebranego w kraju wykształcenia.

Do kraju powrócił króliewicz w maju 1625 roku.

Były to czasy, kiedy w Europie przygotowywały się największej wagi wydarzenia.

Poróżniona z Hiszpanją Anglja usiłowała utworzyć wielką przeciw Habsburgom koalicję przy pomocy Hollandji, walczącej z Hiszpanją i Danji, pragnącej utrzymać się w Niemczech północnych. W ten sposób wchodziły w grę interesy dworów madryckiego i wiedeńskiego.

skiego oraz sprawa panowania nad morzami Północnem i Bałtykiem, przez które Holandja czerpała główne swe środki do walki z wrogami. Ponadto zawierucha ta wciągała w swój wir zarówno Szwecję, jak Polskę, już od lat wielu prowadzących z sobą walkę o wybrzeża Bałtyku.

Niestety, pomoc, jaką miał uzyskać królewicz w czasie swej podróży, zawiodła, a Gustaw Adolf w czerwcu 1625 roku wylądował pod Rygą i, zagarnawszy w ciągu trzech miesięcy całe Inflanty, posunął się w głąb Litwy. W następnym roku, przy pomocy zdradzieckiego względem Polski elektora brandenburskiego, Jerzego Wilhelma, zwycięski król szwedzki zajął Piławę i w krótkim czasie opanował całe wybrzeże pruskie ze wszystkimi portami, z wyjątkiem wiernego Rzeczypospolitej Gdańska.

W połowie sierpnia 1626 roku przeciw groźnemu najeźdźcy wyruszył król Zygmunt wraz z najstarszym synem na czele 11.000 wojska. Lecz Zygmunt wodzem nie był i wojny samodzielnie nigdy nie prowadził. A rycerski królewicz, spragniony laurów i sławy wojennej, odsunięty został od wszelkiego wpływu na losy rozpoczynającej się kampanji.

Bolało go to bardzo.

W liście do Krzysztofa Radziwiłła gorzko skarżył się na swe upośledzenie.

— „My, — pisał z teatru wojny, — powoli postępujemy, a nieprzyjacielowi dajemy czas do fortyfikowania i wykonania swych zamysłów, miasto tego, cobyśmy mieli wszelakimi sposobami przeszkadzać... Uskarżyć się muszę, że tak nieszczęśliwy, że mię do żadnej posługi król jegomość zażyć nie chce, i tak na tej ekspedycji jestem, jak nowicjusz jaki...”

Dnia 17 września Zygmunt przystąpił do oblężenia Gniewa, obsadzonego załogą szwedzką, liczącą zaledwie 140 ludzi. Okazało się, że kule nie pasują do armat, skutkiem czego artylerja czas pewien musiała być bezczynna. A w dniu 22 września nadciągnął Gustaw Adolf na czele 2.000 piechoty i 1.000 jazdy. Przyszło do poważniejszej utarczki, w której przemagające siły polskie nie zdołały przemóc Szwedów i pozwoliły im wycofać się z placu boju w najzupełniejszym porządku. Dnia 29 września ponownie zjawił się Gustaw Adolf, tym razem prowadząc z sobą 4.500 żołnierzy. Dnia 1 października Szwedzi rozpoczęli bitwę od uderzenia na wzgórze, umocnione dwoma szanćami i bronione ogniem sześciu armat, a będące kluczem pozycji polskiej. Atak odpyrała jazda polska. Władysław wraz z królem zagrzewał rycerstwo do boju. Ale ta sławna i straszna dla Szwedów jazda nie miała na swem czele wodza, któryby, jak Chodkiewicz, budził w niej zapał i wiarę w zwycięstwo. Nikt nie ufał talentom wojennym króla i jego dowództwu, a męstwo królewicza było z natury rzeczy męstwem nie wodza, ale żołnierza. Więc Szwedzi odparli jazdę, zdobyli wzgórze i zaraz rozpoczęli tak celny ogień muszkietowy, że w krótkim czasie 500 Polaków zaległo trupem plac boju. Przerażony stratami Zygmunt rozkazał trąbić na odwrót i, zaniechawszy oblężenia, cofnął się do Pelplina i potem wraz z całym wojskiem odbywał uciążliwe a bezcelowe marsze.

A królewicz Władysław nie bez goryczy pisał po tej bitwie do Krzysztofa Radziwiłła:

— „Pono już nie będziemy ganić cudze postęпки, spróbowawszy się trzy razy z nieprzyjacielem”. A że król oczekiwał hetmana Koniecpolskiego, który w owym

czasie był na Ukrainie, więc królewicz w liście swym dodawał: „po staremu czekamy salwatora pana hetmana i dlatego nie nie czynimy, chyba że musim...”

Przybył wreszcie znakomity wódz i przywiódł z sobą 4.000 kwarcianych. Król oddał mu nad połączone siłami dowództwo, sam zaś wraz z synem wyjechał na sejm do Torunia.

Sprawa wojny i środki na dalsze jej prowadzenie były głównym przedmiotem obrad sejmowych. Ale poruszona także została kwestja, w najwyższym stopniu osobiście obchodząca królewicza: kwestja następstwa tronu po starzejącym się Zygmuncie. Druga żona króla, siostra cesarza Ferdynanda, Konstancja, wywierająca wielki wpływ na Zygmunta, pragnęła tron polski po ojcu zapewnić najstarszemu ze swoich synów, Janowi Kazimierzowi. Władysław nie cieszył się łaskami macochy, a że miał zczasem panować w Szwecji, więc koroną polską chciała królowa uwieńczyć głowę młodszego królewicza. Otóż na sejmie toruńskim kanclerz wielki koronny, Wacław Leszczyński, który wraz z podkanclerzym Lipskim sprzyjał planom Konstancji, napomknął w swem przemówieniu o tajemnych praktykach, mających na celu zamieszanie Rzeczypospolitej z powodu tronu polskiego. Jakoż istotnie myśl detronizacji zniechęconego przez szlachtę króla nie przedstawiała żyć tak w kraju, jak śród wrogów zagranicznych Polski, a o pochwyceniu korony po Zgumencie myślał Betlen Gabor, wspierany w swych dążeniach przez Gustawa Adolfa. Wobec tego zaś, że Zygmunt podupadał na zdrowiu i niedołęźniał z dnia na dzień, zaproponował kanclerz, aby król sam wyznaczył po sobie sukcesora. Sprawa została postawiona w ten sposób, iż

wszyscy zrozumieli, że tu o Jana Kazimierza chodzi. Ale szlachta, stając w obronie „żrenicy“ swej złotej wolności, obruszyła się na tę propozycję. Wszczęły się zaraz krzyki i hałasy, aby kanclerza za zamach na wolną elekcję, jako naruszydiciela praw narodu postawić przed sądem.

Władysław wiedział, że się coś przeciw niemu na sejmie szykuje, bo pisał o tem do Krzysztofa Radziwiłła, a choć intryga się nie udała, odczuł ją głęboko.

Tymczasem wojna ze Szwecją trwała w dalszym ciągu. Genjalny wojownik szwedzki, postrach Europy, natrafił w Koniecpolskim na godnego siebie przeciwnika. Hetman, pomimo braku środków i niemożności wypłacenia wojsku zaległego żołdu, z wielką energją dłuży czas podtrzymywał wojnę, aż wreszcie 27 czerwca 1629 roku w sławnej bitwie pod Trzcianą poraził na głowę wojska szwedzkie i samego Gustawa Adolfa omal nie wziął do niewoli. Ocalony król szwedzki, przyszedłszy do siebie, wyraził się o tej bitwie:

— „Była łaźnia tak gorąca, w jakiej nigdy jeszcze się nie znajdowałem”.

Obie wojujące strony były przecież tak wyczerpane długoletnią wojną, że we wrześniu 1629 roku za pośrednictwem Anglii i Francji zawarły w Altmarku sześcioletni rozejm. Warunki tego rozejmu były dla Polski niekorzystne, gdyż zostawiały przy Szwedach Inflanty aż po Dźwinę, a w Prusiech oddawały im Elbląg, Brunsbergę, Piławę i Kłajpedę. A zdradziecki elektor otrzymał w tymczasowe posiadanie Sztum, Malborg i Głowę, bo Szwedzi miast tych nie chcieli oddać Rzeczypospolitej.

I z tej wojny wyniósł Władysław bolesne doświadczenie. Ale jest rzeczą podziwienią godną, że na jedną

chwile nie wyrzekł się myśli o odzyskaniu praw swoich do korony szwedzkiej. Projektując nową przeciw Szwecji wyprawę, podjął pertraktacje z dworem madyckim, prowadził układy z cesarzem, a nawet porozumiewał się z Wallensteinem, a zawsze jeden i ten sam cel miał przed oczyma.

Król Zygmunt, acz wielce troszczył się o los swoich dzieci, niechętnie widział samodzielne zabiegi Władysława, ale że starzał się coraz bardziej, słabł i upadał na siłach, więc coraz mniejszy opór stawiał najstarszemu synowi. W lipcu 1631-go roku zmarła królowa Konstancja. Ten cios do reszty sparaliżował wolę zgrzybiałego przedwcześnie Zygmunta. Odtąd na dworze królewskim niemal wszechwładnie rządziła ochmistrzyni Urszula Majerin, sześćdziesięcioletnia staruszka, ciesząca się zdawna powagą, a teraz trzęsąca królem i wywierająca przemożny wpływ na jego decyzje we wszystkich sprawach publicznych. W początkach 1632 roku król zachorował ciężko i nie miał już zdrowia odzyskać. Dogorywał powoli, posępny i rozgoryczony, bo żadnego ze swych planów nie doprowadził do skutku. Dnia 29 kwietnia 1632 roku na łożu śmierci błogosławił Władysława i uroczyście przekazywał mu w spadku po sobie królestwo szwedzkie.

Nazajutrz Zygmunt III skonał.

Rzeczpospolita stanęła przed elekcją nowego króla.

Władysław, cieszący się dobrą w całym kraju sławą, był nie tylko w oczach masy szlacheckiej, ale i w opinii wszystkich dworów zagranicznych najpoważniejszym kandydatem do korony polskiej.

II

WŁADYSŁAW KRÓLEM

W chwili śmierci ojca Władysław liczył lat 37, a więc znajdował się w rozkwicie sił męskich. Przez długie lata odsuwany przez despotycznego ojca od wszelkiego wpływu na przebieg rozgrywających się w kraju i za granicą wydarzeń, musiał dotąd trzymać na wodzy swą przedsiębiorczość, energję i wolę. Pomimo to dał się już poznać krajowi i w przeciwstawieniu do Zygmunta III, potrafił zjednać sobie dużą śród szlachty sympatję. Zawdzięczał ją przyrodzonemu wdziękowi, dośiępności, prostocie oraz rycerskim przymiotom, które ujawnił w wyprawie na Moskwę i w oblężonym przez Turków Chocimiu.

Zgon ojca otwierał mu drogę do polskiego tronu i powoływał na szeroką widownię dziejową.

Władysław postanowił ubiegać się o ten tron, ale oczy zwrócone miał gdzie indziej: tron polski traktował, jako etap, wiodący przedewszystkiem do odzyskania dziedzictwa szwedzkiego.

Korona polska nie posiadała w jego oczach wielkiego uroku. Ambitny, płonący gorączką czynu, wpatrzy-

ny w dalekie cele, pożądał swobody i samodzielności, o jakiej nie mógł marzyć król polski.

Władysław, dobrze znający panujące w Rzeczypospolitej stosunki, zrażony był nierządem władz polskich, niesformością sejmów, warcholstwem szlachty, knowaniami magnatów. Wiedział, że zasiadłszy na tronie polskim, będzie miał skrupowane ręce i związaną wolę, że na każdym kroku piętrzyć się będą wkoło niego trudności i przeciwnieństwa. Uważał, że w Szwecji łatwiej jest żyć i królować, a wierzył, że tam dopiero będzie mógł w całej pełni zużytkować swoje zdolności i rozpocząć pracę nad urzeczywistnieniem swych śmiałych zamiarów. Koronę polską, byle posiadał tron szwedzki, gotów był ustąpić Janowi Kazimierzowi.

Rola, jaką w stosunkach międzynarodowych odgrywały podówczas Polska i Szwecja, była miarą, którą najstarszy syn Zygmunta mierzył oba trony.

Podczas gdy wielka, ludna, bogata Rzeczpospolita coraz bardziej traciła swe wpływy i stawała się państwem drugorzędnem, w tym samym czasie biedna i mała Szwecja zadawała potężne ciosy swym wrogom i trzęsła Europą. Gdy osoba Zygmunta III ginęła w mroku polityki Habsburgów, przedstawiciel młodszej linii Wazów, zwycięski Gustaw Adolf należał do postaci, które budziły grozę świata i kierowały jego losami.

Władysław nieraz z podziwem myślał o swym nieustraszonym krewniaku i zdawna czynił wysiłki, by z bohaterem szwedzkim nawiązać przyjazne stosunki. Sądził, jak to okaże się później, że zgoda z Gustawem Adolfem, pozbawionym męskiego potomka, najprędzej doprowadzi starszą linię Wazów do odzyskania utraconej Szwecji.

To też, występując jako kandydat do korony polskiej, na jedną chwilę nie zapominał o koronie szwedzkiej. Nie wiedząc, czy z Gustawem Adolfem dojdzie do porozumienia, myślał zarówno o pokoju, jak o wojnie, a na wypadek tej ostatniej, zaraz po śmierci ojca usiłował zapewnić sobie pomoc swego wuja, cesarza Ferdynanda II. Prosząc go za pośrednictwem zaufanego jezuitę Henicjusza o poparcie w czasie nadchodzącej elekcji wobec stanów Rzeczypospolitej, przyznawał, że chce odzyskać tron szwedzki, domagał się współdziałania cesarza, a nie ukrywał, że w razie dojścia do celu, koronę polską odstąpiłby młodszemu bratu. Wiedząc, że nie może myśleć o jednoczesnem królowaniu w Szwecji i Polsce, bo na to nie zgodziliby się Polacy, oddawał pierwszeństwo tronowi szwedzkiemu.

Ale Władysław, obdarzony umysłem twórczym i niespokojnym, nie zatrzymywał się nigdy na jednym zadaniu. Myśląc o panowaniu w Szwecji, snuł jednocześnie inne plany, dla których również usiłował wykorzystać wpływy Ferdynanda. Prosił go więc o rękę córki, lecz wraz z tą ręką pragnął otrzymać w posagu dla siebie księstwo Wirtemberskie, a dla młodszych swych braci odpowiednie ich godnościom uposażenia w Niemczech. Dążąc bowiem do odzyskania Szwecji, a nie zapominając o swych pretensjach do tronu carskiego, chciał jeszcze zająć poważne stanowisko w Rzeczy. Już wtedy myślał o koronie cesarskiej, która mogła wdali przed oczyma jego wyobraźni. Jeśli jeszcze zważyć, że nigdy marzyć nie przestawał o powszechnej przeciw Turcji krucjacie, której byłby duszą i wodzem, to trzeba przyznać, że stawiał sobie zadania, wobec których bladły nawet olbrzymie zamysły Batorego.

A przecież snując fantastyczne plany, Władysław nie powodował się wyłącznie fantazją. Prawda, że nie brak mu było płomiennej wyobraźni, ani żądzy sławy, ale każdy z jego planów był możliwością, bądź tkwiącą swemi korzeniami w przeszłości, bądź nasuwającą się przed jego oczy, gdy wzrokiem sięgał w przyszłość. Jednakże środki, któremi rozporządzał, były bardzo małe w stosunku do kolosalnych zamiarów.

Bo i na cóż mógł liczyć?

Tron polski nie stanowił fundamentu, na którym mógłby oprzeć gmach swych wielkich planów. Szlachecka Rzeczpospolita była względem swych królów zbyt podejrzliwa, by bez największego oporu godziła się na ich politykę osobistą; była zarazem zbyt zasklepiona w sobie, zbyt nieczuła na burze, wstrząsające światem, i zbyt zajęta dniem dzisiejszym, by rzucać się w śmiałe przedsięwzięcia dla własnej przyszłości, a cóż dopiero dla potęgi i blasku królewskiej korony. A pomoc Habsburgów, tak hiszpańskich jak austriackich, była zawsze niepewna. Cesarze radzi posiłkowali się Polską, zgóry przecież można było przewidzieć, że nie tylko nie uczynią nic, by przyczynić się do stworzenia potęgi dynastycznej starszej linii Wazów, ale że potęgi tej będą się raczej lękali i że zgodnie ze swą odwieczną tradycją, dołożą starań, aby nowy król polski nie wpływał na ich politykę, lecz sam stał się posłusznem w ich rękę narzędziem.

Wprawdzie cesarz godził się oddać Władysławowi rękę swej córki, ale bez księstwa Wirtemberskiego, równie chętnie przyrzekał swe poparcie wobec zbliżającej się w Polsce elekcji, bo to poparcie nie go nie kosztowało, a wobec projektowanego małżeństwa leżało

nawet w jego interesie. Natomiast odmawiał pomocy przeciw Szwecji, pozorując odmowę własnymi kłopotami.

Władysław, rozpatrując swoje małżeństwo jedynie pod kątem widzenia korzyści politycznych, nie poprzestawał bynajmniej na zamiarze poślubienia córki cesarskiej. Jednocześnie, jak to okaże się później, rozważał on inne projekty małżeńskie. Nie mogąc uzyskać od cesarza spodziewanych korzyści, gotów był spokrewnić się z domem, nieprzyjaznym Habsburgom, byle zbliżyć się do celu. To też odpowiedź cesarza nie mogła go zadowolić. Liczył się z cesarzem, ale pragnął, aby i z nim się liczone. Nie wątpił, że wkrótce zmusi do tego i inne państwa. Kiedy bowiem wkraczał na widownię dziejową, zachód Europy stał już od lat kilkunastu w pożarach wojny trzydziestoletniej, losy państw i narodów rozstrzygały się na polach bitew, a przyszłość rysowała się niepewnie i tajemniczo. Władysław wierzył, że działalnością swoją wywrze niebawem wpływ na kształtowanie się tej przyszłości. Ale zapewne nie zdawał sobie jeszcze sprawy, gdzie przedewszystkiem ambicje jego natrafiają na nieprzełamane przeszkody.

Polska nie należała bezpośrednio do żadnego z walczących obozów, nie wносиła do stosunków międzynarodowych własnej inicjatywy, nie ważyła na szali dziejowej ani dyplomacją, ani też mieczem. I w tem tkwiło największe niebezpieczeństwo dla dążeń Władysława. Mógł on bowiem własne swe ambicje i zamiary pogodzić z interesem Rzeczypospolitej. Ale rozdźwięk polegał na tem, że gdy on sam szerokie ogarniał widnokręgi i nie myśląc poprzestawać na roli świadka, obserwującego biernie pożar światowy, pragnął walki i czynu,

to ogół szlachecki nie podzielał jego ambicji, nie widział żadnej dla kraju korzyści i żadnego niebezpieczeństwa w rozgrywających się poza ścianami Rzeczypospolitej wypadkach, a jeśli czego pragnął, to pragnął pokoju.

W takich warunkach pełen wielkich ambicji król-wiecz rozpoczynał swoją historyczną działalność od zabiegów o koronę polską.

Pierwszy jego krok, uczyniony po śmierci ojca na własną odpowiedzialność, zadziwił, a jednocześnie uraził senatorów. Oto, nikogo nie pytając o zdanie, zaczął się tytułować królem szwedzkim. Gdy z tego powodu spotkały go wyrzuty, okazało się, że Władysław wiedział, co robi i że doskonale potrafi się bronić. Przedewszystkiem więc odpowiedział interpelującym go senatorom, że przyjmując tytuł króla szwedzkiego, postąpił zgodnie z prawem, obowiązującym w Szwecji. A uczynił tak nie tylko ze względu na samego siebie, ale i dla tego także, że ten krok jego leży w żywotnym interesie Rzeczypospolitej. Toż, twierdził Władysław, pomiędzy Polską a Szwecją trwa tylko rozejm, który wkrótce się kończy, a po którym trzeba będzie układać się ze Szwedami o pokój. Dla kogoż więc miałby zrzekać się tytułu, który mu się prawnie należy? Jeśli dla Polski, to za tę ofiarę powinna coś Polska uzyskać, tem bardziej więc nie wypada przed czasem rezygnować z prawa, bo w ten sposób dogodziłoby się tylko najgorętszemu życzeniu nieprzyjaciela, nie otrzymując wzamian za to najmniejszej korzyści.

Umilkli senatorowie, stropieni „gruntownymi racjami” i odtąd sami królem szwedzkim tytułowali Władysława.

Prymas Jan Wężyk wyznaczył sejm konwokacyjny na dzień 22 czerwca 1632 roku.

Należało się lękać, że bezkrólewie stanie się okresem ostrych walk wewnętrznych, że wszystkie spory, zakłócające panowanie Zygmunta III, wybuchną teraz ze wzmożoną siłą. Położenie było tem poważniejsze, że przeciw Polsce zbroiła się Moskwa, a z Konstantynopola nadchodziły niepokojące wieści. Tymczasem bezkrólewie nie wykluczało niespodzianek, mogących zawichrzyć Rzeczpospolitą. Sam wybór Władysława, acz miał on największe widoki, pozostawał pod znakiem zapytania. Niechętni mu rozsiewali pogłoski, że sprzyja herezji, że nie obserwuje postów, że w zbyt wielkiej konfidencji pozostaje z przywódcami dysydentów. Władysław istotnie okazywał swe względy kilku możnym protektorom różnowierstwa, jak Krzysztof Radziwiłł i Rafał Leszczyński, ale z herezją nie wspólnego nie miał. Wprawdzie nie był, jak ojciec jego, bigotem, nie był przecież heretykiem. Jego dobre z różnowiercami stosunki miały podkład polityczny, a jego tolerancja wypływała z głębokiego przekonania, że nikt z powodu swej religji nie powinien być prześladowany i że niktogo na swoją wiarę nie można nawracać inaczej, jak tylko nauką i własnym przykładem.

Tymczasem wbrew panującym obawom sejmiki obradowały naogół spokojnie i zgodnie wypowiadały się za obiorem Władysława. Intrygi Gustawa Adolfa, by przez postawienie własnej kandydatury odsunąć Władysława od tronu i zapewnić wybór wojewodzie siedmiogrodzkiemu, Betlenowi Gaborowi, nie zapuściły głębiej korzeni. To też gdy na sejmiku sieradzkim odezwał się głos, usiłujący skłonić umysły ku kandydaturze za-

granicznej, szlachta porwała się do szabel i zajęła tak groźną postawę, że niefortunny mówca zaledwie zdołał ująć cało z przed oczu wzburzonego tłumu. A w Wielkopolsce bezecnością zagrożono każdemu, ktoby takiego nieprzyjaciela Rzeczypospolitej, jak Gustaw Adolf ośmielił się do tronu polskiego zalecać.

I sejm konwokacyjny, zapowiadający się burzliwie z powodu niezadowolenia różnowierców, nie zawichrzył kraju. Przyczyniło się do tego oddanie łaski marszałkowskiej w kole poselskiem w ręce hetmana Krzysztofa Radziwiłła, znanego kalwina a najmożliwszego opiekuna dysydentów na Litwie. Krok ten okazał się wysoce politycznym: uśmierzył partykularne ambicje Litwinów, dobrze usposobił dysydentów, a zobowiązał Radziwiłła, który, pragnąc godnie odpowiedzieć położonemu wien zaufaniu, przewodniczył obradom z dużą bezstronnością, a taktem i powagą swoją niejedno załagodził nieporozumienie.

Dyzunicy i dysydenci przedstawili swoje żądania na piśmie, domagając się zniesienia wszystkich przywilejów, uniwersałów i dekretoów trybunalskich, ograniczających prawa cerkwi i zborów różnowierczych, zwrotu zabranych im świątyń, mieszanych sądów w sprawach katolików z różnowiercami, równego z katolikami prawa do wszystkich urzędów oraz szeregu innych zapewnień, gwarantujących wolność religijną.

Katolicy odpowiedzieli, że pragną pokoju z dysydentami, ale na wiele przedstawionych żądań nie chcieli się zgodzić.

Zaczęły się gwałtowne spory, w które wdał się Władysław.

Wybrana dla ustalenia zgody komisja; złożona z przedstawicieli katolików i różnowierców, ułożyła ostatecznie artykuły, które warowały bezpieczeństwo i wolność szlachcie niekatolickiej, wstrzymywały wykonanie wyroków sądowych, z pogwałceniem tej wolności wydanych, zabezpieczały po miastach zbory i nakładały kary na przestępców, naruszających prześladowaniem obrządków spokojność publiczną. Te artykuły, acz nie zadowolily różnowierców, wniosły do ich obozu uspokojenie, zwłaszcza, że rozstrzygnięcie innych żądań odłożono do następnego sejmku. Doszło również do uśmierzania schizmatyków. Za pośrednictwem Władysława spisano z tymi ostatnimi czasową umowę w sprawie unickich biskupstw i kościołów, które miały być zwrócone schizmatykom.

W ten sposób burza religijna została narazie zażegnana.

Fakt ten rzuca światło na pojednawcze tendencje Władysława, świadczy zarazem o wielkiej powadze, jaką cieszyć się musiał, skoro będąc tylko kandydatem do korony i żadnych nie posiadając uprawnień, występował w roli medjatora i wywierał wpływ na postanowienia sejmujących stanów.

Lecz pojednanie poważnionych stron nie było szczere. Gdy przyszło do podpisywania aktu ugody, wielu duchownych katolickich poczyniło zastrzeżenia na rzecz religji katolickiej, a słynący ze swej żarliwości katolickiej Albrycht Radziwiłł wymazał nawet z tego dokumentu swoje nazwisko. Oburzyło to różnowierców i wywołało burzę na następnym sejmie.

Drugą ważną sprawą, stanowiącą przedmiot obrad sejmku konwokacyjnego, było domaganie się szlachty,

by duchowieństwo katolickie nie mogło nadal nabywać, ani powiększać swoich posiadłości ziemskich. Żądanie to usprawiedliwiano tem, że w rękach kleru skupiło się więcej ziemi, niż w rękach całej szlachty i króla.

— Jeśli dalej tak pójdzie, — wołano, — to Rzeczpospolita z państwa świeckiego stanie się państwem duchownem!

A że księża nie ponosili ciężarów, które spadały na barki osiadłej szlachty, więc bogacili się coraz bardziej, coraz więcej włości wykupywali z rąk szlacheckich i coraz większe obszary ziemi zagarniali w swe ręce. Cierpiał na tem skarb, do którego nie wpływały z dóbr duchownych pobory, ponadto zagrożone było samo bezpieczeństwo państwa.

— Rzeczpospolita, otoczona zewsząd groźnymi nieprzyjaciółmi, nie ma innych fortec okrom progów szlacheckich! — twierdziło rycerstwo, a najżarliwsi katolicy zgadzali się, że istniejący stan rzeczy wymaga reformy. Sam prymas przyznawał publicznie, że potrzebne są pewne ograniczenia, hamujące wzrost posiadłości kleru, ale że spór się przedłużał, więc całą sprawę odłożono do sejmu elekcyjnego.

W trakcie tych obrad przyjmowano liczne deputacje, między którymi były poselstwa od wojska kwarcianego i Kozaków. Jedni i drudzy żądali, by im zezwolono brać udział w elekcji, Kozacy domagali się nadto wolności starej religii greckiej, powiększenia żołdu i rejestru, wysuwali zaś jako swego kandydata do korony, popularnego wśród młojców królewicza Władysława. Wojsku odpowiedziano, że szlachcie, będący na żołnierskiej służbie, jeno bezpieczeństwa Rzeczypospolitej pilnować winien, a Kozaków zgromiono za zuchwałość,

oświadczając im wzgardliwie, że pospólstwo w żadnych obradach publicznych, a tem bardziej w elekcji króla nie może brać udziału.

Wyznaczywszy elekcję na 27 września 1632 roku, sejm konwokacyjny zakończył swoje czynności, a choć nie załatwił wielu spraw ważnych, zabezpieczył pokój wewnętrzny na dalszy okres bezkrólewia.

W oznaczonym terminie zgórą 70.000 szlachty napłynęło do stolicy i stanęło olbrzymim obozem na polach między Wolą a Powązkami.

Elekcja ta tem się różniła od wszystkich poprzednich, że zgoda na wybór Władysława była powszechna. Skutkiem tego nie zgłaszali się inni kandydaci do tronu nie sypali, jak to przedtem bywało, obietnicami i złotem, nie wszczynali owych strasznych intryg i kabał, co w odmet niepewności rzucały Polskę. A jednak pomimo powszechnej zgody na osobę elekta, wzburzenie było ogromne. Wywołały je zastrzeżenia katolików, poczynione przy podpisywaniu aktu, stanowiącego pokój religijny. Burzę wszczął hetman polny Krzysztof Radziwiłł atakiem na biskupa łuckiego, Grochowskiego, który wniósł protestację do grodu przeciw temu, co sejm ostatni przyznał różnowiercom.

Nadaremnie obrany marszałkiem, Jakób Sobieski, krajezy koronny, człek, cieszący się dużem zaufaniem szlachty, wytrawny statysta i zawołany mówca, starał się perswazją uspokoić wzburzenie i czynił propozycje, mogące spór załagodzić.

Krzysztof Radziwiłł, uniósłszy się własnymi słowami, a ostro gromiąc nieustępliwość katolików, zawołał w najwyższem podnieceniu:

— Niech mnie piorun zabije, jeśli źle mówię!...

Na to wojewodzie poznański Ostroróg odpalił hetmanowi:

— Zdarz Boże, aby tego jesiennego czasu taki cud się ukazał!

Zaczęły się hałasy i wzajemne przymówki. Jerzy Ossoliński z pięściami porwał się na Litwina Sakowicza, który mu szpetnie przymówił. Ujęli się za Sakowiczem Litwini, a za Ossolińskim murem stanęli koroniarze. Pomiedzy rozżartych przeciwników skoczył z łaską marszałkowską Jakób Sobieski i z najwyższym wysiłkiem uspokoił tumult. Ale obustronne roznamiętnienie doprowadziło do tego, że oba stronnictwa zaczęły przygotowywać się do stoczenia walki. Katolicy oblaczali swe siły na 15.000 zbrojnych ludzi, a Krzysztof Radziwiłł 5.000 dysydentów zgromadził pod bronią. Z obu stron wołano, że tu szable muszą spór rozstrzygnąć. Wzmagala się burza — i krew czuć było w powietrzu.

Śród takiego roznamiętnienia zawitał do Warszawy król szwedzki Władysław.

Przyjazd ten uspokoił umysły, ale zarazem zdziwił i zgorszył sejmujące stany. Przeczyło zwyczajowi, by kandydat do korony przebywał w stolicy. Powzięto zaraz uchwałę, zabraniającą w przyszłości pretendentom do tronu przebywania w pobliżu miejsca elekcji. Ale pomimo tej uchwały nikt nie domagał się, by król lewicz opuścić Warszawę. Przeciwnie: obie strony od-czuły, że on jeden może zapobiec przelewowi krwi bratniej i ustalić zgodę.

Jakoż Władysław swym taktem i powagą doprowadził do tego, że wszystko, co postanowił względem różnowierców sejm konwokacyjny, utrzymano w swej

mocy, a protestacja biskupa łuckiego została z ksiąg grodzkich wymazana. Dzięki niemu stanęła także ugoda z dyzunitami, acz tę ugodę miano przedstawić do uznania papieża. Potrafił również Władysław ukoić rozżalonych Kozaków, którzy przez nowe poselstwo upominali się o swe prawa i o swobody religijne, a którzy dzięki jego uprzejmości i zapewnieniom, z zadowoleniem opuszczali Warszawę. Wreszcie w sprawie dalszego nabywania przez duchowieństwo dóbr ziemskich zapadła uchwała, by nowy król wysłał zaraz posła do Rzymu i na zakaz, jakiego domagała się szlachta, wydał zezwolenie papieża.

W dniu 21 października zaczęły się audjence, udzielane poselstwom, a pierwszeństwo dano posłom króla szwedzkiego Władysława. Przybyli więc na pole elekcyjne czterej królewicze: Jan Kazimierz, Karol Ferdynand, Jan Albert i Aleksander oraz grono znakomitych panów z biskupem przemyskim Henrykiem Firlejem i podskarbisem koronnym Jerzym Ossolińskim na czele.

Jan Kazimierz, jako najstarszy z braci, powitał w języku polskim zgromadzone stany, a mowę, zalecającą do tronu Władysława, wygłosił biskup Firlej.

Stwierdził on na wstępie, że w Rzeczypospolitej królowie nie panują nad zacnym narodem polskim, ale mu przewodniczą, nie rodzą się królami, ale wolnymi głosami stanów są obierani. Przypomniawszy przecież, że wolny naród polski, przystępując do elekcji, nie pominął nigdy potomków królewskich, ale ich to miał przede wszystkim na względzie. Tu mówca powołał się na przykład Jagiellonów, których krew po matce Zygmunta III płynie i w jego synach. Następnie rozwiódł się nad cnotami Władysława, nad jego rozumem i męstwem,

znanem całemu krajowi tak z wyprawy na Moskwę, jak wojny chocimskiej. Zwrócił następnie uwagę, że Władysław od dzieciństwa kształcił się w sztuce wojennej, a zahartowany do wszelkich trudów i znojów, nie obawia się najtrudniejszych zadań, lecz gotów je podjąć i z pożytkiem dla Rzeczypospolitej sprawować powierzone mu rzady.

Na powitanie Jana Kazimierza i mowę Firleja odpowiedział prymas oraz marszałek koła rycerskiego Jakób Sobieski. Obaj mówcy sławili ze swej strony zalecanego kandydata, ale z naciskiem podkreślali, że tylko jednomyślna wola narodu może mu zapewnić tron polski. Wyrażali przecież nadzieję, że naród będzie miał wzgląd na godność, charakter i zasługi Władysława oraz na wstawienie się za nim braci-królów.

Następnego dnia zjawił się przed stanami nuncjusz papieski Visconti i imieniem Urbana VIII wypowiedział się za wyborem Władysława. To samo uczynił poseł cesarski hr. Mersberg, przypominając zgromadzonym pokrewieństwo kandydata z cesarzem i zapewniając o przyjaźni, jaką cesarz Ferdynand II żywi dla swego siostrzana. Powaga Władysława była tak wielka, że nawet posłowie szwedzcy nie wypowiadali się przeciw niemu, lecz żądali tylko, by przed włożeniem korony polskiej zrzekł się tytułu króla szwedzkiego, bo tytuł ten jest powodem niezgody między dwoma, niegdyś zaprzyjaźnionymi ze sobą narodami. Szwedom odpowiedzieli dyplomatycznie prymas i marszałek, że Polacy szczerze myślą o zawarciu słusznego ze Szwecją pokoju, a przy elekcji króla na widoku mieć będą wyłącznie dobro Rzeczypospolitej.

Wszystkie te poselstwa i ceremonje były w gruncie rzeczy czezą formalnością, gdyż wybór był już przesądzony. Ale im większa co do tego panowała pewność, tem bardziej starano się podkreślić wolność elekcji i uczynić zadość wszystkim formalnościom.

A przebieg elekcji, zakłócany nieustannie coraz to nowemi materjami, przedłużał się niezmiernie i coraz większy wytwarzał chaos.

Tymczasem wyboru króla jak najprędzej należało dokonać, bo car moskiewski, licząc na niemoc Rzeczypospolitej z powodu bezkrólewia, pogwałcił trwający rozejm, rozpoczął wojnę, wziął Dorohobuż i skierował swe wojska na Smoleńsk, by wyrzucić go Polakom. A z Turcji w dalszym ciągu niepokojące nadechodziły wieści. Nie licząc się z tem, zgromadzona na polu elekcyjnym szlachta trawiła drogi czas na jałowych dysputach i wrzaskach.

Dopiero 8-go listopada, w ostatnim dniu, przeznaczonym na elekcję, przystąpiono do wyboru. Jednomysłność wśród szlachty była tak powszechna, że w ciągu pół godziny królem wybrany został Władysław.

Przez kilka dni następnych komisja, wyłoniona z senatu i koła rycerskiego, układała *pacta conventa*. Klócono się zawzięcie, gdyż wobec wojny z Moskwą szlachta, obawiając się nowych ciężarów, chciała uszczuplić dochody królewskie. Słuchając tych kłótni, podkomorzy Maniecki zauważył z goryczą:

— „Dobra Rzeczypospolitej za nasze sądząc, kiedy tedy żądamy co mieć dla nas z tych dóbr, to z ochotą o tej materji traktujemy, kiedy zaś co dać trzeba na potrzeby Rzeczypospolitej jako matki naszej, to się ociągamy i długo deliberujemy”.

Ale głos ten nie trafił do przekonania obradującym. Na wniosek posła Orzelskiego postanowiono żądać od króla, by skasował poradne i podymne. Uczyniono to z wielkim zapalem, a wnioskodawca zyskał nawet wśród braci szlacheckiej poklask i wziętość.

— Podobalo się to wszystkim, — powiada Albrycht Radziwiłł, — bo te podatki „wolnemu szlachcicowi niewola pachnęły”.

W ten sposób zubożono skarb państwa i jeszcze bezsilniejszym uczyniono króla, ale hojny Władysław nie odrzucił żądania i w ten sposób pozwolił na pokrzywdzenie Rzeczypospolitej. Zaakceptował również inne warunki, któremi zobowiązywał się zachować wszystkie wolności i przywileje szlachty, utrzymać z dysydentami pokój, przestrzegać zawartych z postronnemi państwami przymierzy, wojska nie pomnażać, wojen nie wszczynać, a pokoju z Moskwą i Szwecją nie zawierać bez zezwolenia stanów.

Śród innych mniej ważnych zobowiązań znajdowało się jeszcze żądanie, by Władysław zrzekł się tytułu króla szwedzkiego, jeśliby Szwecja dobrowolnie oddała Polsce Prusy i Inflanty. I to żądanie miał spełnić Władysław w największej tajemnicy. A przecież na chwilę nie myślał o zrzeczeniu się praw swoich do Szwecji. Król wiedział, czem są obie prowincje dla Szwedów. Gustaw Adolf nazywał Inflanty i Prusy skrzydłami orła polskiego, nie było przeto prawdopodobną rzeczą, by drapieźnik szwedzki, trzymając te skrzydła w swym ręku, zechciał dobrowolnie je puścić.

Dopiero dnia 13 listopada, po ostatecznem ułożeniu paktów i otrzymaniu na nie zgody Władysława, odbyła się ceremonia ogłoszenia go królem.

Dnia tego niezliczone tłumy zaległy pole elekcyjne, a zbrojne hufce króla i panów towarzyszyły uroczystości. Gdy posłowie króla, klęcząc na środku pola elekcyjnego, złożyli imieniem Władysława odczytaną im przez kanclerzy przysięgę na ułożone *pacta*, wtedy dopiero prymas nominował króla, a marszałkowie koronny i litewski obwołali elekta w okopie. Zaraz też olbrzymi krzyk podniósł się na polu elekcyjnym i rozgłośnie wiwaty na cześć nowego króla przeszły powietrze. Na ten sygnał odezwali się trębacze, a huk muszkietów i grzmoty armat obwieściły światu, że Władysław IV rozpoczyna swe panowanie.

Zaraz po wstąpieniu na tron, Władysław, zawsze mając Szwecję przed oczyma, wyciągnął do Gustawa Adolfa rękę pojednania. Wysyłając poselstwa do dworów zagranicznych, zawiadomił i jego o śmierci Zygmunta III i o swoim wyborze.

— „Przeszłe nie tyle wrogie uczucia, ile sprawy wojenne, nie są w stanie puścić w zapomnienie ani zwyczajów monarchów, ani praw natury”, — pisał do zwycięskiego krewniaka i zapraszał go na uroczysty pogrzeb Zygmunta i własną swą koronację. Była to nowa próba, zapomocą której usiłował Władysław zbliżyć się do Gustawa Adolfa, w nadziei, że w ten sposób zbliży się zarazem do szwedzkiego tronu... Ale Gustaw Adolf dnia 16-go listopada 1632 r. zginął w sławnej bitwie pod Lützen — i pismo królewskie pozostało bez odpowiedzi. Wtedy Władysław, ciągle odzyskanie tronu szwedzkiego mając przed oczyma, ponowił starania o pomoc na dworze cesarskim i zaczął porozumiewać się z potężnym Wallensteinem, który sprzyjał, czy też udawał tylko, że sprzyja Włady-

sławowi i straszną swą szablę ofiarowywał na jego usługi.

Ale tocząca się już wojna z Moskwą i sprawy wewnętrzne państwa zbyt wiele pochłaniały uwagi i energii króla, by mógł się jednocześnie zdobyć na walkę o koronę szwedzką.

Sejm koronacyjny, rozpoczęty w Krakowie 31 stycznia 1633 roku, był wielce burzliwy.

W czasie obrzędu koronacyjnego prymas, przemawiając do stojącego przed ołtarzem króla, napominał go, by pamiętał zawsze, że jedynie religja katolicka „berło w Polsce trzyma i ono królom daje, aby nie zabaczali przyjętego tam na siebie obowiązku bronienia i rozkrzewienia religji katolickiej”. Ponadto powiedział, że to, co dla utrzymania pokoju „w czasie bezkrólewia i lekcji różnowiercom dozwolono, tego za prawo wieczyste trzymać nie mogą”.

W odpowiedzi na te słowa prymasa różnowiercy podnieśli srogą burzę, którą z największym trudem zażegnano. A dyzunicy zaprzestali opozycji dopiero wtedy, gdy król im wydał dyploma, potwierdzające wolność religijną.

Ostatecznie przecież ustępstwa, poczynione tym ostatnim, miały być przedstawione do zatwierdzenia papieżowi. O papieża również musiał się oprzeć spór między szlachtą a duchowieństwem w sprawie dóbr ziemskich, a także walka, prowadzona przez Akademię Krakowską z jezuitami, którzy zakładali w Krakowie szkoły, choć wyłączny przywilej na to miała Akademia. Władysław stanowczo oświadczał się za prawami Akademji przeciw jezuitom. Ponadto chodziło jeszcze o to, aby duchowni w sprawach kryminalnych stawali

przed sądami krajowemi bez odwoływania się do Rzymu.

W takich warunkach poselstwo do papieża miało wielkie dla króla znaczenie.

Wielu katolików krzywiło się na ustępliwość Władysława. Kiedy zaś składał przysięgę, to przy punkcie, poświęconym pokojowi z dysydentami, kanclerz litewski, znany ze swej żarliwości katolickiej Albrycht Radziwiłł, szepnął królowi do ucha:

— „Nie miej wasza król. mość tej intencji”.

Władysław żywił pogardę dla tak niegodnych wybiegów.

— „Komu przysięgam usty, temu przysięgam i intencją”,—odpowiedział kanclerzowi.

Otóż potępienie tej przysięgi przez stolicę apostolską mogło się stać ciosem dla powagi króla w Rzeczypospolitej. A że Władysław chciał zjednać papieża dla swoich widoków politycznych, więc misja poselska do Rzymu tem większej nabierała wagi.

Misji tej na żądanie króla podjął się podskarbi koronny Jerzy Ossoliński.

Jako dzielny wykonawca planów Władysława, a później prawa jego ręka i pierwszy minister, zasługuje on na bliższą uwagę.

Była to postać niepospolita.

Wszechstronnie wykształcony zagranicą, rzutki, przedsiębiorczy, wyróżniał się Ossoliński wśród tłumu szlacheckiego umysłem bystrym, głębokim i niezmierną, choć tajoną ambicją. Jako polityk był ostrożny i przewidujący, ale umiał być także zuchwałym i gwałtownym. Przebiegłość, której nigdy mu nie brakło, osła-

niał najczęściej pozorami prostoty, silną wolę łączył z wyrachowaniem. Był krasomówcą, a jego piękną przyrodzoną wymowę podnosił głos tak silny, głęboki a zarazem tak dźwięczny i przejmujący, że kiedy zaczynał przemawiać, to w największym zgromadzeniu odrazu czyniła się cisza i uwaga wszystkich skupiała się na mówcy. Znał doskonale naturę ludzką, wiedział, co komu powiedzieć, czem kogo olśnić, jak komu pochwalić, a jednocześnie zachować własną powagę i godność. Sprawa, której bronił, zawsze w jego argumentacji odznaczała się jasnością, prostotą, była tak słuszna, sprawiedliwa, oczywista, iż zdawało się, że nie może budzić żadnej wątpliwości. Powaga, z jaką przemawiał, ani pozwalała się domyślać, że pod jej osłoną czai się chytrłość i podstęp. W wystąpieniach swoich umiał być, zależnie od okoliczności, śmiałym i nieugiętym, to znowu pozornie miękkim, zgodnym i uступliwym, jeżeli tylko droga zgody i uступstw zbliżała go do celu. Cenił się wielce i znał swą wartość. Na tłumy ciemnej nieokrzesanej szlachty spoglądał z uczuciem wyższości, żywił pogardę dla jej nieuctwa, przesądów i krzykliwości. Z natury despotyczny, nienawidził wszelkiej opozycji i nieraz nie taił swych uczuć. Gdy jednak chciał, potrafił się powściągnąć, a wtedy ukazywał przeciwnikom twarz, jak marmur zimną i niczem niewzruszoną. Z biegiem lat, w miarę zdobywania coraz większych zaszczytów, przestawał ukrywać się ze swą wzgardliwą pychą i nieraz z tego powodu ściągał na swą głowę gromy oburzenia. Zczasem stał się przedmiotem nienawiści szerokich mas szlacheckich i celem nieustannych ataków. I nie dziwnego. Ossoliński był nie tylko przeciwnikiem złotej wolności szlacheckiej, ale nawet konsty-

tueyjnych swobód, któremi słynęła po świecie Rzeczpospolita. Tego nie mogła darować mu szlachta. Sławiono ją zagranicą, zniesławiany był w Polsce.

Karjerę swoją własnym zawdzięczał talentom.

Przyjęty na dwór królewicza Władysława, odbył wraz z nim wyprawę przeciw Moskwie i już wtedy odznaczył się dużemi zdolnościami, gdy trzeba było pisać raporty do króla i usprawiedliwiać niepowodzenia wojenne. Ale skutkiem własnej pychy oraz ciągłej rywalizacji i zatargów z Kazanowskimi, ulubieńcami królewicza, stracił jego łaski i źle był przez Władysława widziany. Potrafił natomiast zwrócić na siebie uwagę Zygmunta III. Wysłany w r. 1621-ym do Anglii w celu uzyskania jej pomocy na wojnę z Turcją, wykazał dużą zręczność i talent dyplomaty. Już w tej pierwszej misji politycznej zabłysnął wobec cudzoziemców swą niezwykłą wymową. Króla Jakóba, który udzielił mu uroczystej audjencji w obecności dworu i parlamentu, wprowadził w zachwyt zręcznemi pochlebstwami, a wszystkich oczarował i olśnił. Mowę Ossolińskiego wzruszony Jakób rozkazał natychmiast wydrukować w językach angielskim, hiszpańskim, francuskim, niemieckim i łacińskim. Mowa ta stała się sensacją, bo jednego dnia rozechwytno kilkanaście tysięcy egzemplarzy. Młody poseł Rzeczypospolitej, traktowany odtąd z największemi honorami, wyróżniany przez króla i cały dwór, doprowadził do umowy, którą Jakób zobowiązał się własnym kosztem zgromadzić, uzbroić i dostarczyć do Gdańska 5.000 żołnierzy. Szybkie zakończenie zwycięskiej dla oręża polskiego wojny uczyniły pomoc Anglii zbyt cenną, ale sukcesy londyńskie Ossolińskiego utrwaliły jego pozycję w Polsce.

Po powrocie do kraju zajął się własnymi interesami i w szybkim czasie rozslawił się, jako znakomity administrator, człek oszczędny i rządny, umiejący zabiegliwością i pracą powiększać swoją fortunę. W r. 1631 izba poselska wybrała go swoim marszałkiem. W roku następnym już przed samym zgonem Zygmunta III, dzięki protekcji wszechwładnej Urszuli Majerin, został podskarbin nadwornym. Na tem stanowisku, bronił spraw Władysława na sejmie konwokacyjnym z takim taktem i taką rozważą, że odrazu odzyskał utracone przed laty łaski królewicza. Władysław mianował go swoim oratorem i ministrem prywatnym. Tego tylko było mu potrzeba, aby zabłysnąć swemi talentami i wykazać swą wartość. Jakoż cały czas aż do koronacji tak świetnie wywiązywał się ze swych obowiązków, że po sejmie koronacyjnym, nowy król, nie znający miary w swej szczodrości, ofiarował mu w dowód wdzięczności własny swój pałac w Warszawie, 60.000 złotych polskich, drogocenną szablę, sześć pysznych koni, wspaniałe obicia i bardzo dochodowe starostwo bydgoskie.

W przeciwstawieniu do swego ojca, który w stosunku do ludzi odznaczał się nieufnością, oddalał od siebie jednostki wybitne i rad otaczał się schlebiającemi mu miernotami, Władysław znał się na ludziach, wolny był od małostkowych uprzedzeń i chętnie zbliżał do siebie talenty. Nic dziwnego, że widząc niezwykle zdolności Ossolińskiego, zapragnął go pozyskać i wprzecz go zczasem w swe olbrzymie zamysły. A wysyłając Ossolińskiego w poselstwie do papieża celem załatwienia wielu drażliwych kwestyj, uczynił krok rozsądny i zręczny. Ossoliński bowiem dał się już poznać, jako najjarliwszy katolik i miał pod tym względem ustaloną

opinię. Niedawno, na sejmie elekcyjnym występował z takim zapalem przeciw dysydentom, że swą gorliwością katolicą przewyższył wszystkich biskupów.

To też wybór takiego posła przez króla uspokoił całe duchowieństwo i zyskał nawet pochwały jezuitów. Z drugiej strony i Władysław był pewien, że wyróżniony przez niego i obsypany dobrodziejstwami statysta, skoro podjął się poselstwa, to nie zawiedzie zaufania i uczyni wszystko, by jak najlepiej wywiązać się z włożonych nań obowiązków. A prócz załatwienia na dworze papieskim spraw, mających spełnić życzenia szlachty i zapewnić krajowi spokój religijny, miał jeszcze Ossoliński dać poznać papieżowi wielkie zamiary króla w stosunku do Szwecji i Turcji i ostrożnie przygotować w Rzymie grunt, na którym, gdy przyjdzie odpowiednia chwila, możnaby dla planów królewskich znaleźć potrzebne oparcie.

Tymczasem przecież wojna z Moskwą górowała nad wszystkimi sprawami i wymagała największej pieczołowitości i opieki stanów. Lecz sejm koronacyjny, niezwykle wrzaskliwy, chaotyczny i nieprzyzwoity w obradach, uchwalił wprawdzie komput wojska przeciw Moskwie na 23.000 żołnierza z płacą 776.220 zł. kwartalnie, ale nie zabezpieczył środków na prowadzenie wojny. Położenie było tak ciężkie, że elektor brandenburski za 90.000 zł., ofiarowanych królowi na wojnę z Moskalami, wytargował składanie lenniczego hołdu nie osobiście, lecz przez zastępcę. Był to poważny krok na drodze wyzwalań się elektora z zależności polskiej, ale snąć król i stany wielką wagę przywiązywały do gotowego grosza, skoro zezwoliły lennikowi na takie

ustępstwo, zwłaszcza, że obłudne jego postępowanie na żadne nie zasługiwało względy.

Zaraz po zakończeniu sejmu koronacyjnego król przystąpił do gromadzenia sił zbrojnych na odsiecz Smoleńskowi. Pracował z wielką energją. Pisma, które podówczas na wszystkie strony rozsyłał, świadczą, że wchodził we wszelkie szczegóły przygotowań wojennych, nie zaniedbując niczego, by powodzenie zapewnić wyprawie. Tak więc w jednym z licznych swych listów owego czasu domaga się, aby zapasy żywności gromadzono zawczasu pod Smoleńskiem, w innym wzywa dzierżawców starostw ukraiennych do przygotowania na potrzeby wojska odpowiedniej ilości siekier, motyk i rydlów. Kiedy indziej napomina magistrat wileński, aby saletry i prochów nie pozwolił wywozić za granicę, to znowu nakazuje „poddanym mohilowskim”, aby zamiast masła i serów, słoninę lub też jałowice na potrzeby zamku smoleńskiego dostarczali.

Pochłonięty wojną, nie zaniedbywał spraw innych, a korespondencja królewska owego czasu świadczy, że pilnie badał skargi i żale, które do niego zanoszono. Starając się o wymiar sprawiedliwości dla wszystkich mieszkańców Rzeczypospolitej, szczególną pieczę otaczał pokrzywdzonych mieszczan, chłopów i wszelką biedotę, która chroniła się pod jego opiekuńcze skrzydła. Idąc walczyć z wrogiem, walczył jednocześnie z gwałtem i wyzyskiem we własnem swem państwie. Najwidoczniej uczucia, które w latach młodości wzbudził w nim jego światły nauczyciel, nie rozwiały się w blasku korony. A sprawiedliwość Władysława ma wdzięczną wymowę i piękne świadectwo wystawia jego szlachetności.

W grudniu 1633 roku wysłał król pismo do „sławetnych burmistrzów, rajców i ławników naszego miasta Mohilowa” i ujmując się za wymienionymi z nazwiska czterema chromymi biedakami, wyrzuca zarządowi miasta, że obciąża tych nędzarzy podatkami i nie ma żadnego na ich ubóstwo respektu.

— „Chcemy tedy mieć i rozkazujemy,—pisze Władysław,—aby wierności wasze tych żebraków do podatków żadnych nie przymuszali. Osobliwie za to, że do nas z supliką się udali, karać ich wierności wasze nie ważyli się”.

Innym razem wyznacza komisarzy dla zbadania skargi żyda mohilowskiego Abrahama Jachimowicza przeciw mieszczanom, którzy dom Jachimowicza gwałtem naszli, „małżonkę jego Frejdę Mędzielównę i córkę zbili, zmordowali, poranili, majątności im niemało pozabierali, gwałty różne, ekscesa poczynili”. Oburzony król rozkazuje komisarzom „serjo w tę sprawę wejrzeć, inkwizycję dostateczną poczynić i winnych pokarać”, gdyż, jak się pięknie wyraził, dbać musi o to, „aby pod panowaniem naszym nikt wszelakiego stanu bezprawia nie ponosił”.

Wszakże najwięcej listów rozsyła król, broniąc krzywdzonych i uciskanych chłopów.

W jednym z takich listów gromi niejakiego Bazylego Konstantynowicza za to, że niemiłosiernie obchodzi się z poddanymi sióła Ususzek.

— „Nieprawnie,—pisał,—do robót przyganiasz czynsze, działka bierzesz i różne krzywdy, grabieże i uciążenia onym czynisz”. W dalszym ciągu powiadamiając szlachcica, że całą sprawę rozkazał należycie zbadać, żąda od niego, aby w przyszłości ściśle stosował się do

tego, co administrator ekonomji mohilewskiej postanowi, tak, „abyśmy więcej od tych poddanych naszych skarg w krzywdach ich nie mieli”.

To znowu wzywa Stefana Paca, podskarbiego ziemskiego i pisarza W. Księstwa Litewskiego, aby z powinności urzędu swego wytoczył inkwizycję przeciw szlachcicowi Andrzejowi Wyszkowskiemu za ciemnienie chłopów. Innym razem nawołuje generalnego ziemi żmudzkiej starostę, Janusza Wollowicza, by pilnował urzędników i podstarośców swoich, którzy uciskają poddanych włości szawelskiej i upitskiej, krzywdy onym czynią, powinności, niezgodne z ustawami nakładają, do ubóstwa i nędzy przywodzą.

Kiedy indziej pisze do „urodzonej” Rajeckiej, iż doszło do jego wiadomości, że poddani wójtostwa borejkowskiego „wielkie krzywdy, grabieże, więzienia i inne różne ciężary od wierności twojej ponoszą”. Król w gniewnych słowach karcie takie postępowanie, domaga się, by w przyszłości nie podobnego się nie powtarzało, grożąc, że w przeciwnym razie rozkaże instygatorowi swemu postąpić z całą surowością prawa.

W obronie uciśnionych nie waha się Władysław grozić dygnitarzy i magnatów, piastujących najwyższe w Rzeczypospolitej urzędy. W korespondencji z wojewodą witebskim księciem Szymonem Samuelem Sanguszką wyrzuca mu w ostrych słowach nielitościwe traktowanie mieszczan witebskich, karcie go za jego nie-ludzkość, czyni wymówki, że nie zważa na królewskie napomnienia i w dalszym ciągu niemiłosiernie sobie poczyną. Wobec tego ostrzega wojewodę, by nie lekce- ważył sobie napomnień, rozkazuje mu, by zaniechał

występków, a w razie nieposłuszeństwa, grozi mu karą i niełaską królewską.

Wiele listów takiej samej treści pisze król w późniejszych czasach do innych dygnitarzy. A więc napolinając kasztelana kamienieckiego, Piasoczyńskiego, powiada, że nierad widzi, „gdy kto na prawo cudze następuje, a to sobie przywłaszcza, co mu nie należy”. Rąbiąc słowa prawdy kasztelanowi sieradzkiemu Przerębskiemu, żąda od niego, aby sługom swoim rozkazał w stosunku do włościan „miłosierniej się obchodzić i zakazać zażywać takowej nad nimi surowości, poruszyły nas bowiem tak rzewliwe ich supliki, którym winniśmy naszą protekcję”.

W imię prawa karci ks. Jeremjasza Wiśniowieckiego i innych magnatów, zawsze ujmując się za pokrzywdzonymi i zawsze wymiar sprawiedliwości mając na widoku.

Na tle pierwszych kroków i wystąpień nowego króla wyraźnie zarysowała się jego indywidualność. Władysław IV był przeciwstawieniem swego ojca i zgoła też innemi kroczył drogami. Przedewszystkiem, co odrazu było widocznem, w sposób całkiem stanowczy zerwał z polityką nietolerancji religijnej Zygmunta III. Dążąc do zadowolenia dysydentów i dyzunitów, działał zarówno we własnym interesie, jak w interesie Rzeczypospolitej, tak bowiem protestantom, jak schizmatycznej Moskwie zamykał drogę do nieustannych wewnętrznie kabał i wicherzeń. Pracując od pierwszych chwil nad utrwaleniem w państwie pokoju, chciał ku wyższemu celowi skierować politykę polską i dla wielkich zadań zużytkować siły narodu. Ambitny, żądny sławy, ale z charakteru, obyczajów i usposobienia bliski

Polakom, wykazał na wstępie swego panowania takt, rozsądek i umiejętność godzenia sprzeczności. Względy, które okazał Kozakom, świadczyły, że i ten żywioł gorący, wojowniczy, a wiecznie niezadowolony usiłuje pozyskać dla kraju, a niezwykła w owych czasach wrażliwość na los ciemniejących chłopów i mieszczan była dowodem, że nowy król pragnie, aby pod jego berłem sprawiedliwość ochraniała wszystkich Rzeczypospolitej mieszkańców. Pod jednym tylko względem nie różnił się od ojca: miał nieustannie na względzie swój interes dynastyczny, a królestwo szwedzkie, które na łożu śmierci uroczyście przekazał mu Zygmunt, na jedną chwilę nie przestawało być przedmiotem jego zabiegów. Lecz i tutaj w przeciwstawieniu do wiecznie niezdecydowanego w działaniu, a skłonnego do intryg Zygmunta, przyświecały mu śmiałe plany i wielkie idee, mogące wprowadzić Rzeczpospolitą na szeroką widownię dziejową, jako siłę samodzielną, czynną, a ważącą na losach Europy.

Czujny na wszystko, co się działo w stosunkach międzynarodowych, nie myślał być nowy król biernym widzem wstrząsających światem wydarzeń. Uśmiechały mu się laury dyplomaty i sława wielkiego wojownika. Na pierwsze musiał jeszcze czekać, lecz wrota do drugiej szeroko otwierała mu rozpoczęta przez cara moskiewskiego wojna.

III

WOJNA Z MOSKWA I POKÓJ POLANOWSKI

Dawno już Moskwa nie przygotowała się tak starannie do wojny z Rzeczpospolitą, jak to uczyniła tym razem. Car, Michał Fiedorowicz, nie polegając na własnych siłach, już w styczniu 1631 roku wyprawił swych agentów do Szwecji, Danji, Holandji i Anglji, by werbowali wojska cudzoziemskie. Nie bacząc na trwanie rozejmu dywilińskiego, czekał tylko odpowiedniej chwili, by wkroczyć w granice Polski, pomścić doznane w poprzednich wojnach porażki i „przywrócić państwu moskiewskiemu miasta, które oddane były Polsce i Litwie przez szablę”.

Okoliczności sprzyjały zamierzeniom carskim, bo wraz z ukończeniem przygotowań wojennych zmarł Zygmunt III i w Rzeczypospolitej zaczęło się bezkrólestwie, a więc najdogodniejsza pora do rozpoczęcia wojny. Jak zwykle zresztą, Polacy nie byli przygotowani do odparcia najazdu, nie strzegli należycie granic, nie mieli w dostatecznej mierze pieniędzy, broni, ni armat, nie posiadali znaczniejszej siły zbrojnej—i dopiero gdy wróg ogniem i mieczem zaczął pustoszyć ziemie granicz-

ne, a wschodnia ściana Rzeczypospolitej stanęła w płomieniach, zaczęli myśleć o obronie.

Wojska carskie wiódł znakomity bojarzyn Michał Borysowicz Szejn, ten sam, który przed dwudziestu laty bronił Smoleńska, obleżonego przez Polaków, a więty do niewoli, zaprzysiągł, że nigdy już więcej broni przeciw Polsce nie podniesie. Szejnowi towarzyszył okoliczny Artemi Izmailow.

Zajawszy bez przeszkody wiele pogranicznych miast i miasteczek na Litwie i Ukrainie, główne siły moskiewskie pod wodzą Szeina, obliczane przez Polaków na 100.000 ludzi, ruszyły pod Smoleńsk i w dniu 14 listopada 1632 roku rozpoczęły oblężenie.

Obóz zatoczony został na brzegu Dniepru od północno-wschodniej strony Smoleńska. Dwa mosty, ubezpieczone szańcami, ułatwiały oblegającym komunikację z drugim brzegiem rzeki. Od strony północno-zachodniej zajęli pozycje dowódcy Prozorowski i Biełosielski, również mając do swego rozporządzenia dwa mosty na tratwach. Dalej na zachód okopał się ze swoją piechotą pułkownik szkocki Kitti, bliżej miasta usadowiły się wyciągniętem ku południowi półkolem najemne regimenty cudzoziemskie: Anglicy, Szkoci, Francuzi i Niemcy.³ Dla zabezpieczenia się przed odsieczą ufortyfikował Szejn na przeciwległym północnym brzegu górze Pokrowską, a góry Dziewięzą i Skowronkową, najwyższe w okolicy miasta, obsadził silnemi strażami. Opasawszy w ten sposób Smoleńsk, zaczął sypać szańce i wały, czynić podkopy, zakładać miny i coraz bardziej zagrażać fortecy.

Załoga Smoleńska, którą dowodził podwojewodzi Sokoliński przy pomocy porucznika Wojewódzkiego, nie-

dostatecznie zaopatrzona w żywność i środki obronne, mężnie stawiała czoło, ale widząc dokoła olbrzymie siły, niecierpliwie czekała odsieczy.

Tymczasem wojewoda smoleński Aleksander Gosiewski, pokłóciwszy się z hetmanem Krzysztofem Radziwiłłem, nie nie przedsięwziął i na łaskę losów pozostał obleżoną fortecę.

Na szczęście Krzysztof Radziwiłł, magnat hardy i pyszny, bardzo często poświęcający sprawy publiczne dla prywaty, ale wojownik doświadczony, śmiały i przedsiębiorczy, niecierpiany przez króla Zygmunta, lecz cieszący się względami Władysława, zebrał 4.500 żołnierzy i ruszył z nimi pod Krasne. Nie mogąc się mierzyć z wielką armją nieprzyjacielską, zaczął ją trapić podjazdami, porywać setki jeńców, przecinać dowóz żywności i zmuszać wroga do nieustannego czuwania. Wiedząc o szczupłych siłach obleżonej załogi, posyłał jej posiłki, a udało mu się jednego razu 400 ludzi wprowadzić do zamku. Zachęcony powodzeniem, ponowił próbę i, korzystając ze świąt Wielkiejnocy starego stylu, a licząc na mniejszą czujność Moskali, po raz wtóry zasilił fortecę. Tym razem oddział piechoty hetmańskiej, liczący 600 żołnierzy, prowadząc znaczne zapasy prochu, w biały dzień zbliżył się niespodzianie do pozycji nieprzyjacielskich, z wielkim impetem uderzył na wojska, zagradzające drogę do twierdzy i z rozwiniętymi sztandarami, wśród odgłosu trąb i radosnego bicia w bębny, wkroczył do zamku.

Dzięki tej akcji Radziwiłła, obrońcy Smoleńska, czując nad sobą pieczę, a otrzymując wielce pożądaną pomoc, dobrego byli ducha i bronili się dzielnie. Ale artylerja nieprzyjacielska coraz większe wyłomy czyni-

ła w murach i coraz bardziej zagrażała twierdzy. Dnia 17 lipca (1633 r.) inżynierowie cudzoziemscy założyli ogromną minę, której wybuch rozwalił basztę i mur na długość 400 kroków. Od tego wybuchu ucierpiały przygotowane do szturm, a zbyt blisko murów stojące pułki moskiewskie, gdyż około 1.000 Moskali zginęło pod gruzami. Pomimo to przyszło do morderczej walki, gdyż nieprzyjaciel wielką masą rzucił się do wyłomu. W ciągu sześciu godzin na zwaliskach i gruzach bronili się Polacy, a bronili się z taką furją, że Moskale dali za wygraną i zaprzestali boju.

Tymczasem król z wielką trudnością i bardzo powoli gromadził wojska na odsiecz Smoleńskowi. Brak środków pieniężnych i brak wśród szlachty zapasu do walki z najeźdźcą nie sprzyjał wysiłkom Władysława, a liczne sprawy państwowe trzymały go w stolicy. Dopiero w maju 1633 r., powierzwszy pieczę nad Rzeczpospolitą prymasowi i hetmanowi wielkiemu koronnemu Koniecpolskiemu, opuścił Warszawę i wyjechał do Wilna.

Do stolicy W. Ks. Litewskiego przybył dopiero pod koniec czerwca i, załatwiając sprawy W. Księstwa, cały miesiąc czekał na zbierające się wojska, nim mógł wyruszyć w pole, by objąć dowództwo naczelne i kierować działaniami wojennymi.

W czasie pobytu króla w Wilnie zmarł nagle hetman wielki litewski i wojewoda wileński Lew Sapieha. Po godności i dygnitarstwa, które zawakowały wraz ze zgonem wojewody, zgłosili się liczni pretendenci, a fakt ten po raz pierwszy postawił nowego króla oko w oko z zawiścią, warcholstwem i pychą magnatów.

Godność wojewody wileńskiego oddał Władysław Tyszkiewiczowi i nominacja ta uroczyście obwieszczona została z ambony. Tymczasem do godności tej rościł sobie pretensje hetman Krzysztof Radziwiłł, właśnie przybyły do Wilna dla zobaczenia się z królem. Wielce dotknięty doznany zawodem rozpoczął zaraz intrygę, by zmienić decyzję królewską i samemu wojewodą zostać.

A Krzysztof Radziwiłł należał do ludzi, z którymi każdy, nie wyłączając króla, musiał się liczyć. Człek o niepomiernej pysze rodowej, dobry wódz i wytrawny statysta, gotów był każdej chwili od czynu ofiarnego przerzucić się do warcholstwa, od przyjaźni do nienawiści, jakgdyby między przeciwległymi krańcami w jego uczuciach żadnego nie było przedziału. Była to natura bogata, nieokiełzana w gniewie, nie dająca się ująć w żadne karby, nieobliczalna i niebezpieczna. Na pierwszym miejscu zawsze stawiał Radziwiłł dobro swego domu. Chciwy zaszczytów i splendorów, urażał się łatwo, a urażony, jeszcze łatwiej posuwał się do występku.

Postanowiwszy wyrwać z rąk Tyszkiewicza godność wojewody, wysłał do króla Albrychta Radziwiłła, tego samego, który jako żarliwy katolik wymazał swe nazwisko z aktu, gwarantującego różnowiercom pokój religijny. Wprawdzie Krzysztof był kalwinem i najmożliwszym na Litwie ich protektorem, ale gdy chodziło o potęgę rodu radziwiłłowskiego, obaj magnaci szli ręką w rękę i żadnych nie mieli skrupułów. Uradzili oni, by Tyszkiewicza skłonić do zrzeczenia się otrzymanej godności i „ugłaskać” go za to cłem W. Księstwa Litewskiego, a króla prosić, by „błąd” swój naprawił i zatwierdził dokonaną transakcję.

Z taką misją udał się do Władysława Albrycht Radziwiłł.

Niepewny przyjęcia, zastrzegł się na wstępie, że przychodzi, jako „poseł” hetmana, choćby więc to, co powie, nie trafiło do przekonania królowi, to przecież, jak się wyraził, „posła bić się nie godzi”. A gdy król zapytał, z czem przychodzi, Albrycht szeroko się rozwiódł nad zasługami Krzysztofa dla Rzeczypospolitej i króla, kładąc szczególnie nacisk na to, co zdziałał już hetman w toczącej się wojnie. Tymczasem, mówił, nie baczając na to, król „województwo wileńskie adwersarzowi jego mniej zasłużonemu konferował”, czem o wielką boleść przyprowadził Krzysztofa. Cóż wobec tego mu pozostaje? I tutaj podkanclerzy bez ogródek oświadczył, że „wspaniały animusz” hetmana, tak zawzięty na nieprzyjaciela obróci się zapewne na „pomstę domową”, a jaki stąd wyniknie dla Rzeczypospolitej pożytek, to zostawuje wyrokowi potomności.

Słuchając tej mowy, król mienił się na twarzy, to bladł, to czerwieniał, nadzwyczajnym wysiłkiem powstrzymując gniew, który go opanowywał.

Zuchwalstwo Radziwiłłów było bezgraniczne, ale i położenie króla nad wszelki wyraz trudne. Rozumiał on dobrze, że obrażony hetman nie cofnie się przed żadną zbrodnią i zamiast walczyć z Moskwą, obróci swe siły na „pomstę domową” i w ten sposób poda rękę wrogowi. Takiej groźby, rzuconej w czasie wojny, niepodobna było lekceważyć. Dobrze wiedzieli o tem obaj Radziwiłłowie i, korzystając z pożogi wojennej, przykładali nóż do gardła królewskiego.

Więc Władysław zdusił w sobie gniew bezsilny i rad nierad zgodził się na wszystko. Tyszkiewicz

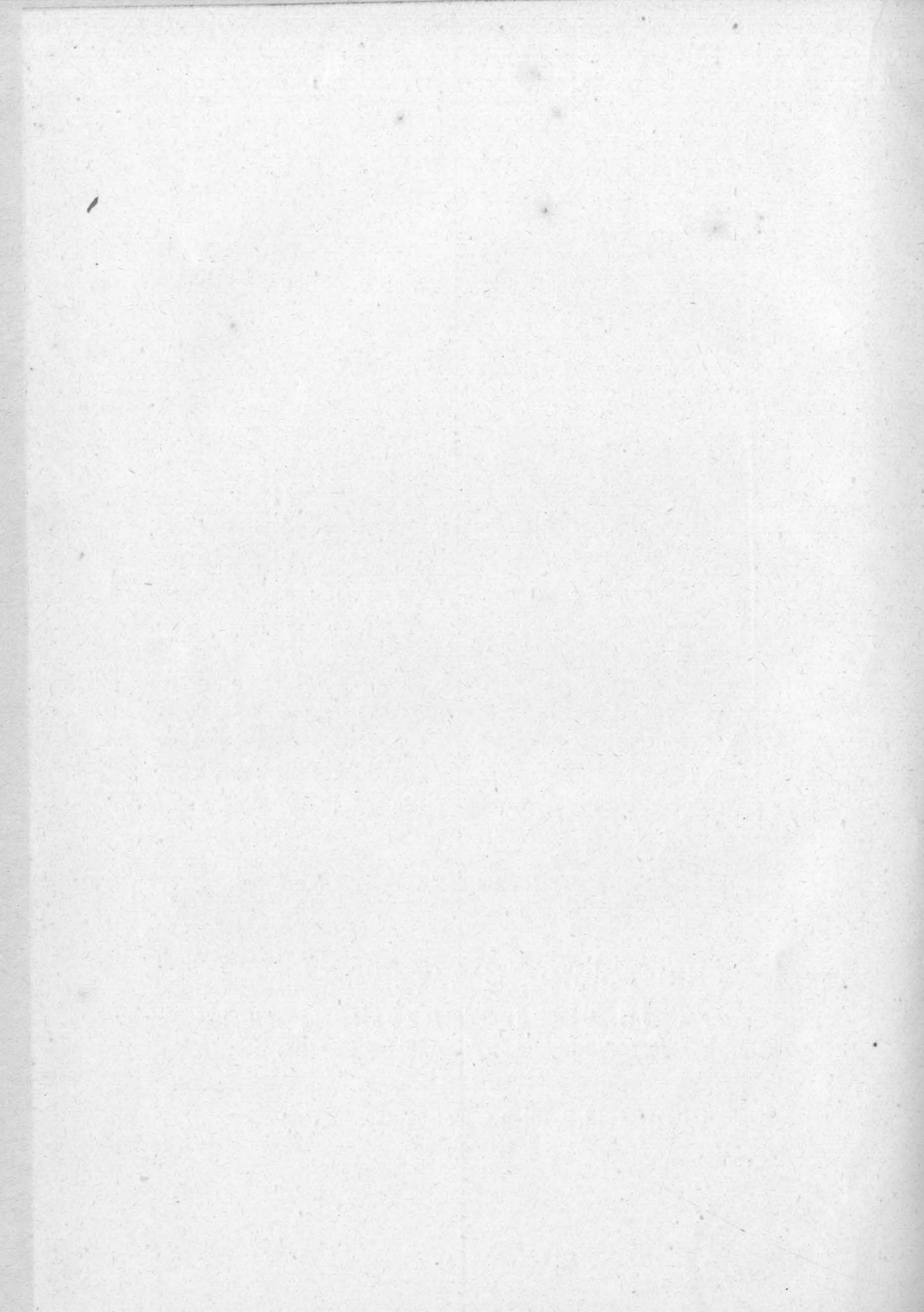
ILLUSTRISSIMUS ET EXCELLENTISSI-
mus Princeps & Dominus



CHRISTOPHORUS RATZIVILIUS
DVX IN BIRZE ET DVBINCKI
supremus militia per Lithuaniam
Praefectus.

Krzysztof Radziwiłł, według współczesnego portretu
w Bibl. Ord. Krasieńskich.





również nie śmiał oponować potężnym przeciwnikom. „Ugłaskany” cłem, zrzekł się godności wojewody i odstąpił ją hetmanowi. W pamiętnikach swoich Albrycht Radziwiłł tonem przechwałki powiada, że całe to zajęcie „podziwienie wszystkim przyniosło, osobiście nuncjuszowi apostolskiemu, który powiedział, iż cały świat dziwować się będzie tak prędkiej rzeczy polskich odmianie”.

W taki to sposób, korzystając z nieszczęść ojczyzny, dochodzili do upragnionego celu możni panowie, a bezsilny król, chcąc zapobiec klęsce, stawał się posłusznym w ich rękach narzędziem.

Dopiąwszy swego, Krzysztof Radziwiłł odzyskał zaraz chęć służenia Rzeczypospolitej i wyjechał do obozu, gdzie wojsko witało go biciem dział i hukiem kotłów, niby triumfatora, co odniósł walne nad wrogiem zwycięstwo.

Wkrótce za Radziwiłłem pociągnął ku Smoleńskowi Władysław z bratem Janem Kazimierzem.

Dnia 4 września (1633 r.) wojska koronne, wiedzione przez hetmana Marcina Kazanowskiego, stanęły obozem w Hłuszycy obok wojsk litewskich. Połączone siły stanowiły 20.000-ną armję, a więc znacznie były słabsze od armji moskiewskiej, obliczanej najskromniej na 60.000. Ale Polacy oczekiwali jeszcze opóźnionych a śpieszących do obozu chorągwi i Kozaków, których król zawezwał na wojnę z Moskwą, a których przybycia wkrótce należało się spodziewać.

Władysław postanowił przedewszystkiem o nadejściu odsieczy zawiadomić dzielną załogę Smoleńska i pomyslną wieścią zachęcić ją do dalszej wytrwałości. W obozie wojewody smoleńskiego znalazł się czeladnik,

nazwiskiem Spondowski, człek przedsiębiorczy i odważny, który podjął się dotrzeć do oblężonych. Król ofiarę przyjął, a Spondowski chytrze zabrał się do dzieła. Ubrany w zieloną barwę, nakrył się cały gałęziami jedliny i, postępując bardzo powoli, zbliżył się w postaci krzaka do czat nieprzyjacielskich. Udało mu się oszukać straż i w ten sam sposób dostać się do Dniepru. Tutaj dopiero ruchomy krzak zwrócił na siebie uwagę Moskali. Spostrzegł się Spondowski, że źle z nim, lecz nie tracąc przytomności umysłu, zagrzebał w ziemię listy, które mu wręczono, poczem rzucił się w nurty rzeki i szczęśliwie przedostał się do twierdzy. Początkowo wzięto go w zamku za szpiega i omal nie poddano torturom, wkońcu przecież „dowodnie się wywiódł” i należycie został potraktowany.

Na trzeci dzień bohaterski goniec, przedarłszy się znowu przez wojska nieprzyjacielskie, wrócił do obozu. Z otrzymanej relacji dowiedział się Władysław, że oblężenci uskarżają się na brak prochów, że cierpią głód wielki i już od dłuższego czasu karmią się koniną, na wiadomość przecież, że król przyszedł z odsieczą, przybyło im „siła serca”, jakby 100.000 posiłkowych żołnierzy wtargnęło do twierdzy.

Doszedłszy do przekonania, że czasu do stracenia niema, Władysław odbył zaraz naradę z hetmanami i na dzień 7 września wyznaczył działania wojenne, których celem było nawiązanie komunikacji z oblężoną fortecą.

Dnia tego, stosownie do wydanych przez króla rozkazów, Radziwiłł skierował się ku górze Pokrowskiej. Podnóże tej góry oszańcowane było kobylinami, na szczycie jej wznosił się potężny blokhaus, obsadzony

przez piechotę cudzoziemską pułkownika Mattisona, a panujący nad rzeką i mostem miejskim, prowadzącym do zamku. W tym samym czasie hetman koronny Kazanowski wraz z wojewodą smoleńskim Gosiewskim ruszył ku mostowi, łączącemu z drugim brzegiem rzeki obóz Prozorowskiego, by temu ostatniemu unieвозмоżliwić przyjsię z pomocą Mattisonowi. Drogę, którą mogły nadejsię posiłki od Szeina, rozkazał król zatara-sować ściętemi drzewami, by i z tej strony wojska, zajmujące górę Pokrowską, nie mogły liczyć na śpieszny ratunek.

Kazanowski śmiało posunął się pod szaniec przed-mostowy, a żołnierze jego uniesieni zapalem, nie czekając przybycia armat, rzucili się do szturm. Przywitani silnym ogniem dział i muszkietów, ponieśli wielkie straty, lecz wtargnęli do szanca. Wyparci przemagającą siłą, cofnęli się i nie ponawiali już więcej ataków, ale dotrzymali placu i wojskom Prozorowskiego nie pozwolili na przejście przez rzekę.

Tymczasem wojska Radziwiłła, przy którym znajdował się król, zbliżywszy się do góry Pokrowskiej, zaczęły rąbać kobyliny i wypierać stojącą u podnóża góry piechotę. Rycerski król zagrzewał żołnierzy i sam prowadził ich w ogień. Śród gorącej walki niespodzianie przybyły Polakom posiłki. Oto porucznik Wojewódzki wypadł za bramę forteczną z silnym oddziałem smoleńszczan, przeszedł most, przerąbał się przez szeregi nieprzyjacielskie, jak burza wtargnął na plac boju i, idąc wciąż naprzód, dotarł aż do króla. Zaskoczeni tym nowym atakiem obrońcy góry Pokrowskiej cofnęli się do blokhauzu i w ten sposób otworzyli swobodną komunikację między wojskiem polskim a miastem.

Król, szczegółowo wypytawszy Wojewódzkiego o położenie załogi, postanowił wyprawić do zamku znaczny transport żywności i amunicji oraz wzmocnić oblężonych regimentem piechoty Jana Kazimierza w sile 1.200 ludzi.

Dzielny Wojewódzki w powrotnej drodze zabrał dwie armaty nieprzyjacielskie i te wraz z otrzymanymi posiłkami, amunicją i żywnością pomyślnie wprowadził do twierdzy. Sam przecież, gdy raz jeszcze usiłował przedostać się do króla, ugodzony został pociskiem armatnim i zginął ku żalowi rycerstwa.

Straty w tej pierwszej bitwie z obu stron były znaczne.

Ale król, wzmocniwszy załogę, dopiął celu. Naza jutrz, przekonawszy się, że zdobycie blokhauzu Mattisona wymaga większych sił i starannego przygotowania, postanowił dać żołnierzom odpoczynek i doczekać się reszty nadchodzących chorągwi oraz Kozaków.

Jakoż na rozkaz królewski wojska cofnęły się do Hłuszycy.

W bitwie tej Władysław IV zdobył sobie serce rycerstwa. Widziano go, jak sam sprawiał piechotę, jak wiódł ją w ogień, jak z nieustraszonem męstwem wystawiał się na kule i jak z niezamąconym spokojem wydawał rozkazy, choć około niego gęsto trup padał. Energja, wytrwałość i pewność siebie Władysława wszystkim dodawała otuchy. Z uwielbieniem też odzywali się o wodzu swoim żołnierze, a Jan Moskorzowski, uczestnik słynnych pod Smoleńskiem bojów, wyraził się, że jest to pan, „którego słusznie nazwać możesz *delicias generis poloni*”.

Stanawszy w Hłuszycy, król czekał na przybycie reszty wojsk, nadciągających zwolna pod Smoleńsk. Nastąpiła przerwa w działaniach wojennych, potykały się tylko ze sobą przednie straże, a tymczasem nadchodziły do obozu nieliczne rotы konne, przybyło też 1.000 ludzi cudzoziemskiej piechoty, zwerbowanej w Niderlandach i Anglii. Dnia 17 września ku wielkiemu zadowoleniu rycerstwa zawitał do obozu hetman kozacki Arendarenko w otoczeniu asawułów i setników. Nazajutrz cały dzień waliły się do obozu pułki kozackie. 20.000 mołojców, ofiarujących się iść wszędzie na rozkazanie króla jegomości, było potężnem wsparciem szczupłych wojsk polskich.

Obecność Kozaków odczuła zaraz cała armja, bo mołojcy, zapędziwszy się w dalsze okolice, zaczęli w znacznej ilości sprowadzać żywność i spędzać do obozu bydło.

— „Jeszcze wojsko, z łaski Bożej, ochotne, lubo bez pieniędzy”, pisał w owym czasie jeden z oficerów, a ta ochota wystawia najlepsze świadectwo usposobieniu żołnierzy dla bohaterskiego króla. Ileż to szemrań, burz, a nawet buntów niemal w każdej wyprawie musieli wytrzymać najznakomitsi owych czasów wodzowie, jak Żółkiewski, Chodkiewicz i Koniecpolski, by skłonić nieopłaconego żołnierza do posłuszeństwa i służby w szeregach. Widocznie urok Władysława musiał być wielki, skoro pozostające bez żołdu rycerstwo nie tylko nie groziło konfederacją, ale z ochotą pełniło swój obowiązek.

Widząc swe siły wzmocnione, król zwołał radę wojenną, by powziąć decyzję w sprawie dalszych działań. Tym razem zdania się podzieliły. Jedni twierdzili,

że należy unikać otwartego boju, lecz przeciawszy nieprzyjacielowi wszelkie komunikacje, nękać go podjazdami i nie dopuszczać dowozu żywności, a zmęczonego i zgłodniałego wezwać do kapitulacji. Inni byli za działaniem czynnem, radząc atakować bądź Prozorowskiego, bądź ponowić atak na górę Pokrowską, którą przeździelała rzeka od reszty wojsk nieprzyjacielskich, a której zdobycie dawało stały przystęp do twierdzy i uwalniało ją od oblężenia. To ostatnie zdanie podtrzymywał hetman Radziwiłł, a za jego opinią poszedł Władysław.

Jak poprzednim razem, tak i teraz należało nie dopuścić Szeina i Prozorowskiego do wsparcia Mattisona. Tym razem król zmienił role. Pułki litewskie pod wodzą Radziwiłła miały powstrzymywać Prozorowskiego, Kazanowski pilnować Szeina. Dobywaniem góry Pokrowskiej sam król postanowił kierować.

W myśl tego planu dnia 20 września o godzinie 4 rano wojska polskie ruszyły do boju.

Cztery dni trwały zacięte walki, a cała armja pod wodzą króla świetnie spełniała swoją powinność. Szczególną jednak sławę zdobyli Kozacy, przydzieleni Radziwiłłowi. Naprzeciw ich taboru, z drugiej strony Dniepru, wznosiła się fortyfikacja drewniana, z poza której strzelcy moskiewscy nieustannym ogniem niepokoiili Zaporozców. Kozacy uradzili zniszczyć tę fortyfikację. Kilkudziesięciu mołojców, dając przykład niezwykłej brawury, rozebrało się do naga, rzuciło się w nurty rzeki i, dosięgnawszy przeciwnego brzegu, z gołemi szablami wtargnęło na szaniec. Wysiekłszy „siła Moskwy”, mołojcy rozwalili doszczętnie fortyfikację, zrównali ją z ziemią i znowu wpływ wrócili do swoich. Jeszcze

większą sławą okrył się niewiadomego nazwiska Kozak, który, dowiedziawszy się, że Radziwiłł pragnie zaciągnąć języka, sam jeden przepłynął Dniepr i zaczął się na nieprzyjacielskim brzegu. Czekał Kozak, aż doczekał się, brzmi współczesna relacja, że przyszedł do wody „jeden Moskwicin. Alić on go za włosy porwał i rzucił w wodę i tak z nim przepłynął nazad”. Sam król podziwiał odwagę Kozaka, kazał go do siebie zawołać, a „ten bardzo śmiesznie powiadał tę tragedję królowi jegomości”.

Szein kilkakrotnie usiłował dać pomoc Mattisonowi ale pomimo że Moskale walczyli, „jak szatany”, wszystkie ich wysiłki zostały odparte. Po czterech dniach bojów, w których brała także załoga Smoleńska, Mattison, straciwszy wszelką nadzieję pomocy, w największej cichości w nocy z 22 na 23 września wymknął się pod osłoną mroków z blokhauzu, pozostawiając w nim działa, amunicję i niewielki zapas żywności.

Smoleńsk był wyzwolony.

Władysław kazał przeprowadzić obóz z Hłuszyce na górę Pokrowską, a sam pojechał do twierdzy. Radośnie witany przez załogę, której nie szczędził pochwał i uznania za długą a mężną obronę, udał się do kościoła, gdzie uroczyście odśpiewano *Te Deum*, a następnie z wysokości murów badał pozycje nieprzyjacielskie i układał dalszy plan działań.

Nastąpiło kilka dni przerwy.

Dnia 27 września, po naradzie z hetmanami, król przeprowadził przez most miejski połowę swej armji i 5.000 Zaporozców, by od strony Smoleńska uderzyć na pozycje Prozorowskiego. Sam do godziny 3-ej nad ranem pilnował przeprawy, a gdy wszystkie oddziały

most przeszły, dał sygnał do boju. Atak rozpoczęto od zdobywania fortyfikacji pułkownika Damma, którego liczną jazdą posiłkował Prozorowski. Dwanaście godzin trwały zażarte boje, trup z obu stron padał gęsto, ale obrona z taką wściekłością była prowadzona, że mimo nadzwyczajnych wysiłków nie zdołano przełamać oporu Moskwy. Pod wieczór wycieńczone walką wojsko królewskie cofnęło się do wąwozów pod miastem. Zgórą tysiąc żołnierzy legło dnia tego na pobojuwisku, a mnóstwo rannych było w obozie. Śród mroków głuchej nocy rozlegały się wyrzekania i jęki, ale król nie tracił serca i do nowego szykował się szturm. Wezwawszy do miasta pozostałe wojska i wszystkich Kozaków, rozkazał w upatrzonych miejscach sypać szańce i wybierał stanowiska dla swej artylerji. Całą noc, śród deszczu i wycia wichru pracowano pod okiem króla z największym wyteżeniem, lecz gdy słońce wzeszło, przekonali się ze zdumieniem Polacy, że Prozorowski opuścił swój obóz i złączył się z Szeinem. Rzucono się ku szansom i znaleziono w nich dużo dział, amunicji oraz żywności. Tylko na miejscu cerkwi św. Trójcy, pełnej bogactw i wszelakiego dobra, zastano rumowiska, w nocy bowiem Prozorowski wysadził cerkiew w powietrze.

Od tej chwili wszystkie siły moskiewskie skupiły się w jednym obozie.

Król zaczął myśleć o rozgromieniu Szeina, ale że rozeszły się niepokojące pogłoski o zbliżaniu się pod Smoleńsk wielkich posiłków moskiewskich, więc chcąc sprawdzić, ile jest w tem prawdy, wysłał ku Dorohobużowi kasztelana kamienieckiego Piasoczyńskiego na czele 3.000 jazdy i Kozaków. Piasoczyński podszedłszy pod Dorohobuż, stoczył zwycięską walkę z załogą, któ-

ra wyszła w pole, by stawiać mu czoło, opanował miasto, spalił je i powrócił do obozu z wielką zdobyczą i wiadomościami, że pogłoski były fałszywe.

Wtedy wojsko polskie zaczęło okrażać mocno ufortyfikowany obóz moskiewski. Zmienną koleją losów oblegający stawali się obleżonymi. Szein, nie przeczuwając, co mu grozi, nie przeszkadzał Polakom. Dopiero dnia 19 października, gdy ujrzał piechotę polską na szczycie góry Skowronkowej, panującej nad jego obozem, zatrwożył się wielce, rozkazał bić na alarm i sprawiać całe wojsko do walki. O godzinie 2-iej po południu żołnierze moskiewscy, uczestowani wódką, na tratwach i przez most w olbrzymiej masie a z przerażającym krzykiem ruszyli na drugi brzeg rzeki i rzucili się do szturm. Zawrzała bitwa, bardzo krwawa, bo z obu stron waleczono z największą zaciętością. 34 armaty Szeina ziały na Polaków ulewą żelaza, i wraz z ogniem 8.000 muszkietów czyniły w szeregach polskich spustoszenie. Śród zamieszania, jakie ten wielki atak wywołał, król, stojąc pieszo u stóp góry Skowronkowej, wydawał nieustannie rozkazy, rzucał do boju jazdę i piechotę, na jucznych koniach posyłał swoim amunicję i baczny a czujny na wszystko, jako Mars, otoczony dymami i ogniem, bronił zagrożonej pozycji. Cztery godziny ważyły się losy góry Skowronkowej. Dopiero o zapadającej nocy wojska moskiewskie dały za wygraną i zaczęły się przeprawać na drugi brzeg Dniepru. Straty z obu stron były dotkliwe, bo, nie licząc rannych, 2.000 trupów zostało na pobojo-wisku.

Po tej bitwie Szein nie ważył się nowej rozpocząć walki.

Król Władysław, wykorzystując bezczynność Moskali, ze wszystkich stron otaczał obóz Szeina redutami, przecinał mu komunikacje, aż całą armję moskiewską ścisnął w ten sposób, że ze wszystkich stron została osaczona. Ustały walki piechoty i jazdy, tylko artylerja stron obu grała nieustannie, a kule moskiewskie sięgały namiotów królewskich.

Dnia 24 grudnia 1633 r. Krzysztof Radziwiłł wysłał list do Szeina.

— „Nauczyły was, — pisał hetman, — wasze własne straty i przeciwne powodzenia, jako Bóg sprawiedliwy płaci wszelaką krzywdę i niedodzierżenie przysięgi”. I przedstawiając Moskalom, że lada dzień „ostatniego zginienia” wyglądać muszą, radził im, aby nie doprowadzali rzeczy do ostateczności, lecz „póki wam jeszcze jaki przystęp do miłosierdzia i pożałowania jego król. mości, pana naszego miłościwego zostawa, onego sobie dalszym uporem swoim nie zagrządzali, owszem, w tak ciężkim razie łaski jego król. mości żądali”.

Ale list nie odniósł pożądanego skutku.

Więc król, otrzymawszy w tym czasie nowe działa, rozkazał ustawić je na górze Skowronkowej i ostrzeliwać obóz nieprzyjacielski. Jakoż dnia 3 stycznia 1634 roku 12 wielkich półkartaun, 12 ćwierćkartaun, 36 dział sześciofuntowych i 3 moździerze rozpoczęły morderczy ogień, zasypując żelazem pozycje moskiewskie. Ogień był tak celny, że sam Szein kilkanaście razy przenosił swój namiot z miejsca na miejsce, a wszędzie sięgały go pociski.

W obozie polskim znowu zaczęły krążyć pogłoski o zbliżaniu się wielkich posiłków moskiewskich, które car Michał miał wysłać na wsparcie obleżonego Szeina.

Ostrożny król wyprawiał 8.000 wojska pod hetmanem Kazanowskim na spotkanie Moskali, a liczne podjazdy rozesłał w dalekie okolice, by zasięgnąć języka. Ale okazało się, że i tym razem pogłoski były fałszywe. Natomiast pod Wiazmą w ręce polskie wpadł goniec carski, wiozący do Szeina pismo, w którym car zalecał swemu wodzowi, by starał się zawrzeć z Polakami rozejm na lat pięć, wszakże pod warunkiem, że zabrane przez króla zamki zostaną Moskwie zwrócone, a w traktacie wymieniony będzie pełny tytuł carski. Gońca tego wraz z pismem carskiem odesłał Kazanowski królowi.

Władysław zwołał radę, by zastanowić się, co czynić.

Na radzie tej zdecydowano pochwycenego gońca odesłać do Moskwy, jednocześnie zaś postanowiono, by znajdujący się przy boku królewskim senatorowie wystosowali list do moskiewskich bojarów, z zawiadomieniem, że pismo carskie wpadło w ręce polskie i że jeżeli Michał chce traktować o pokój, to niech wyznaczy swych posłów, czas i miejsce, a król jegomość, acz inne postawi warunki, gotów będzie przecież na traktaty zezwolić. Z tym listem w największej tajemnicy przed wojskiem, by nie osłabiać w niem ducha wojennego, wyprawiony został do Moskwy pisarz smoleński Woroniecz.

Rycerstwo polskie cierpiało od mrozów, ale ożywione powodzeniem i przykładem króla mężnie znosiło wszystkie niewygody. Daleko gorzej działo się w obozie moskiewskim. Panował tam coraz większy głód, a trzaskające mrozy straszliwie dawały się obłożonym we znaki, bo zabrakło drzewa na rozpalanie ognisk, a wszystkie wycieczki kończyły się niepowodzeniem

lub nawet znacznemi stratami. Strapiony Szein z dnia na dzień wyczekiwał odsieczy, ale gdy odsiecz nie nadchodziła, raz jeszcze walną bitwę postanowił stoczyć. Dnia 8 stycznia znaczne siły rzucił do boju, ale gdy wojska polskie odparły atak, stracił wszelką nadzieję i rozmyślać zaczął o kapitulacji.

Wysłańcy Szeina wszczęli najpierw układy o wymianę jeńców, ale wyraźnie napomykali już o zawarciu pokoju. Poradzili im wtedy Polacy, aby za pośrednictwem hetmana Radziwiłła prosili o miłosierdzie króla, który, jako pan chrześcijański, gotów zaprzestać przelewu krwi, byle Szein przyjął podyktowane mu warunki. Domagali się Moskale, aby im na piśmie dane było to zaręczenie. Więc 25 stycznia 1634 r. Radziwiłł wysłał do Szeina pismo, w którym zapewniał mu łaskę królewską, jeśli broń złoży. W dwa dni później zapytali Moskale o warunki kapitulacji. Król obiecał puścić wolno wojsko moskiewskie, ale żądał wydania całej artylerji wraz z amunicją i całym wojennym rynsztunkiem, wszystkich chorągwi oraz złożenia przysięgi przez wojska moskiewskie i cudzoziemskie, że w tej wojnie nie podniosą już broni przeciw Polakom. Ponadto domagał się, aby wojska, odchodzące do Moskwy, kroczyły wyznaczonemi im szlakami, nie czyniły po drodze żadnej krzywdy włościanom oraz by wszystkich chłopów, znajdujących się w obozie moskiewskim wraz z żonami, dziećmi i całą majątnością wypuszczono na wolność i oddano pod opiekę komisarzy polskich. Żołnierzom tak moskiewskim, jak cudzoziemskim, którzyby chcieli przejść na służbę króla, miało być to dozwolone.

Szein, otrzymawszy tak ciężkie warunki, prosił przez posła, aby Polacy zaprzestali armatniego ognia, gdyż

spokojnie chciałby propozycje królewskie rozważyć. Władysław, podejrzewając w tem żądaniu podstęp, jeszcze gęściej rozkazał z dział walić. Okazało się, że miał słuszność, gdyż niebawem dowiedziano się, że Szein z całą armją zamierza się przebić i czyni wielkie do nowej bitwy przygotowania. Ostrzeżeni Polacy wzmocnili jeszcze ogień armatni, jednocześnie dookoła obozu moskiewskiego zaczęli wznosić nowe zasieki, a wszystkie drogi, któremi mógł podążać Szein, uczynili niemożliwymi do przebycia. Wtedy dopiero wódz moskiewski, przywiedziony do rozpacz, zażądał wyznaczenia miejsca na traktaty.

Dnia 12 lutego 1634 r. zjechali się komisarze stron obu i rozpoczęli obrady.

Cały tydzień targowano się zawzięcie, a król przysłuchiwał się pertraktacjom, nie zdradzając swej obecności. Raz w uniformie rotmistrza rozmawiał niepoznany z oficerami wojsk cudzoziemskich, innym razem wystąpił w przebraniu rajtara, a najczęściej siedział za zasłoną w baraku ks. Zygmunta Radziwiłła, u którego zbierali się pełnomocnicy. Po tygodniu Moskale zgodzili się na wszystkie warunki, ale gdy zaczęto pisać umowę, zażądali, by Polacy wpisali do niej pełny tytuł carski. Na to znów nie chciał się zgodzić Władysław, gdyż sam rościł sobie do tego tytułu prawo, a po wyzwoleniu Smoleńska i świetnem zwycięstwie tron moskiewski wydawał mu się bliższym i łatwiejszym do zdobycia, niż w początkach wojny. Ale komisarze na żadne ustępstwa co do tytułu carskiego nie chcieli się zgodzić i, zerwawszy układy, odjechali do swego obozu.

Więc znowu zagrzmiała artylerja królewska, a silny oddział wojsk polskich pod komendą Daniłłowicza zbli-

żył się do szańców moskiewskich, wyciął strażę i omal nie wdarł się do wnętrza obozu. Wielka trwoga zapanała wśród oblężonych. Nazajutrz Szein wysłał trębaczów, którzy prosili o wznowienie rokowań, ale trębaczom oświadczone, że nie z rokowań nie będzie. Po pewnym czasie do przednich straży polskich zgłosili się oficerowie cudzoziemscy i zakomunikowali Polakom, że Szein zgadza się na wszystkie warunki i z racji tytułu carskiego nie będzie czynił trudności.

Dnia 24 lutego zjechali się ponownie komisarze i zawarli ugodę, która obejmowała wszystkie warunki króla, uzupełnione ceremonjałem mającej się odbyć kapitulacji.

Następnego dnia syn hetmański Janusz Radziwiłł wkroczył z regimentem piechoty do obozu Szeina i na szańcach moskiewskich zatknął chorągwie polskie. Za Radziwiłłem udali się komisarze, by od całej armji carskiej odebrać przysięgę. Z kolei odbywało się przemówanie 109 dział, amunicji i wszelkich sprzętów wojennych.

Na krótki czas przed temi wypadkami powrócił pod Smoleńsk wysłany do Moskwy Woroniecz i przywiózł królowi wiadomość, że dwaj posłowie moskiewscy jadą dla ułożenia się o czas i miejsce dla rozpoczęcia rokowań. Istotnie nadjechali i trafili właśnie na akt kapitulacji.

Dnia 1 marca wojsko Szeina, ogołocone ze wszystkiego, prócz potrzebnej na drogę żywności, uszykowało się do pochodu. Rycerstwo polskie stanęło w dwóch szeregach nad brzegami Dniepru, pozostawiając pośrodku wolne dla Moskali przejście. O godzinie 10-ej rano król z bratem Janem Kazimierzem w otoczeniu kancle-

rza Zadzik, hetmanów, senatorów i starszyny woj- skowej, wyjechał na prawe skrzydło w asyście dwóch wspaniałych chorągwi husarji. Zagrzmiała muzyka pol- ska, zahuczały kotły, odezwali się trębacze, a na ten sygnał wystąpiły z szaniców pierwsze szeregi moskiew- skie i skierowały się ku królowi. Szły bez muzyki, w posępnem milczeniu, ze zwiniętymi sztandarami. Pierwszy jechał konno zgrzybiały Szejn, a towarzyszyli mu Izmailów, Prozorowski i wieziony z powodu choro- by na sianach Biełosielski. Gdy zbliżyli się do króla, chorążowie złożyli u stóp jego sztandary, a nieszczę- śliwi wodzowie, zsiadłszy z koni, uderzyli o ziemię czołem, potem oddali trzy pokłony i oddalili się w mil- czeniu. I tak szły pułki za pułkami, cicho, w porządku. Poszczególni dowódcy, oddając honory królowi, składali przez chorążych swoje chorągwie i znikali z przed oczu, jak cienie. Za wojskami moskiewskimi z tą samą cere- monją przeciągnęły regimenty cudzoziemskie.

Zwycięskie wojsko polskie odśpiewało *Te Deum lau- damus*, a kanclerz Zadzik dziękował w imieniu króla hetmanom, dowódcom i całemu rycerstwu za poniesio- ne trudy, wytrwałość i męstwo oraz świetne nad po- tężnym wrogiem zwycięstwo.

Tak skończyła się odsiecz Smoleńska.

* * *

Dnia 6 marca odprawieni zostali z obozu polskiego posłowie moskiewscy, mając wyznaczone uroczyszcze Polanówkę na miejsce rokowań w terminie 5 kwietnia.

Król postanowił tymczasem posunąć się dalej w głąb carstwa, zająć nowe zamki i, jeśli tylko okoliczności

pozwola, zbliżyć się do samej Moskwy. Trzema kolumnami wyruszyło wojsko z pod Smoleńska. Kasztelan Piasoczyński skierował się na Dorohobuż, Mikołaj Abramowicz ruszył pod Białą, silny zamek, broniony przez 1.000 żołnierzy pod wodzą księcia Wołkońskiego, król wraz z hetmanami pociągnął ostatni w okolice, położone między Białą a Polanówką, gdyż chciał być bliżej miejsca traktatów.

Książę Wołkoński, wezwany do poddania zamku, odpowiedział odmownie, oświadczając, że bronić się będzie do upadłego, nie chce bowiem dzielić losu Szeina. W owym czasie wiadomo już było, że car skazał Szeina na śmierć, że taki sam wyrok zapadł na Izmailowa i jego starszego syna, że innych dowódców poddano nieludzkiemu knutowaniu i zesłano na Sybir.

Wobec odmowy Wołkońskiego Polacy przystąpili do oblężenia zamku, ale Wołkoński bronił się, jak bohater. Odpierał zwycięsko szturmy, czynił nieustanne wybieczki, rozwalął szance, niszczył galerje podkopowe i nie tylko że nie chciał wszczynać układów, ale srodze wojskom polskim dawał się we znaki. Oblężeniem kierował Radziwiłł, do którego król tylko dojeżdżał, a niecierpliwił się bardzo, gdyż siedem tygodni dobywano fortecy bez skutku. Właśnie postanowił Władysław wyteżyć siły, by skończyć nareszcie z oblężeniem, gdy 15 maja komisarze polscy, wysłani do Polanówki dla układów z Moskalami, przysłali do króla pismo z prośbą, by zbliżyć się do miejsca traktatów, a oblężenia Białej zaniechał, gdyż Moskale godzą się na oddanie tego grodu Rzeczypospolitej.

Car Michał istotnie gotów był ponieść znaczne ofiary, byle wojnę zakończyć. Przeraziła go klęska Szeina,

a później wielki niepokój obudziła w nim działalność lotnych oddziałów polskich, które król rozesłał w różne strony, a które pustoszyły bezkarnie posiadłości moskiewskie na ogromnych przestrzeniach i, siejąc wszędzie popłoch, zapędzały się aż pod mury samej stolicy. Komisarze carscy skłaniali się do wielkich ustępstw, byle tylko król polski zrzekł się tytułu cara i wszelkich do tronu moskiewskiego pretensyj.

Otrzymaawszy wiadomości o skłonnościach pojednawczych Moskali, Władysław zostawił pod Białą kilka regimentów piechoty i Kozaków, a sam pośpieszył na wezwanie i, stanąwszy 25 maja w kwaterze kasztelana Piasoczyńskiego, rozpoczął z senatorami narady.

Wszyscy wypowiadali się za zawarciem pokoju, bo wytargowane na Moskwie warunki były bardzo korzystne i wyraźnie utrwały przewagę Polski nad rozległym carstwem. Chodziło tylko o to, by król zrzekł się tytułu i pretensji do tronu carskiego. Ciężkie chwile musiał przeżywać Władysław. Ofiara, jakiej od niego żądano, niweczyła jego wielkie plany i czyniła wyłom w olbrzymiej budowie politycznej, w którą utkwione miał oczy. Lecz Władysław był nie tylko królem ambitnym: był także człowiekiem rozumnym i szlachetnym, pragnął dobra i sławy Rzeczypospolitej, a widział, że jego ambicja staje na przeszkodzie zaszczytnemu pokojowi, którego pragnął kraj cały.

Jakaż wreszcie wartość tytuł cara obecnie posiadał?

W swoim czasie, gdy zwycięstwo i polityka hetmana Żółkiewskiego sprawiły, że naród moskiewski wzywał go do siebie, mógł bez krwi przelewu zasiąść na tronie carskim i podjąć ideę unji Rzeczypospolitej z Moskwą. Lecz po dwudziestu paru latach, częściowo

skutkiem polityki Zygmunta III, gruntownie zmieniła się sytuacja. Koronę carską otrzymał Michał Romanow, a w całej Moskwie żywiono do Polaków wielką nienawiść. Obecnie droga do tronu moskiewskiego prowadziła przez morze krwi, wymagała niesłuchanie uciążliwej wojny, nadzwyczajnych ofiar całego narodu, a rezultat był wielce wątpliwy. W ten sposób Władysław, odniósłszy świetne nad Moskwą zwycięstwo, przekonał się, że jego owoce pożywać może Rzeczpospolita, ale za to on sam musi ponieść ofiarę i na ołtarzu dobra ojczyzny złożyć swą wielką ambicję.

Zawarcie pokoju tem bardziej było wskazane, że Polsce groziła wielka wojna z Turcją, że upływał niebawem rozejm ze Szwecją, że wreszcie znużone rycerstwo, acz przez miłość dla króla nie odmawiało, pomimo zaległego żołdu, dalszej posługi, to jednak spragnione było zasłużonych wywczasów. Więc Władysław zdecydował się rozstać z fikcyjnym w gruncie rzeczy tytułem, rzec się za siebie i swoich potomków praw do carskiego tronu i dać ojczyźnie upragniony pokój.

Po zwycięstwie nad wrogiem odnosił z kolei zwycięstwo nad sobą.

Dzięki temu dnia 27 maja 1634 roku stanął między Rzeczpospolitą a Moskwą „wieczysty pokój”, który przecież miał przetrwać zaledwie lat dwadzieścia. Na mocy wzajemnego układu car zrzekł się ostatecznie wszelkich pretensyj do Inflant, Kurlandji, Estonji i Rusi i na zawsze odstąpił Polsce ziemie: siewierską, smoleńską i czernihowską, a królowi tytułem zwrotu kosztów wojny zobowiązał się wypłacić 200.000 rubli srebrem. Wzamian za to zgodził się Władysław zwrócić dyplom, który go powoływał na carstwo, zwolnić naród mo-

skiewski od złożonej mu w swoim czasie przysięgi i carem uznać Michała Romanowa.

Tak skończyła się wojna z Moskwą.

Traktat polanowski był w dziejach polsko-moskiewskich ostatnim aż do roku 1920 zwycięskim i korzystnym dla Rzeczypospolitej układem. Nie przyniósł spodziewanej korony królowi, ale utrwał w obliczu świata przewagę Polski nad jej potężnym i zabórczym sąsiadem.

W wojnie tej król Władysław podbił sobie serca polskiego rycerstwa i Kozaków, a w całej Europie zyskał sławę wielkiego wojownika. Nie wyczerpał przecież swej energii i nie myślał spoczywać na laurach. Miał w perspektywie tron szwedzki, a idea rozgromienia potęgi sultana na chwilę ożywiać go nie przestawała. Zabezpieczywszy się od Moskwy, ku Turcji przygotowanej się do wielkiej wojny z Polską, a następnie ku Szwecji zwrócił swe myśli.

IV

WOJNA Z TURCJĄ ZABIEGI O KORONĘ SZWEDZKĄ

Współcześnie z wojną moskiewską Rzeczpospolita, nad którą pieczę, wyruszając pod Smoleńsk, powierzył król prymasowi i hetmanowi Koniecpolskiemu, zmuszona była prowadzić wojnę z Turcją i Tatarami. Car, przygotowując się do walki z Polską, już w r. 1632 podjął w Konstantynopolu starania, aby zachęcić Wysoką Portę do zaatakowania Rzeczypospolitej od południa, gdy od wschodu i północy w granice jej wtargną wojska moskiewskie.

Panował podówczas w Turcji Amurat IV, człek młody, żądny sławy i pyszny bez granic. Pomimo trwającego pokoju, zawartego pod Chocimiem, młody sułtan, marzący o podbojach, a kuszony przez posła carskiego, który mu obiecywał odstąpienie krajów nad morzem Kaspijskiem i wielką pomoc pieniężną, dał się nakłonić do wojny. Na decyzję tę ogromny wpływ wywarł basza Widyna Abazy, zapamiętały wróg Polaków. Losy tego baszy były niezwykle. Rusin z pochodzenia, pochwycony w młodości przez Tatarów, a później sprzedany w Carogrodzie, dostał się na galereę turecką i cztery

lata spędził w najsroźszej niewoli. Aby los swój polepszyć, przyjął mahometanizm. Po pewnym czasie umiał zyskać sobie względy admirała tureckiego Ali baszy. Odważny i sprytny, szybko pnąc się po szczeblach kariery, doszedł z biegiem lat do największych zaszczytów i został faworytem sułtana. Latem r. 1633, otrzymawszy na wyprawę zezwolenie Amurata, wezwał na pomoc ordę tatarską i zbliżył się do granic Rzeczypospolitej. Wojska tureckie zatrzymały się u Dniestru, ale Tatarzy, przeszedłszy rzekę poniżej Kamieńca, спустoszyli wielką połać bezbronnego kraju i z tym samym pośpiechem, z jakim dokonali napadu, opuścili Polskę i, unosząc zrabowane łupy, schronili się do Mołdawji.

Hetman Koniecpolski, nieprzygotowany do odparcia najazdu, zebrał naprędce garść jazdy, ruszył w pogoń za rabusiami i dopadł ich pod Sasowym Rogiem. Tatarzy, pobici na głowę, rozproszyli się w stepach, a hetman z odebranym jasyrem i łupami powrócił do kraju.

Wtedy ruszył na Polskę Abazy-basza, prowadząc ze sobą 30.000 Turków, 10.000 Wołochów i ordę tatarską. Groźne niebezpieczeństwo zawisło nad Rzeczpospolitą, bo niemal wszystkie jej siły uprowadził król Władysław pod Smoleńsk. Lecz Koniecpolski nie stracił głowy. Wsparty przez nadworne chorągwie kresowych magnatów, znakomity wojownik okopał się pod Kamieńcem i w silnie obwarowanej pozycji czekał na wroga. Nie chcąc traktować z Abazym, wysłał posłów do znajdujących się w jego obozie gospodarów, by zwrócić im uwagę, że Rzeczpospolita pokoju ściśle przestrzegała, a zatem żadnych powodów do wojny niema. Ale hospo-

darowie byli bezsilni, a Abazy z całą potęgą nastąpił na obóz hetmański. Przyszło do krwawej bitwy, która zakończyła się sromotną klęską Abazego i odwrotem wszystkich sił nieprzyjacielskich.

Władysław, zajęty wojną z Moskwą, a widzący nie-
możność prowadzenia dwóch wojen jednocześnie, pra-
gnął odwlec walną rozprawę z Turcją i zapobiec no-
wemu najazdowi. W tym celu wysłał do Konstantyno-
pola posła, aby upomniał się u sułtana o pogwałcenie
traktatu. Tymczasem poseł królewski, podkomorzy
lwowski Stanisław Aleksander Trzebiński wpadł po dro-
dze w ręce Abazego-baszy i został przez niego zatrzy-
many. Wzięty na spytki, z czem jedzie, odpowiadał
hardo, że z misji swojej jedynie przed sułtanem zda
sprawę. Jakoż postawą swoją sprawił, że nie śmiano
mu przeszkodzić w odprawowaniu poselstwa. Wydo-
stawszy się z rąk Abazego, dotarł do Konstantynopola
i stanął wreszcie przed obliczem sułtana.

Amurat przyjął go jak najgorzej.

— Czego chcesz?—zapytał gniewnie.

Trzebiński odpowiedział, że przychodzi zanieść skar-
gę na Abazego-baszę za naruszenie pokoju.

Na to coraz bardziej rozgniewany sułtan krzyknął,
że nie o pokój, lecz o wojnie należy mówić.

— Chyba,—dodał,—że król twój przyjmie moją wia-
rę, haracz płacić będzie, fortece nad Dniestrem znieśie
i Kozaków wytepi.

— W takim razie,—odparł z podniesioną głową Trze-
biński,—lepszą wojna!

Usłyszawszy taką odpowiedź, Amurat gwałtownym
ruchem wyrwał szablę z pochwy i z wściekłością za-

pytał posła, czy nie wie, że stoi wobec władcy, przed którego mieczem drżą wszystkie narody.

Ale poseł, niestropiony groźbą, odpowiedział spokojnie:

— Bóg jest mocniejszy od ciebie, a ten Bóg i memu panu dał szablę na obronę swych ludów. Zwycęstwo w ręku Bożem.

Jak najgorzej przyjęty przez sułtana Trzebiński, związał stosunki z Murtazym-baszą, przeciwnikiem wojny i dopiął tego, że Wysoka Porta wysłała do Polski Szachina-age, by traktował o pokój. Ale wkrótce potem na dworze sułtańskim wzięły górę wpływy Abazego i Turcja rozpoczęła się zbroić, gromadząc olbrzymie siły na wojnę z Rzeczpospolitą. W początkach kwietnia 1634 r. sam Amurat wyjechał do Adrianopola, by odbyć tu przegląd swej armji.

Tymczasem Szahin-aga, przyjechawszy do Polski, dowiedział się o świetnem zwycięstwie Władysława nad Moskwą, przekonał się zarazem, że Rzeczpospolita czyni energiczne przygotowania do odparcia spodziewanego najazdu.

Sejm, zebrany w lipcu 1634 roku, uchwalił pospolite ruszenie, a zwycięskie wojska z pod Smoleńska, pomnożone hufcami nadwornymi panów, skierowane zostały ku Kamieńcowi. Zgórą 35.000 wyborowego rycerstwa stanęło pod bronią. Siły te miały wzmocnić jeszcze wojska kozackie.

Posel turecki, widząc tak poważne przygotowania, upewniał Polaków o intencjach pokojowych sułtana, jednocześnie zaś przestrzegał Portę przed rozpoczynaniem wojny. I szlachta polska pragnęła pokoju. Jedynie Władysław, upojony świeżem zwycięstwem, łaknął

nowych triumfów i płonął chęcią zmierzenia się z półksiężcem. Wojna z Turcją była zdawna jego marzeniem. O tej wojnie już przez Ossolińskiego uprzedzał papieża, a nigdy myśleć o niej nie przestawał. Pełen wiary w siebie i w swe wojska, stał przed wielkiem zadaniem i widział oczyma wyobraźni nowe zwycięstwa, mogące zmienić postać rzeczy w Europie.

Lecz marzeń króla nie podzielał naród. Wobec grózb sułtana zbroił się, ale wojnę uważał za ostateczność i szczerze pragnął jej uniknąć. Hetmanowi Koniecpolskiemu dodano do rady 16 senatorów i posłów, a polecono mu, by Porty nie drażnił, przez Dniestr się nie przeprawiał i kroków zaczepnych nie podejmował dopóty, dopóki wszczęte układy nie wyjaśnia położenia.

Tymczasem i w Konstantynopolu wzięły górę prądy pokojowe. Zwycięstwo pod Smoleńskiem ochłodziło zapal wojenny Amurata, a relacje o gotowości Rzeczypospolitej do wojny nakazywały Wysokiej Porcie największą ostrożność. Wkońcu i Amurat, zrozumiałwszy niebezpieczeństwo, przechylił się na rzecz pokoju. Dając przecież folgę swej krwiożerczości, rozkazał udusić swego ulubieńca Abazego, a naczelnym wodzem mianował Murtazego-baszę, który był zwolennikiem dobrych z Rzeczpospolitą stosunków.

Król Władysław, patrząc w przyszłość, widział, że Polska musi stanąć z Turcją do śmiertelnej rozprawy. Gorąco więc pragnął wykorzystać gotowość bojową narodu i nie odkładać wojny, do której prędzej czy później doprowadzi obie strony konieczność dziejowa, bo w istniejących okolicznościach widoki powodzenia były po stronie Rzeczypospolitej. Ale że dyplomacja tak polska, jak turecka przejęta była chęcią zażegnania wojny,

przeto wbrew intencjom króla, wszczęte w październiku układy szybko doprowadziły do ustalenia warunków pokoju. Polska zobowiązała się powściągać napady Kozaków na posiadłości tureckie, Turcja — wyrugować Tatarów ze stepów budziackich. W Multanach i Wołoszczyźnie gospodarowie mieli być mianowani przez sułtana, ale zgodnie z przedstawieniem króla polskiego. Wreszcie Turcja przestała się domagać zburzenia twierdz polskich nad Dniestrem.

Wiadomość o zawartym z Turcją pokoju w całym kraju powitano z największą radością.

Jeden król, zawiedziony w swoich nadziejach, z ciężkiem sercem dowiedział się o zakończonych układach.

Wierząc przecież, że wojna z Turcją jest nieunikniona, odłożył swoje wielkie plany do dalszych czasów, a wszystkie wysiłki skierował ku drugiemu celowi: odzyskaniu Szwecji.

Jeszcze przed otrzymaniem korony polskiej widział Władysław dwie drogi, mogące zaprowadzić go do utraczonego dziedzictwa. Jedna prowadziła przez dyplomację, druga — przez wojnę. Próbując pierwszej, zawsze pamiętał o drugiej, a całe jego postępowanie oddawna świadczyło, że dążąc do celu, zerwał z polityką ojca. Nie tylko bowiem dla pozyskania umysłów w Szwecji zbliżył się do dysydentów polskich, ale za pośrednictwem elektora brandenburskiego starał się trafić wprost do Gustawa Adolfa i nawiązać z nim przyjazne stosunki. W tym celu zapraszał, jak wiadomo, groźnego krewniaka na pogrzeb ojca i uroczystości koronacyjne w Krakowie. Czyniąc to, wiedział już, że Gustaw Adolf, nieprzejednany w stosunku do Zygmunta III, nie żywi względem niego uczuć nieprzyjaznych. Pragnąc

porozumieć się bezpośrednio z bohaterem szwedzkim, liczył na to, że Gustaw Adolf, nie posiadając potomka męskiego, zgodzi się sprawę następstwa tronu w Szwecji rozstrzygnąć na rzecz starszej linii Wazów i w ten sposób zakończyć spór długoletni, który zarówno Polskę, jak Szwecję kosztował wiele ofiar i krwi. Śmierć Gustawa Adolfa pod Lützen rozwiała te nadzieje i zmusiła Władysława szukać innych środków.

Najprostsze rozstrzygnięciem wydało mu się poślubienie królowej Eleonory, wdowy po Gustawie Adolfie. Wobec tego odstąpił od zamiaru pojęcia za małżonkę córki cesarza Ferdynanda i ku królowej szwedzkiej zwrócił swe oczy.

Ale ten prosty sposób napotkał na niepokonane przeszkody.

Gustaw Adolf żonaty był dwukrotnie. Z pierwszego małżeństwa pozostała po nim nieletnia córka Krystyna, jeszcze za życia ojca ogłoszona uroczyste następczynią tronu, gdyby król nie doczekał się syna. Więc Władysław, niezależnie od swego małżeństwa z Eleonorą, projektował wydać Krystynę po dojściu do pełnoletności, za najmłodszego ze swych braci, królewicza Aleksandra. Ale i ten projekt nie miał się urzeczywistnić. Władysław posiadał w Szwecji potężnego wroga w osobie kanclerza Axela Oxenstierny, człowieka, z którego głosem poważnie liczyły się wszystkie mocarstwa, a który po śmierci Gustawa Adolfa stał się w Szwecji panem wszechwładnym. Potężny kanclerz sam miał wielkie ambicje i podobnie jak Władysław nosił się z myślą pozyskania korony szwedzkiej dla swojego rodu.

Tymczasem między Szwecją a Polską upływał rok, zawarty w swoim czasie w Altmarku i kwestja

dalszego pokoju lub wojny pomiędzy dwoma państwami musiała się niebawem zdecydować.

Oxenstierna pragnął wojny z Polską, ale godził się na układy, przezorność bowiem nakazywała mu czekać, dopóki losy oręża szwedzkiego nie rozstrzygną się w Niemczech. Nie ujawniał przecież chęci do ustępstw. Elektorowi brandenburskiemu, Jerzemu Wilhelmowi, który pośredniczył między Władysławem a dworem szwedzkim, oświadczył stanowczo, że spór o koronę stanowić będzie niemałą przeszkodę do pogodzenia się Szwecji z Rzeczpospolitą. Gdyby, twierdził kanclerz, Władysław zrezygnował nawet z pretensyj swych do korony szwedzkiej, to pozostaną młodszy jego bracia, którzy ten spór podjąć mogą na nowo. Również nieprzejednane stanowisko zajął Oxenstierna w sprawie zwrotu zagarniętych przez Gustawa Adolfa prowincji polskich. Ostatecznie za jego wpływem sejm, obradujący w Sztokholmie w marcu 1634 roku, manifestacyjnie ogłosił nieletnią Krystynę królową szwedzką, usunął wdowę po Gustawie Adolfie Eleonorę od wszelkiego na sprawy państwa wpływu, a starszą linię Wazów nie tylko odsądził po wieczne czasy od wszelkich praw do tronu, ale nadto tych Szwedów, coby na rzecz potomków Zygmunta III usiłowali działać, napiętnował mianem zdrajców i wrogów ojczyzny.

W ten sposób wysiłki króla, by bezpośrednio porozumieć się ze Szwecją, spęłzły na niczem.

Ale Władysław nie zrażał się zawodami. Jednocześnie prowadził on inną akcję, zmierzającą do tego samego celu, a dotyczącą najważniejszych spraw, wstrząsających broczącą we krwi Europą. Oto rzucił on w świat wielkie hasło powszechnego w chrześcijaństwie pokoju.

W myśl tej idei, wypowiadając wojnę wojnom, zaczął głosić potrzebę międzynarodowego kongresu, któryby na mocy układów i porozumienia się wzajemnego uregulował wszystkie sprawy sporne między wojującymi stronami i położył nareszcie kres straszliwemu przelewowi krwi chrześcijańskiej. A wraz z tą ideą wysuwał samego siebie, jako pośrednika, gotowego poświęcić swe siły dla ustalenia zgody powszechnej. Uśmiechała mu się rola pacyfikatora Europy. Ale na dnie wielkiej idei spoczywał cel osobisty: Władysław nie wątpił, że jeśli przyjdzie do powszechnego kongresu, to i jego niezaprzeczone prawa do Szwecji będą przez kongres uznane.

Zaraz też rozesłał król swoich posłów do cesarza i elektora brandenburskiego, do Anglii, Francji, Szwecji, Niderlandów. Wysłańcy królewscy wszędzie mieli szerzyć ideę pokoju i wszędzie pozyskiwać dla niej stronników.

Na nieszczęście Władysława z taką samą inicjatywą wystąpił niemal jednocześnie król duński Chrystjan IV, ale że i on myślał o ożenku swego syna z Krystyną, więc akcja, współrzędnie z dwóch stron rozpoczęta, rozchodziła się w tym punkcie, który miał uwieńczyć zabiegi Władysława, a był dla niego punktem najważniejszym.

Okazało się wkrótce, że piękne idee łatwo jest rzucać, o wiele trudniej urzeczywistniać. Pomysłowi króla wszędzie najczęściej głośno przyklaskiwano i wszędzie odnoszono się do niego z największym niedowierzaniem. Każdy z panujących, podobnie jak Władysław, miał swoje widoki i wyrachowania, których nie chciał ujawniać przed czasem, każdy rad mówił o pokoju i myślał o wojnie.

W takich warunkach misja posłów królewskich nie mogła liczyć na powodzenie.

Na dworze cesarskim nie dowierzano już Władysławowi. Jego projekt pojęcia za małżonkę wdowy po Gustawie Adolfie nasuwał obawy, że król polski gotów jest przerzucić się do wrogiego Ferdynandowi obozu. Więc w Wiedniu, wysłańcowi króla, Piotrowi Gembickiemu, oświadczone złośliwie, acz z zachowaniem wszystkich form przyzwoitości, że więcej widoków powodzenia ma akcja, wszczęta przez króla duńskiego i że cesarz więcej do niej przywiązuje wagi, niż do inicjatywy Władysława.

We Francji, która przygotowywała się do dalszej wojny z cesarzem, a wielce liczyła się ze Szwecją, misja posła Szczuckiego żadnego nie dała wyniku.

Nie powiodło się również innemu posłowi króla Janowi Zawadzkiemu. W Szwecji wobec nieprzejednanego stanowiska Oxenstierny nie mógł on nie wskórać, w Niderlandach pokrzyżował jego zabiegi rezydent szwedzki, w jednej tylko Anglii przyjęty został z wielką życzliwością.

Król angielski Karol I, przyklaskując idei Władysława IV, przyznawał mu zarazem niezaprzeczone do tronu szwedzkiego prawo i najchętniej ofiarowywał swą pomoc w odzyskaniu Szwecji.

Życzliwość Karola I nie była bezinteresowna.

Już w czasie elekcji Władysława rezydent angielski Gordon proponował mu rękę córki palatyna Renu, Fryderyka V, później słynnego króla czeskiego, zwanego królem Zimowym. Fryderyk V ożeniony był z siostrą Karola. Dzieci z tego małżeństwa, wyzute przez cesarza z Palatynatu, otaczał król angielski swoją opieką

i pragnął im wrócić utracone dziedzictwo. Otóż w czasie pobytu Zawadzkiego w Londynie projekt tego małżeństwa stał się znowu przedmiotem układów. Władysław miał poprzeć pretensje dzieci nieżyjącego już Fryderyka do Palatynatu, król angielski—udzielić ze swej strony pomocy Władysławowi w odzyskaniu Szwecji. Palatynówna Elżbieta, licząca w owym czasie lat 17, słynęła ze swej urody, a wieść niesła, że odznacza się wytwornem ułożeniem i niepospolitym rozumem.

Władysław poważnie rozważał widoki polityczne, przemawiające za tym projektem. Małżeństwo to zbliżało go do Anglii, oddalało od cesarza, zarazem przecież zbliżało do Szwecji. Ojciec palatynówny Fryderyk V był głową ruchu kalwińskiego w Niemczech i w świecie protestanckim cieszył się wielką powagą. Elżbieta również była kalwinką. Więc małżeństwo to wielce podobало się przywódcom dysydentów w Polsce. Jakoż gorąco namawiali króla, by projekt doprowadził do skutku, przekładając, że jest to najprostszy i najskuteczniejszy sposób, który mu zjedna opinię w Szwecji i pomoże do odzyskania upragnionej korony. Lecz ten sam wzgląd na religję palatynówny najnieprzychylniej usposobił dla niej duchowieństwo katolickie w Polsce, wywoływał wielkie obawy w Wiedniu i poważne zastrzeżenia Rzymu.

Ostrożny Władysław zaczął czynić zabiegi, by na ten związek uzyskać zezwolenie papieża, ale małżeństwo z palatynówną całkowicie uzależniał od tego, czy przyczyni się ono do odzyskania Szwecji, bo to przede wszystkim miał na widoku.

Dążąc różnemi drogami do osiągnięcia celu, a mając na względzie swój interes dynastyczny, nie działał

przecież Władysław na szkodę Rzeczypospolitej. Przeciwnie: jego własne widoki często zbiegały się z interesem Polski. Uspokojenie Rzeszy i zakończenie sporu polsko-szwedzkiego, czy to na drodze dyplomatycznych układów, czy za pośrednictwem małżeństwa, wzmacniało międzynarodowe stanowisko Rzeczypospolitej, czyniło ją poważnym czynnikiem w regulowaniu spraw europejskich, a zarazem pozwalało jej wszystkie siły skierować ku innemu wielkiemu zadaniu, które zdawna wskazywała konieczność dziejowa. Zadaniem tem, stojącym ciągle i przed oczyma Władysława, była wojna z Turcją, wyzwolenie ujarzmionych przez sultana ludów i zadanie śmiertelnego ciosu potędze, co światu chrześcijańskiemu od wieków zagrażała.

Niepowodzenia dyplomacji Władysława w dużej mierze tłumaczą się tem, że Polska, nieobecna na terenie międzynarodowym, nie brała bezpośrednio udziału w zapasach walczących z sobą potęg i że król polski, jako najbardziej w Europie skrepowany monarcha, najłatwiej mógł być w swych poczynaniach sparaliżowany, a więc nie dawał rękojmi, że w stanowej chwili nie uczyni zawodu. Wiedziały dobrze wszystkie dwory, że król zawsze oglądać się musi na wolę Rzeczypospolitej i że na tę wolę nieobliczalnie wpływają czynniki.

Jakoż Władysław, pomimo dużej popularności w kraju, nie mógł przedsięwziąć nic bez przyzwolenia sejmku, a wpływ jego na sejmujące stany był bardzo nieznaczny.

Okazało się to wymownie już na sejmie 1635 r.

W owym czasie Władysław, widząc, że wszystkie zabiegi dyplomatyczne nie prowadzą go do celu, doszedł do przekonania, że spór polsko-szwedzki nie inaczej

jak mieczem rozstrzygnięty być musi. Nieprzejednane stanowisko Szwecji zarówno w stosunku do jego własnej osoby, jak w stosunku do Rzeczypospolitej, coraz bardziej utwierdzało go w tem mniemaniu. A że termin rozejmu upływał ostatecznie w lipcu 1635 roku, więc król postanowił uczynić największy wysiłek, by zjednać szlachtę dla swoich widoków i uzyskać jej poparcie na wojnę ze Szwecją.

Sejm ten budził wielkie zaciekawienie w kraju.

Na pierwszy plan wysuwała się podówczas sprawa stosunków polsko-szwedzkich, ale prócz niej miały być rozstrzygnięte ważne kwestje, związane z poselstwem Jerzego Ossolińskiego do Rzymu.

O tem poselstwie krążyły wśród szlachty najnieprzychylniejsze wieści.

Już w r. 1634 większość sejmików poczyniła Ossolińskiemu ciężkie zarzuty, ale ten, widząc, jak wielka burza zbiera się nad jego głową, uprosił króla, aby poselstwo jego uznał za nieukończone. Władysław prośbę uwzględnił. Dzięki temu wybiegowi Ossoliński na walnym sejmie 1634 roku nie potrzebował zdawać urzędowej z posłowania swego relacji. Ale w r. 1635 trzeba było stanąć przed stanami i dopełnić obowiązku.

A oto jak misję swoją wypełnił Ossoliński.

Zgodnie z życzeniem Władysława, miał on, jako poseł wielkiego monarchy, pana trzech koron: polskiej, szwedzkiej i moskiewskiej, z całym przepychem reprezentować majestat potężnego władcy. Chodziło nie tylko o papieża, ale także o oddziaływanie na wyobraźnię Rzymian i zaskarbienie sobie względów ludności. W myśl tego Ossoliński, poczyniwszy wielkie przygotowania do podróży, wyruszył w asyście, złożonej z 300 osób,

a obliczonej zgóry na wywołanie wielkiego wrażenia. Celu dopiął, gdyż jego uroczysty wjazd do wiecznego miasta zasłynął w całej Europie.

Jakoż świetniejszego wjazdu nigdy zapewne Rzym nie oglądał.

Orszak posła otwierali dwaj jego dworzanie we wspólnych polskich strojach na dzielnych, rzadkiej piękności koniach. Tuż za nimi szło 30 mułów i 10 wielbłądów, pokrytych szkarłatem, a dźwigających bagaże posła. Zkolei postępował oddział lekkiej jazdy w najpyszniejszych jasnoróżowych, złotem litych mundurach a z białymi kitami u czapek. Jazdę tę poprzedzali czterej trębacze, znakomici w sztuce swojej mistrze. Tłumy ludu, stojące na ulicach, szmerem uznania powitały już czoło pochodu, a ten szmer w miarę postępowania orszaku przeradzał się w okrzyk zachwytu i zdumienia. Najpyszniejsze szaty jeźdźców, całe lśniące od złota i drogich kamieni, niewidzianej piękności konie, których rzędy, strzemiona i podkowy były ze szczerego złota, a czapraki, usiane diamentami, migotały w słońcu tęczowym blaskiem, przepyszne kity, pióropusze, guzy, spinki, nieoszacowanej wartości karabele, łuki, sajdaki, słowem, różnorodny a największy przepych, olśnił patrzące na wjazd posła polskiego tłumy i wprowadził je w entuzjazm. A pierwsze wrażenie podniosła jeszcze pompa, z jaką Ossoliński wystąpił na publicznej u papieża audjencji. Asysta poselska, zmieniwszy barwy, mieniła się od blasku złota i drogich kamieni, a sam poseł wystąpił w stroju diamentowym.

Ten zewnętrzny bajeczny przepych, mający świadczyć o potęgze polskiego króla, potrafił Ossoliński podnieść własnym majestatem i fenomenalnym mistrzostwem

swojego słowa. Gdy stanął przed obliczem Urbana VIII i zabrał głos, by imieniem Władysława złożyć hołd papieżowi, od pierwszych słów oczarował obecnych i ujarzmił ich uwagę. Z zapartym tchem słuchano, jak głosił wielkość i sławę swego króla, o którego świetnem zwycięstwie pod Smoleńskiem nadeszły właśnie do Rzymu pierwsze wiadomości. A efekt wzrósł jeszcze, gdy poseł, wykazawszy w malowniczych słowach potęgę zwycięskiego króla, cisnął tę potęgę pod stopy papieża.

— „Cokolwiek narodów okrywa północ Europy, jak szeroko od Karpat do Kaspijskiego morza, od Lodowatego oceanu do morza Czarnego, wszystko to, ojcze święty, za przykłęknięciem Władysława przed tronem twoim upada, bo wszystkie narody tamte albo prawem dziedzicznym do jego majestatu należą, albo orężem pobite, za pana uznają...”

Podniósłszy następnie zasługi Polaków i Rzeczypospolitej dla stolicy apostolskiej, tak mówił:

— „Przez ciebie, największy z papieży, Polska Władysława, Władysław Polskę, a ty oboje posiadasz. Będziesz oglądał jeszcze za Bożą pomocą zdziczałe lwy skandynawskie, ugłaskane potężną ręką Władysława przed twoją stolicą; ujrzysz przed sobą odstępców powszechnego pasterza i zamkniesz ich w twej owczarni, wyszedł bowiem na łowy syn twój, aby cię nakarmił i głód twój, cheiwy sławy Najwyższego, nasycił...”

Zapowiadał wkońcu, że za przykładem Władysława pójda inni monarchowie chrześcijańscy, zaniechają wzajemnych zawiści i wspólnie za przewodem papieża zwrócą swój oręż przeciw wrogom krzyża, a król polski pierwszy powiedzie w bój swe zwycięskie szyki.

Urban VIII z natężoną uwagą słuchał tej mowy, a o niezwykle oratorze odezwał się do otoczenia:

— „I Cycero lepiejby nie powiedział!”

Mową tą zjednał sobie Ossoliński papieża i całe jego otoczenie. Śród wszystkich zresztą, nie wyłączając posłów zagranicznych, budził szacunek i podziw. Mówił bowiem z równą łatwością po łacinie, jak po włosku, po niemiecku, po hiszpańsku, po francusku, a znajomością spraw i obyczajów każdego narodu imponował wszystkim.

Gdy przyszło do omawiania kwestyj, które były właściwym celem poselstwa, Ossoliński, dzięki wrażeniu, jakie potrafił wywrzeć, miał już doskonale utworzoną drogę. Z łatwością też uzyskał zgodę w kilku sprawach drobniejszych oraz w sprawie zamknięcia szkół jezuitów w Krakowie. Bezwzględnemu zakazowi nabywania dóbr szlacheckich przez duchowieństwo katolickie sam Ossoliński był przeciwny, ale wyjednał zakaz taki odnośnie do zakonów. Natomiast napotkał na duże trudności w uzyskaniu zatwierdzenia umowy ze schizmatykami. Wyznaczeni do traktowania w tej materji kardynałowie i teolodzy nie dali się przekonać gorącej wymowie posła, jednomyślnie wyrażając pogląd, że taka umowa nie może być przez kościół katolicki zatwierdzona. Odwołano się do papieża. Urban, ulegając argumentom Ossolińskiego, zawiesił ostateczny w tej sprawie wyrok, a nuncjuszowi swemu w Warszawie polecił, aby przeciw tej ugodzie do czasu nie występował.

W ten sposób Ossoliński nie spełnił wszystkich żądań sejmujących stanów, najważniejszy punkt swej misji załatwił połowicznie, ale osiągnął wszystko, co w istniejących okolicznościach osiągnąć się dało.

Przed wyjazdem z Rzymu Urban VIII na dowód swej łaski ofiarował mu dziedziczny tytuł książęcy. W powrotnej drodze, w czasie pobytu w Wiedniu, cesarz, pragnący również zjednać sobie Ossolińskiego, ofiarował mu ze swej strony tytuł księcia cesarstwa rzymskiego, który to tytuł w splendorach i prawach czynił go równym wszystkim innym książętom Rzeszy.

Wieści o wjeździe Ossolińskiego do Rzymu, o łaskach, jakie mu wyświadczyli papież i cesarz, szeroko rozeszły się po kraju, a wywołały wśród szlachty oburzenie, połączone z podziwem i zawiścią. Zarzucano mu, że zamiast zakazu dla duchowieństwa przywiózł sobie tytuły książęce, czem obraził równość szlachecką. A obraza tej równości należała do najcięższych zarzutów, jakie brać szlachecka mogła uczynić „bratu-szlachcicowi”.

— „Sprzedał nas w Rzymie i Wiedniu ten bierzmany Niemiec!” — krzyczano na sejmikach, które też zgodnie zaraz po powrocie posła oświadczyły mu swoje wielkie niezadowolenie.

Ossoliński, widząc chmury, zbierające się nad jego głową, odwłókł sprytnym manewrem zdanie sprawy ze swego poselstwa na sejmie w roku 1634-ym. Liczył na działanie czasu, łagodzącego wszelkie namietności, a zachowywał się skromnie, tytułów nie używał, przeciwnie, dawał do poznania, że zarówno papież, jak cesarz w osobie jego chcieli uczcić tylko Rzeczpospolitą, którą jako poseł na obu dworach reprezentował. Ale że krzyki nie ustawały, a na sejmie 1635-go roku nie mógł już milczeniem pominąć swych czynności w Rzymie, więc wpadł na pomysł, by ubiegać się w izbie posel-

skiej o łaskę marszałkowską i samemu pokierować burzą, która mu zagrażała.

Władysław chętnie udzielił mu swego poparcia. Królowi ogromnie zależało na tem, by dogodzić szlachcie i przeprowadzić ostatecznie na tym sejmie zakaz nabywania dóbr ziemskich przez cały kler polski, a także unieszkodliwić intrygi Moskwy przez zatwierdzenie ugody z dyzunitami. Uchwały te, powzięte pod przewodnictwem Ossolińskiego, żarliwego katolika, zaszczyconego łaskami papieża, powinny były stracić swą ostrość i pohamować duchowieństwo. Licząc na to, Władysław ufał zarazem, że tak zręczny marszałek, jak Ossoliński, najłatwiej skłoni umysły ugłaskanej szlachty do wojny ze Szwecją.

Jakoż dzięki protekcji króla i zabiegom partji dworskiej izba poselska w dniu 31 stycznia jednomyślnie powołała na swego marszałka Jerzego Ossolińskiego.

Manewr ten oszczędził Ossolińskiemu przykrości, gdyż senat nie tylko w mileczeniu wysłuchał jego relacji, ale przyjął bez szemrania podziękowanie, jakie kanclerz litewski Radziwiłł wyraził mu imieniem króla. Bez gwałtowniejszego oporu przeszła uchwała, zakazująca całemu duchowieństwu nabywania dóbr ziemskich, a także postanowienie, by ugodę z dyzunitami wprowadzić w życie. Biskupi wobec nastrojów szlachty nie mogli nic zdziałać, a u marszałka nie znaleźli poparcia. Nuncjusz papieski całą winę za te uchwały składał na Ossolińskiego, skarżąc się w listach do Rzymu, że ten zaszczycony łaską papieża poseł króla i Rzeczypospolitej okazał się lepszym statystą, niż katolikiem, gdyż dla pozyskania względów szlachty poświęcił sprawy religijne.

Ale gdy przyszło do najważniejszej dla króla kwestji, marszałek okazał się bezsilnym.

Władysław parł do wojny ze Szwecją, szlachta—do układów.

Pomiędzy królem a sejmującemi stanami legła przepaść, której najrzęczniejsze manewry nie były w stanie wypełnić. Pretensjami króla do korony szwedzkiej nikt się nie zajmował i nikogo one nie obchodziły. Rzeczpospolita nie myślała się krwawić dla interesu dynastycznego starszej linji Wazów. To leżało w naturze rzeczy i było tylko przejawem instynktu samozachowawczego szlachty. Zbyt wiele ofiar poniosła już Polska skutkiem osobistej polityki Zygmunta III, by w imię wznowienia tej polityki rozpoczynać wojnę. Ale pozostawała sprawa Prus i Inflant. Obu tych prowincyj Szwedzi nie zamierzali zwracać, a pogodzenie się z takim stanem rzeczy równało się klęsce już nie Władysława, lecz całej Rzeczypospolitej. Otóż i tutaj zarysowała się wielka różnica między narodem a królem. Król nie godził się na żadne ustępstwa, szlachta dla uratowania pokoju gotowa była na wielkie ofiary. Litwini wzamian za Inflanty godzili się odstąpić Szwecji Prusy, Koroniarze, byle zostać przy Prusach, skłonni byli nie upierać się przy Inflantach, a jedni i drudzy w równej mierze pragnęli pokoju. Wszyscy przecież rozumieli, że nie można kraju pozostawiać bez obrony na łasce groźnego wroga. Więc sejm, mając na widoku kończący się rozejm, uchwalił pobór łanowy i pospolite ruszenie. Ale w obawie przed wywołaniem wojny wbrew masie szlacheckiej, ostateczne uchwalenie podatków niepraktykowanym dotychczas zwyczajem przekazał sejm sejmikom relacyjnym. Ponadto sejmioki obo-

wiązane były wybierać dowódców dla utworzonej przez siebie siły zbrojnej i siłę tę opłacać własnymi środkami. Akt ten wymierzony przeciw królowi, czynił go coraz bezsilniejszym, a był wymowną odpowiedzią na jego wojownicze intencje: wojna i wojsko uzależnione zostały od sejmików.

Król w najwyższym stopniu oburzony był tem postanowieniem sejmu. Stłumił przecież gniew i wyznaczył komisarzy do traktowania ze Szwedami, nie tracił bowiem jeszcze nadziei, że wojna wybuchnie.

A zaraz po skończonym sejmie zwołał tajne posiedzenie rady senatu dla rozważenia projektowanego małżeństwa z palatynówną Elżbietą. Z czterech obecnych na posiedzeniu biskupów trzech wypowiedziało się stanowczo przeciw związkowi króla z kalwiną, natomiast biskup kamieniecki Paweł Piasecki, ku oburzeniu innych duchownych, nie przeciw temu projektowi nie miał. Najenergiczniej wszakże oponowali hetman wielki koronny Stanisław Koniecpolski, podkanclerzy koronny Tomasz Zamoyski i kanclerz litewski Albrycht Radziwiłł. Król w czasie tych narad zachowywał się dwuznacznie. Senatorom, obawiającym się palatynówny, powiedział, aby wskazali mu inną kandydatkę, albo też zgodzili się na to, by Polkę pojął za żonkę. I ten ostatni pomysł nie przypadł większości do smaku. Ostatecznie więc król odłożył całą sprawę do liczniejszego zebrania senatu, a zgodził się wysłać posłów do króla angielskiego oraz do Hagi, gdzie przebywała Elżbieta, aby ją nakłonić do przyjęcia religii katolickiej.

Po skończonem posiedzeniu, gdy do króla zbliżył się Albrycht Radziwiłł, król rzekł:

— „Wiedziałem, że taką dacie sentencję”.

Na to Albrycht Radziwiłł:

— „Jako sumienie dyktowało, takie dałem zdanie, przez co nie rozumiem, abym miał naruszyć łaskę waszej król. mości.

Król odpowiedział z uśmiechem:

— „Ani się też gniewam...”

A gdy kanclerz Zadzik, wskazując biskupa Piaseckiego, wyraził się o nim, że „jest dobrym pasterzem, ale bez skrupułu”, król odrzekł z ironją, że gdyby tylko zechciał, to Piasecki podjąłby się nawet poselstwa w tej sprawie.

W gruncie rzeczy Władysław, jak o tem świadczy jego postępowanie, nie był jeszcze zdecydowany na poślubienie palatynówny, lecz, stawiając tę sprawę na porządku dziennym, chciał, jak się zdaje, ponownie zaniepokoić dyplomację wiedeńską i uczynić ją skłonniejszą do liczenia się z jego widokami. Bo pomoc Anglii nie była tak cenna, jak pomoc cesarza, byle dwór wiedeński zechciał jej szczerze udzielić.

W Wiedniu istotnie obawiano się omawianego w Warszawie związku, a podejrzewano Władysława, że myśli o przyłączeniu do Polski Śląska i sprzymierzyć się pragnie z wrogami Habsburgów. Władysław postanowił wykorzystać te obawy, uspokoić cesarza, lecz wzamian za to otrzymać od niego posiłki wojskowe na wojnę ze Szwecją. W tym celu wysłał do Wiednia brata Jana Kazimierza, a że Szwecja była równie groźna dworowi wiedeńskiemu, więc tym razem łatwo doszło do porozumienia, zwłaszcza że przerzucenie wojny z Niemiec do Polski było niewątpliwą dla cesarza korzyścią. Obie strony zawarły tajny traktat, według którego woj-



ILLVSTRISSIMVS ET EXCELLENTISSIMVS PRINCEP.
DOMINVS DN. GEORGIVS DVX IN OSSOLIN. SRI
PRINCEPS, COMES A THECZYN OSSOLINSKI.
LVBOMLEN. ADZELEN. RYCEN. &c &c PRAEFECTVS
SVPREMVS REGNI POLONIAE CANCELLARIVS

F. Falck Polonus sculp.

Georgius Ossolinus

Jerzy Ossoliński, według Falcka.



ska cesarskie i polskie miały się połączyć dla walki ze wspólnym wrogiem.

Władysław pewien, że wojna jest nieunikniona, z wielką energią zabrał się do tworzenia siły zbrojnej. Wkrótce 24.000 wyborowego wojska stanęło w okolicach Kwidzyna. Kanclerz Oxenstierna, również dążący do wojny, szykował dwie armje, z których jedna stała już w pogotowiu bojowym.

Alę jak Władysław w Polsce, tak Oxenstierna w Szwecji był odosobniony.

Punkt ciężkości spoczywał w rękach pełnomocników, którzy w maju 1635 roku wznowili układy i prowadzili je najpierw w Pasłęku, a później w Sztumdorfie, leżącym na połowie drogi między namiotami Polaków i Szwedów.

Król w czerwcu przyjechał do Torunia, potem przeniósł się do Gdańska, a z największym niepokojem śledził przebieg pertraktacji.

Z nie mniejszą niecierpliwością oczekiwali rezultatów państwa zainteresowane. Na miejsce układów zjechali się przedstawiciele Anglii, Francji, Holandji, cesarza i elektora brandenburskiego, by, stosownie do swoich widoków, oddziaływać na układające się strony.

Z rozjemstwem wystąpił najpierw przedstawiciel elektora brandenburskiego, działającego w porozumieniu z Władysławem. W myśl otrzymanych instrukcyj wysłannik elektora projektował zniesienie uchwały sejmiku szwedzkiego, którą katolicka linja Wazów na zawsze odsądzona została od korony szwedzkiej, następnie przeznaczenie na tron szwedzki po śmierci Krystyny potomka Władysława. Ze swej strony poseł francuski hr. d'Avaux proponował, by Władysław zrzekł się praw

do tronu za zwrot Rzeczypospolitej Prus i Inflant, a Szwedzi przenieśli prawa do korony szwedzkiej na potomków Władysława, lecz dopiero po wygaśnięciu rodu Krystyny.

Pełnomocnikom polskim, którym przewodził kanclerz wielki koronny Zadzik, uśmiechała się taka propozycja, ale Szwedzi odrzucili ją z całą stanowczością, oświadczając, że żadnego prawa do tytułu nie mogą przyznać królowi polskiemu.

Na to odpowiedział Władysław manifestem do poddanych szwedzkich. W manifestcie tym uroczyście oświadczał, iż praw swych do szwedzkiego tronu nigdy się nie zrzeknie i nie odstąpi dopóty, dopóki żyć będzie choćby jeden członek jego rodziny. Przyrzekał natomiast Szwedom całkowitą swobodę ich religii oraz ogłaszał amnestję za przestępstwa względem domu jego popełnione.

Manifest ten był rękawicą, rzuconą pełnomocnikom szwedzkim, a stać się mógł iskrą, zapalającą z obu stron nagromadzone prochy.

Na to też Władysław liczył.

Ale dyplomacja francuska w osobie hr. d'Avaux czyniła nadzwyczajne wysiłki, by doprowadzić do porozumienia i w ten sposób Szwecji, pogodzonej z Polską, pozostawić zupełną swobodę działania w Niemczech. Pod naciskiem przedstawiciela Francji Szwedzi zgadzali się zwrócić Rzeczypospolitej Prusy wraz z Piławą i portami oraz zawrzeć rozejm na lat czterdzieści. Komisarze polscy gotowi byli takie warunki przyjąć, lecz Władysław z wielką stanowczością domagał się zwrotu Inflant.

Napężenie między układającymi się pełnomocnikami dochodziło do szczytu. Gdy wreszcie Polacy poprze-

stali na zwrocie Prus, wynikła kwestja wolności religijnej w Inflantach, na którą fanatyczni Szwedzi nie chcieli się zgodzić.

To przepełniło czarę wzajemnej nieufności.

Dnia 27 sierpnia (1635 r.) omal nie doszło do zerwania. Dnia tego w czasie toczących się układów w obozie szwedzkim zagrały niespodzianie trąby alarmowe. Polacy zrozumieli, że jest to ze strony Szwedów wyzwanie i pogróżka.

Wzburzony wojewoda bełski Rafał Leszczyński zawołał:

— „Czy chcą nas przestraszyć? Możemy im głośniejszą odpowiedzieć!”

A Jakób Sobieski krzyknął, że nikt bardziej, jak Polak nie jest do tej muzyki zrodzony, gdy więc Szwedzi grożą wojną, niechże będzie wojna!

Ktoś usłyszał to słowo, wypadł z szałasów, w którym toczyły się obrady, i zaczął wołać:

— „Wojna będzie! do koni! do koni!”

Okrzyk ten, jak grom przeszył powietrze. Z obu stron poruszyło się wszystko. Powstała straszna wrzawa, a w chwilę potem wypadła husarja polska i w bojowym ordynku zbliżyła się do namiotów szwedzkich. Ze swej strony i Szwedzi sprawili swą jazdę. Wtedy dopiero rzucono się między wojska i z największym wysiłkiem zażegnano tumult.

Po tej awanturze pełnomocnicy szwedzcy, naciskani przez hrabiego d'Avaux, zgodzili się nareszcie zapewnić wszystkim mieszkańcom Inflant swobodę sumienia i obrządku.

Pertraktacje zbliżały się do końca.

Władysław był w rozpacz.

Nie wiedząc, jak przeszkodzić zawarciu pokoju, wezwał do siebie Ossolińskiego, przebywającego podówczas w Królewcu w charakterze gubernatora wojennego Prus i, wierząc w jego zręczność, rozkazał mu jakimkolwiek fortelem zerwać kończące się układy. Ale było już za późno. Ossoliński przybył do Gdańska 11 września wieczorem, a nazajutrz dnia 12 września 1635 roku pełnomocnicy polscy i szwedzcy podpisali w Sztumdorfie rozejm na lat 26.

Do Polski powróciły Prusy, Szwedzi utrzymali się przy Inflantach. Prawa Władysława do Szwecji zostały w zawieszeniu: po upływie lat 26 mógł wznowić swe pretensje do korony szwedzkiej.

— „Król omal nie szaleje”, — pisał w owym czasie Janusz Radziwiłł.

Jakoż szalejący król kłął kanclerza, hetmana i wszystkich doradców, ale, zmuszony okolicznościami, rozejm podpisał, a nawet, tłumiąc swą bezsilną wściekłość, udawał nazewnątrz, że wszystko stało się według jego myśli.

Ale nie dawał za wygraną.

Podpisując traktat rozejmowy, zastrzegł sobie, że po dwu latach wolno mu będzie wystąpić ze swemi prawami do Szwecji. A że wojna zawiodła, wrócił do myśli o generalnym w Europie pokoju, zawsze licząc na to, że powszechny pokój i jego doprowadzi do celu.

Tymczasem zaszły okoliczności, otwierające przed Władysławem nowe widoki.

Francja, która w znacznej mierze przyczyniła się do rozejmu sztumdorskiego, a dążyła do złamania przewagi Habsburgów w Europie, postanowiła przeciągnąć na swą stronę Polskę i skierować jej siły przeciw ce-

sarzowi. W myśl tego planu hr. d'Avaux zaproponował Władysławowi imieniem swego króla, zawarcie traktatu, który oba państwa miał doprowadzić do najściślejszego sojuszu i zgodnego działania na terenie międzynarodowym. Propozycje francuskie były bardzo nęcące. D'Avaux ofiarowywał Władysławowi rękę jednej z księżniczek francuskich, a wzamian prosił o rękę królowny polskiej dla brata króla francuskiego. Domagał się dalej wystawienia przez Polskę 10.000-ej armji przeciw cesarzowi, przyrzekając na ten cel miljonowe subsydja. Ponadto Francja wraz ze wszystkimi sprzymierzeńcami zobowiązywała się poprzeć pretensje Rzeczypospolitej do Śląska. Lecz nie dość na tem. Król francuski ofiarowywał Władysławowi po śmierci Ferdynanda II koronę cesarską.

Ta ostatnia propozycja nie była fantazją.

Ferdynand II, zgrzybiały i schorowany, czynił od pewnego czasu bezskuteczne wysiłki w Rzeszy, by jeszcze za życia swego zapewnić koronę cesarską synowi. Ale elektorowie zachowywali się wobec tych wysiłków opornie: dwukrotnie wzywani przez cesarza na sejm do Ratysbony, dwukrotnie zawiedli jego oczekiwania i nie stawili się na zaproszenie. A Władysław, który miał swych zwolenników w Rzeszy, a którego lennikiem był wpływowy elektor brandenburski, mógł rzeczywiście stać się poważnym rywalem Habsburgów, zwłaszcza przy poparciu mocarstw, sprzymierzonych z Francją.

Ta myśl nieraz go już zaprzętała i rozpląmieniała jego ambicję.

A korona cesarska na głowie króla polskiego nie była bez wielkiego znaczenia dla Rzeczypospolitej. Ale

sojusz z Francją oznaczał w owym czasie wojnę, a Polska wojny nie chciała. Szlachta, zasklepiona w swoich zaściankach, głucha na gromy, wstrząsające światem, niechętna wszystkiemu, co wymagało ofiar i trudów, bezpiecznie układała się do snu przy domowych ogniskach. Władysław, który w czasie układów ze Szwedami, nieчем nie mógł skłonić reprezentujących opinię ogółu szlacheckiego pełnomocników do nieodstępowania Szwecji Inflant, znał dobrze całą swą niemoc. Niewyczerpany w pomysłach, twórczy, ruchliwy, mógł znaleźć na swe usługi jednostki, ale na poparcie kraju liczyć absolutnie nie mógł. Więc choć korona cesarska musiała mieć urok potężny, wyrzekł się myśli o niej i, nie mogąc współdziałać z Francją, przechylił się ostatecznie na stronę Habsburgów.

Zaproszony na sejm do Ratysbony, wysłał tam Ossolińskiego z instrukcją, by wśród gremjum elektorów popierał wybór cesarzewicza i w dalszym ciągu propagował ideę powszechnego pokoju, wysuwając osobę króla polskiego na medjatora.

A jednocześnie sojusz z cesarzem zdecydował się przypieczętować związkiem małżeńskim. Oświadczając gotowość poślubienia wyznaczonej mu przez cesarza arcyksiężniczki, domagał się, aby synowie z tego małżeństwa zrodzeni, otrzymali prawem dziedzictwa księstwa raciborskie i opolskie, żądał pomocy w swych zabiegach o koronę szwedzką, a także natychmiastowego wypłacenia dotychczas nieuiszczonych posagów dwóch żon Zygmunta III, matki swej Anny i macochy Konstancji.

Cesarz, znajdując się w wielkich kłopotach, a pragnąc zabezpieczyć się ze strony Polski, wszystkie warunki

przyjął i za małżonkę wyznaczył królowi arcyeksieźniczkę Cecylję Renatę.

W ten sposób odnowiony został stary sojusz Polski z Austrią.

Ale Habsburgowie nie zwykli dotrzymywać swoich obietnic. Ferdynand II zmarł w lutym 1637 r., a nowy cesarz Ferdynand III oświadczył, że familijna ustawa domu austriackiego nie pozwala mu odstępować prowincyj dziedzicznych. Lecz sprawa małżeństwa posunęta już była tak daleko, że Władysław nie uznał za rzecz możliwą zrywać z Habsburgami. Stała więc nowa ugoda. Ferdynand III zobowiązywał się popierać roszczenia Władysława do Szwecji, i godził się zabezpieczyć 300.000 florenów zaległości i 100.000 florenów, przeznaczonych na posag Cecylji Renaty, na dobrach czeskich Wittingau wzamian za zrzeczenie się przez Cecylję wszystkich praw do którejkolwiek z dziedzicznych prowincyj austriackich. Nadto pomiędzy Władysławem a cesarzem zawarta została tajna umowa, na mocy której król polski, w razie wygaśnięcia starszej linii Wazów, przekazywał wszystkie prawa do Szwecji Habsburgom, a nawzajem Ferdynand III, w razie gdyby przedtem wymarli Habsburgowie, także same prawa w swych posiadłościach dziedzicznych przyznawał Wazom.

Umowa ta, zgodna z tradycjami Habsburgów, która przez kombinacje małżeńskie wyparłi dynastję Jagiellonów z Czech i Węgier, acz tym razem dla żadnej ze stron nie miała pociągnąć za sobą konsekwencyj, była jednym dowodem więcej, że Władysław przekreślił swoje rachuby, pokładane w układach, prowadzonych z nieprzyjawnymi Habsburgom państwami.

W sierpniu 1637 roku odbyły się w Wiedniu zaślubiny, a króla zastępował Jan Kazimierz; we wrześniu tegoż roku Cecylja Renata przyjechała do Krakowa i tu uroczyście została ukoronowana.

Małżeństwo to naraziło Władysława Anglii, rozgniewało na niego Francję i wywołało wielkie niezadowolenie w kraju. Szlachta polska zdawna już bardzo niechętnie spoglądała na związki królów polskich z dworem wiedeńskim, obawiając się, by przez te związki Habsburgowie nie umocnili swych wpływów w Rzeczypospolitej i nie zagarnęli dla siebie polskiego tronu, aby tak ujarzmić Polaków, jak ujarzmili już Czechów i Węgrów. Ale ogół szlachecki przeciwny był każdemu małżeństwu, któreby króla polskiego zbliżało do wielkich zagadnień europejskich na zachodzie, wciągało Rzeczpospolitą w kręgi współzawodnictwa międzynarodowego, a nakładało na nią jakiekolwiek ciężary i obowiązki.

Łącząc się za przykładem ojca nowemi węzłami z domem Habsburgów, Władysław szedł po linii najmniejszego oporu, wiedząc, że każdy inny związek, mogący przynieść tak jemu, jak Polsce istotne korzyści, wymagał poparcia kraju, a to poparcie było wykluczone. Wprawdzie przez poślubienie Cecylji Renaty nie zbliżał się do korony szwedzkiej, co niemal wyłącznie miał na widoku, gdy rozważał różne projekty małżeńskie: pomoc cesarska zawsze była wątpliwa. Ale do naczelných zadań, które przyświecały Władysławowi, należała także wojna z Turcją, a Turcja była śmiertelnym wrogiem cesarza.

V

PRZECIW KRÓLOWI

Traktat sztumdorfski był kapitulacją wielkiej Rzeczypospolitej przed małą Szwecją. Jedno ze skrzydeł orla polskiego, jak o Inflantach i Prusach wyrażał się Gustaw Adolf, pozostało w rękach Szwedów, a choć boleli nad tem Litwini, bo wzamian Inflant woleliby odstąpić Prusy, to przecież ogół szlachecki był zadowolony, że wojna została zażegnana. Jeden król głęboko odczuł wyrządzoną państwu zniewagę, a że zawarty rozejm nie tylko pozbawiał Rzeczpospolitą krainy, o którą w ciągu półwiecza zgórą toczono krwawe walki, ale niweczył także osobiste jego widoki, więc nie mógł się pogodzić z wynikiem pertraktacyj. Nadaremnie przecież usiłował na najbliższym sejmie pobudzić Litwinów do stanowczej przeciw rozejmowi opozycji: dwuniedzielnny sejm, zwołany w listopadzie 1635 roku, ratyfikował traktat i rozwił ostatnie nadzieje Władysława.

Król całkowicie był osamotniony.

A po niepowodzeniach w polityce zewnętrznej czekały go niepowodzenia i porażki w sprawach wewnętrznych.

Jedną z tych spraw były cła morskie, które Władysław pragnął pobierać, drugą — projekt orderu Niepokalanego Poczęcia. Cła miały wzmocnić nadszarpane finanse, order — stworzyć silne stronnictwo, dające królowi należyte oparcie w narodzie.

Cła morskie zaprowadzili Szwedzi. Usadowiwszy się na wybrzeżach Bałtyku i opanowawszy, z wyjątkiem Gdańska, wszystkie porty, a Gdańsk obezwładniwszy od morza flotą a od lądu wojskiem, czerpali z tych cel olbrzymie dochody. Jedna Piława przynosiła im 500.000 talarów rocznego zysku, dochód zaś całkowity obliczany był 1.200.000 talarów, sumę tak na owe czasy olbrzymią, że za nią mogli Szwedzi nie tylko zajęte prowincje utrzymywać w karności, ale nadto prowadzić jeszcze kosztowną wojnę w Niemczech. Zawierając traktat sztumdorfski, żądali Szwedzi, by Rzeczpospolita cel nie pobierała. Ostatecznie stanęło na tem, że na pokrycie poniesionych kosztów wojennych cła w wysokości $3\frac{1}{2}\%$ utrzymane zostaną w ciągu dwóch lat, poczem wszystko wróci do stanu rzeczy istniejącego przed wojną. Stanowisko Szwecji w tej sprawie było na rękę wszystkim mocarstwom morskim, a szczególniej Danji, która skutkiem polityki celnej Szwedów narażona była na najcięższe straty.

Po zawarciu rozejmu król wydał dekret, nakładający 3 i pół-procentowe cło morskie w Gdańsku, Piławie, Kłajpedzie, Windawie i Libawie. Wówczas Gdańsk, dążący do przedwojennych stosunków, ofiarował jednorażowo 800.000 złotych, które król przyjął, obiecując port ten na zawsze od cel morskich uwolnić.

W roku 1637 miały dwa lata, zawarowane traktatem sztumdorfskim.

Lecz Rzeczpospolita była bez środków, hojny król oddawna znajdował się w ogromnych kłopotach pieniężnych, a ubytek dochodu, które dla przynosiły, okazał się bardzo poważnym uszczerbkiem. Więc król po radzie z Ossolińskim postanowił dla utrzymania nadal. Miał nadzieję, że mocarstwa morskie, zajęte wojną z Habsburgami, nie będą mogły się temu sprzeciwić, a stanowcza postawa Polski zmusi je do pogodzenia się z tem, z czem godziły się wtedy, gdy na wybrzeżu Bałtyku panowali niepodzielnie Szwedzi.

Cheąc przygotować dla widoków swoich opinie, Władysław przed rozpoczęciem obrad sejmowych zwołał radę senatu. Jako rzecznik utrzymania cel morskich wystąpił Jerzy Ossoliński, podówczas już wojewoda sandomierski. Wykazawszy wielkie znaczenie całej tej sprawy, w wymownych słowach przekonywał zebranych senatorów o słuszności zamiarów królewskich. Przedziwnym zbiegiem okoliczności, mówił, najszkodliwszy nieprzyjaciół wskazał sposób, dzięki któremu może Rzeczpospolita poznać swe siły i stanąć na mocnych nogach. Siłą tą są właśnie dla morskie, zaprowadzone przez Gustawa Adolfa „z takim jego pożytkiem, że niemi nie tylko wielkie wojska na nas chował i pobrane zamki, miasta, i prowincje zatrzymywał, ale i cesarstwo niemieckie zwojował”. Więc pytał, cóż byłaby za racja pozbawiać się tej siły, która niedawno jeszcze tak skutecznie służyła wrogowi?

Argumenty Ossolińskiego przekonały senatorów. Zgodzili się tedy podtrzymywać projekt królewski, ale wyrazili zdanie, że ze sprawą tą nie należy się śpieszyć i nie poruszać jej na najbliższym sejmie, lecz przedtem

przygotować opinię i zapewnić sobie powodzenie w izbie poselskiej.

Ostrożność ta nie trafiła królowi do przekonania. Sądził, że uchwałę izby poselskiej łatwiej będzie zdobyć niespodziewanym szturmem, niż długimi zabiegami, a Ossoliński i Kazanowski podzielali to zdanie.

Oni też ułożyli plan działania w czasie sejmu, zwołanego na czerwiec 1637 r.

Gdy izba poselska wszczęła dyskusję nad wypłatą wojsku zaległego żołdu, a posłowie swoim zwyczajem uskarżali się na gnębiące ich ciężary podatkowe, niespodziewanie wystąpił cieszący się dużą wśród braci szlacheckiej powagą poseł Koryciński z projektem ustanowienia ceł morskich. Wykazując korzyści, jakie z tego źródła czerpali Szwedzi, Koryciński dowodził, że dzięki tym cłom Polska mogłaby utrzymywać mocną flotę i odzyskać utracone na Bałtyku władztwo.

Mowy tej wysłuchano z uznaniem. Kilku mówców poparło zaraz wniesiony przez Korycińskiego projekt, a posłowie koronni, przekonani o słuszności sprawy, starali się odpowiedni wniosek narzucić izbie. Sprzeciwili się temu posłowie litewscy i pruscy. Jedni i drudzy żądali, aby rozważanie projektu wstrzymane zostało do następnego sejmu, przedtem zaś rzecz cała wniesiona pod obrady sejmików. Na tem sprawa utknęła. Wszakże pod koniec obrad, gdy izba poselska połączyła się z senatem, marsz. Jan Stanisław Jabłonowski, pozyskany przez króla, odczytując do ostatecznego zatwierdzenia powzięte uchwały, odczytał również złożoną mu przez posłów koronnych konstytucję, ustanawiającą cła morskie. Przeciw temu zaprotestowali posłowie pruscy i litewscy, wołając, że izba nic podobnego nie

uchwalała i wyrzekając na nieprawne postępowanie marszałka.

Wtedy zabrał głos Ossoliński i starał się przekonać wzburzonych posłów, że w senacie niejednokrotnie już odczytywano konstytucje, które nie uzyskały aprobaty całej izby poselskiej, że od tego właśnie jest senat, by w razie odmiennych zdań posłów uzgodnić ich stanowisko.

Wszczęła się dyskusja.

Posłowie pruscy powołali się na swój przywilej, który Prusy uwalniał od cel lądowych i wodnych. Niestropiony Ossoliński zawołał, że na wodzie, to znaczy na Wiśle, ale nie na morzu. Wtedy Prusacy zaczęli dowodzić, że przecież i w morzu jest woda, czem wywołali wielką wesołość. Wreszcie naciskani ze wszystkich stron, stropili się i wykazali skłonność do ustępstw. Ostatecznie po czterech godzinach żwawej dyskusji ułożono przyjętą przez wszystkich konstytucję, stwierdzającą, że cła morskie należą do Rzeczypospolitej, że jednak nie mogą one naruszać przywilejów szlachty i miast. Ponadto konstytucja stwierdzała, że województwa pruskie i niektóre litewskie odwołają się jeszcze w tej sprawie do sejmików. Wogóle treść konstytucji była dwuznaczna. Opozycyjni posłowie rozumieli, że wprowadzenie cel morskich uzależnione zostało od zgody reprezentowanych przez nich województw, natomiast król stał na stanowisku, że skoro sejm zatwierdził zasadę, to nic nie stoi na przeszkodzie wprowadzeniu jej w życie. Więc postanowił nie czekać na wypowiedzenie się sejmików. Mniemał, że w razie niezadowolenia w kraju, wytłumaczy przed następnym sejmem swój krok gwałtownymi potrzebami Rzeczypospolitej.

Wprowadzeniem ceł energicznie zajął się Jerzy Ossoliński.

Przed portem gdańskim stanęły okręty królewskie i pilnowały, by żaden statek nie mógł do portu wpływać, ani z portu wypłynąć, nie opłaciwszy uprzednio cła. W samym Gdańsku ogłoszony został uniwersał królewski, wprowadzający pod nazwą *zulagi* cła morskie. Uczyniono tak dlatego, że, jak wiadomo, król obiecał w swoim czasie gdańszczanom ceł morskich nie wprowadzać. Był to więc wybieg, jawnie naruszający obietnicę królewską, wybieg szkodliwy i w następstwach swoich najfatalniejszy dla samego króla.

Oburzeni niesłownością Władysława gdańszczanie zamknęli komorę, nie pozwalając ani swoim, ani obcym okrętom wjeżdżać do portu, ni z portu wyjeżdżać. Przerwawszy w ten sposób handel morski, wysłali do króla pismo, w którym stanowczo oświadczały, że nie mogą się zgodzić na utracenie swoich przywilejów i wolą raczej zginąć, niż żyć w haniebnej niewoli. Jednocześnie posłowie Gdańska udali się do Francji, Anglii, Danji, Holandji, do miast hanzeatyckich, Hamburga, Lubeki i innych portów, zawiadamiając wszystkich zainteresowanych o swojej krzywdzie, a zarazem prosząc trzy pierwsze mocarstwa, jako te, które występowały w charakterze rozjemców przy zawieraniu traktatu w Sztumdorfie, o wstawienie się do króla polskiego i skłonienie go do wypełnienia swych zobowiązań. Niezależnie od tej akcji dyplomatycznej Gdańsk zaczął się zbroić, zaciągać żołnierzy, wzmacniać twierdze na Górze Biskupiej i w Oliwie.

Za przykładem Gdańska poszła zachęcona do oporu przez elektora Piława.

Ossoliński, chcąc stanowczym krokiem skłonić butne miasto do uległości, ogłosił w imieniu króla edykt, pozwalający okrętom angielskim, które opłaciły cło, zawijać do Elbląga, a Gdańskowi zagroził, że w razie dalszego oporu, Rzeczpospolita bieg Wisły skieruje Nogatem do Elbląga.

Lecz Gdańsk nie ustraszyl się groźby i nie myślał ustąpić.

Zaniepokojony król również wysłał posłów do mocarstw, pośredniczących przy zawieraniu traktatu w Sztumdorfie, oskarżając gdańszczan i wywodząc swe prawa do poczynionych zarządzeń. Starał się także oddziaływać na opinię kraju, gdyż po całej Polsce rozeszły się zatrważające pogłoski o zamiarach króla. Opowiadano sobie, że Gdańsk ma zająć Austrię, że projekt cel wyszedł od cesarza, że w grę wchodzi wielki plan stworzenia uniwersalnej monarchji katolickiej. Łatwowierna szlachta za dobrą monetę brała te pogłoski i oburzała się na króla, przypisując mu najniedorzeczniejsze zamiary.

Tymczasem zaszedł wypadek całkiem nieoczekiwany. Na zamknięciu portu gdańskiego najbardziej ucierpiała Danja. Król duński, widząc, że sprawa się przewleka, siłą postanowił Gdańsk wyswobodzić. Jakoż w nocy z dnia 1 na 2 grudnia 8 okrętów wojennych duńskich zaatakowało niespodzianie cztery okręty królewskie, strzegące portu. Dwa z tych okrętów zdołały uciec, dwa dostały się w ręce Duńczyków. Nazajutrz kilkadziesiąt statków kupieckich wpłynęło do portu, nie opłacając ustanowionej przez króla *zulagi*.

Gdańsk najwyraźniej wyłamywał się z pod wpływów Rzeczypospolitej.

Na wieść o napadzie Danji w całym kraju podniósł się wielki krzyk oburzenia. Ale przedmiotem tego oburzenia był nie napad obcego mocarstwa na okręty polskie, nie zachowanie się Gdańska, nie obraza Rzeczypospolitej, lecz osoba króla, który postępowaniem swem spowodował tak smutne wydarzenia.

Istotnie król Władysław, nie czekając na wypowiedzenie się sejmików i łamiąc dane Gdańszczanom przyrzeczenie, postąpił sobie w sposób, któremu wiele słusznych zarzutów można było uczynić. Ale z chwilą, gdy w sprawę wmieszał się gwałt obcego mocarstwa, gdy obrażona została godność i powaga Rzeczypospolitej, wielkie oburzenie zwrócone wyłącznie przeciw królowi, było dowodem zaślepienia i obojętności szlachty na dobrą sławę znieważonego państwa.

Władysław, nie mogąc pomścić zniewagi, pohamował swój gniew bezsilny, ale rozpoczął natychmiast budowę floty wojennej w Pucku, by na zuchwałość Danji wojną odpowiedzieć. Król wiedział, jak wielkie niezadowolenie wywołał w kraju, nie tracił przecież nadziei, że szlachta zrozumie położenie i ujmie się za znieważonym honorem Rzeczypospolitej. W myśl tego w instrukcjach swoich, rozesłanych sejmikom przed walcącym sejmem 1638 roku, wymownie dowodził, że Polska musi bronić swego panowania na Bałtyku, uśmierzyć Gdańsk i siłą zabezpieczyć się przed mocarstwami, któreby chciały Polsce dyktować swą wolę.

Lecz instrukcje królewskie nie trafiły do przekonania ogółu szlacheckiego, który, na skutek rozsiewanych plotek, posądzał króla o zawarcie tajemnego z cesarzem sojuszu. Powiadano, że celem tego sojuszu jest odzyskanie Szwecji, wojna z Francją,

zaprowadzenie w Polsce dziedziczości tronu i władzy absolutnej.

Pod wpływem rozsiewanych przez nieprzyjaciół króla fałszywych wieści, sejmiki odbywały się bardzo burzliwie. Występowano na nich gwałtownie zarówno przeciw Władysławowi, jak senatorom; posłom udzielono instrukcyj, by przez odczytanie na walnym sejmie protokółów rady senatu wszechstronnie wyświełili sprawę.

Drugą kwestją, roznamietniającą w owym czasie umysł, był order Niepokalanego Poczęcia Panny Marji, mający powołać do życia silne stronnictwo dworskie w postaci zakonu rycerskiego. O takim zakonie myślał już Zygmunt III, a projekt odnowiony został przez Władysława wkrótce po wstąpieniu na tron. Statut tego zakonu zatwierdzony został przez papieża w czasie pobytu w Rzymie Ossolińskiego. Konieczność orderu pozorowana była tem, że królowie polscy, obdarowywani przez obcych monarchów orderami, nie mają możności wywzajemnienia się żadną honorową oznaką.

Wielkim mistrzem zakonu miał być sam król, kawalerami—zasłużeni panowie polscy w liczbie 72 i cudzoziemcy w liczbie 24.

Władysław, chcąc projekt wcielić w życie, zaprosił 12 przedniejszych senatorów i brata Jana Kazimierza na dzień 14 września do Warszawy. W tym dniu wszyscy zaproszeni, po uroczystem nabożeństwie w katedrze, mieli być ozdobieni przez króla orderem. Ułożono już szczegóły całej ceremonji. Lecz i w tej sprawie opinja kraju zwróciła się przeciw królowi. Wieści o nowym zakonie wszędzie wywołały ogromne niezadowolenie. Demokracja szlachecka widziała w tym projekcie

zamach na swoją równość, szczególnie zaś oburzali się na nowy zakon dysydenci, którzy z natury rzeczy nie mogli być członkami bractwa religijnego o wyraźnym charakterze katolickim. Wszyscy zresztą przejrzeni intencje Władysława, rozumiejąc, że chodzi mu o wzmocnienie własnej pozycji i zjednanie możnych panów, coby się stali podporami tronu i dynastji. Wołano, że jest to spisek króla i magnatów przeciw wolnościom szlacheckim.

Niezadowolenie, wywołane samym pomysłem orderu, było tak wielkie i tak powszechne, że najwplywowksi i najpoważniejsi obywatele kraju na uprzejme zaproszenie króla odpowiedzieli odmową. Stanisław Lubomirski, magnat potężny swemi wpływami i swą powagą, odpisał wręcz, że tych cudzoziemskich nowości naród polski nienawidzi, że przeciw zakonowi, który król pragnie ustanowić, wszędzie podnosi się szemranie, że wobec tego uniżenie za łaskę dziękuje, gdyż i bez orderu gotów jest zawsze ważyć swe zdrowie w obronie majestatu króla i bezpieczeństwa ojezyny. Odmowną odpowiedź przysłał hetman wielki koronny Stanisław Koniecpolski oraz inni senatorowie. A przywódca dysydentów na Litwie, hetman Krzysztof Radziwiłł złożył królowi pismo p. n.: „Rationes przeciw kawalerji” i szeroko dowodził szkodziwości wprowadzenia do Polski orderu.

Śród takich okoliczności sejmiki, występując przeciw królowi z powodu samowolnego ustanowienia cel morskich, domagały się zarazem zaniechania wszelkiej myśli o orderze. Obok króla przedmiotem ataków był Jerzy Ossoliński, w którym widziano najbliższego Władysławowi doradcę. Więc wiele sejmików żądało również, by raz na zawsze zniesione zostały tytuły cudzo-

ziemskie; chciano w ten sposób dokuczyć Ossolińskiemu i załatwić z nim dawne porachunki za przyjęcie tytułów książęcych, ofiarowanych mu przez papieża i cesarza.

W dniu 10 marca 1638 r. nielicznie zgromadzeni posłowie wysłuchali w katedrze mszy świętej i płomienego kazania, które wygłosił znakomity poeta i kaznodzieja króla, ksiądz Maciej Kazimierz Sarbiewski. W kazaniu swoim złotousty mówca wzywał sejmujące stany, by stały na straży dostojęstwa korony i strzegły praw Rzeczypospolitej na Bałtyku. Ale gorące słowa kaznodziei nie padły na grunt podatny. Szlachta przyjechała z gotowymi instrukcjami—i izba poselska pod znakiem opozycji rozpoczęła obrady. Do łaski marszałkowskiej powołany został Łukasz Opaliński, wojewódzie poznański, młody, lat 25 liczący człowiek, ale znany ze swej ku Ossolińskiemu niechęci.

Sprawę buntowniczego Gdańska referował podkanclerzy koronny, biskup przemyski Piotr Gębicki, ale dopiero w dwa dni później, gdy po wypowiedzeniu się innych senatorów głos zabrał Ossoliński, podniosła głowę opozycja.

Wojewoda sandomierski zdał sprawę ze swych czynności w stosunku do Gdańska, oskarżył harde miasto o konszachty z Danją i starał się dowieść, że król poczynił sobie bardzo łaskawie, najpierw przemawiając do rozsądku gdańszczan, a później dopiero, gdy wszystkie napomnienia zawiodły, wzywając przed sąd buntownicze miasto. Następnie wykazał, że Gdańsk, nie posiadając żadnych po temu uprawnień, sam pod różnemi pozorami cła pobiera, a królowi i Rzeczypospolitej odmawia praw zwierzchniczych. Więc domagał się, by

miasto wynagrodziło skarbowi wszystkie straty, a winni surowo zostali ukarani.

Argumenty wymownego wojewody nie trafiły do przekonania izby.

Posłowie, w myśl swoich instrukcyj, zażądali, aby odczytane zostały protokoły rady senatu. Na to dość niezręcznie odpowiedział podkanclerzy Gębicki, że żądanie izby jest wielce niebezpieczne, bo Rzeczpospolita, jak każde państwo, posiada wrogów, czytać zaś publicznie to, co na tajnej radzie mówiono, równa się odstąpieniu tajemnic przed nieprzyjaciółmi. Gębicki dodał wprawdzie, że jeśli izba nie odstąpi od swego żądania, to król gotów będzie je spełnić, ale dopiero wtedy, gdy zainteresowani senatorowie zjadą do Warszawy.

Takiego tylko trzeba było oświadczenia, aby wywołać burzę.

Podejrzenia, któremi przed sejmem karmiła się szlachta, trysnęły teraz okrzykami zgodnego oburzenia. Z ław poselskich rzucano pod adresem mówcy pytania:

— „A kiedyż to senatorowie-rezydenci zjadą?”

— „A kiedyż król im przyjechać zezwoli?”

Gorętsi posłowie zaczęli wołać, że niema poco obrażać dalej i zapowiadali, że sejm zerwą, inni dowodzili, że Polsce grozi absolutyzm, a wszyscy sarkali na króla i odgrządzali się przewrotnym senatorom, co wraz z królem na wolność szlachecką dybią. Dwa dni wrzały namiętności. A wzburzenie izby wzrosło, gdy rozniosła się wiadomość, że wakującą po Zamoyskim pieczęć wielką koronną król oddał biskupowi Gębickiemu, a na podkanclerstwo wyniósł wojewodę sandomierskiego. Nie-

popularny, za głównego sprawcę poczynań króla uważany, Ossoliński był dla ogromnej większości izby najnienawistniejszym w Rzeczypospolitej człowiekiem. Więc wieść o jego wyniesieniu podziałała, jak iskra na zgromadzone prochy. Posłowie zerwali się z miejsc, hurmem ruszyli do sali obrad senatu i grożąc a hałasując, domagali się odczytania zazdrośnie strzeżonych protokółów. Otrzymawszy tę samą, co poprzednio, odpowiedź, postanowili nie ustąpić i dopóty niepokoić króla, dopóki żądania ich nie spełni.

Jakoż dzień po dniu wyprawiali do Władysława poselstwo, aż dopięli swego i wrócili z oświadczeniem, że żądanie izby będzie spełnione.

Ale senatorowie, nie mogąc się oprzeć natarczywości izby, postanowili ją oszukać. Zamiast żądanych protokółów dali do odczytania sprawozdanie, specjalnie dla izby przygotowane. Lecz szlachta poznała się na podejściu i nową podniosła wrzawę. Następnego dnia wszyscy posłowie udali się do senatu i przez usta swego marszałka wyrazili oburzenie senatorom, nie szczędząc ostrych przyecinków pod adresem króla.

W ten sposób Władysław uzbroił przeciw sobie izbę.

Nieszczęście chciało, że w tym właśnie czasie rozpoczął sąd nad gdańszczanami.

Ci ostatni doskonale zorjentowali się w położeniu. Widzieli, że sprzyja im szlachta i że większość senatorów nie pochwala zarządzeń Władysława.

I tak było istotnie: nie król, lecz zbuntowane przeciw Rzeczypospolitej miasto miało za sobą opinię kraju. Do takiego stanu rzeczy przyczyniała się jeszcze obawa, by król wyrokiem swoim nie uwikłał Polski w wojnę z potężnem miastem, a ogół szlachecki za

wszelką cenę chciał wojny uniknąć. Nie dziwnego, że w takich warunkach gdańszczanie, pewni wygranej, hardo podnieśli głowy.

Osamotniony w walce z Gdańskiem Władysław, ulegając namowom, polecił kilku senatorom, by rozmówili się z posłami gdańskimi, w nadziei, że ci zgodzą się dobrowolnie na narzucone im cła i że sprawa bez sądu da się załatwić.

Gdańszczanie spokojnie wysłuchali żądań, lecz pewni siebie i zaufani w swoją nad królem przewagę, zasłaniali się dawnymi przywilejami i ani chcieli słyszeć o ich naruszeniu.

Na wiadomość o tem Władysław uniósł się tak okropnie, że aż zachorował z gniewu. Przyszedłszy do siebie, rozpoczął sądy i wydał wyrok, skazujący Gdańsk na kontumację. Okazało się przecie, że pod względem prawnym sprawa nie została należycie przygotowana i że prywatny sąd królewski nie był w tym wypadku właściwą instancją. Posłowie gdańscy wyzyskali wszystkie nieformalności i zasłaniając się prawem oraz przywilejami, dopięli tego, że nie pozwolili sądzić się o zdradę stanu i że cała sprawa zamiast przed sąd sejmowy skierowana została do sądów asesorskich.

Skompromitowany król po raz wtóry zachorował ze zgryzoty. Przekonał się teraz dowodnie, że nikt go nie popiera, że nie tylko szlachta, ale większość senatorów trzyma stronę zbuntowanego przeciw Rzeczypospolitej miasta. Daremnie przecie gniewał się i miotał, daremnie szukał środków, by zerwać więzy, któremi go skrzepowano. Sejm, nie ufając królowi, wyznaczył 39 komisarzy z pośród członków izby i senatu, którzy, działając pod przewodnictwem króla, mieli ustanowić spo-

sób pobierania cel, z zachowaniem wszelkich przywilejów strony zainteresowanej. Odtąd dochody celne miały zasilać nie fundusze króla, lecz skarb Rzeczypospolitej. I ta komisja jednak nie spełniła swego zadania. Gdańsk postawił na swoim: skompromitował króla i Rzeczpospolitą, a cel pobierać nie pozwolił. Sprawa ciągnęła się długo, a skończyła się nowem upokorzeniem króla i państwa: za 600.000 talarów, wypłaconych w roku 1640, Gdańsk ostatecznie uwolnił się od cel i wszelkich z tego tytułu pretensyj ze strony Rzeczypospolitej.

Taki rezultat wydała nieopatrzność Władysława i polityka sejmujących stanów.

Tenże sejm zobowiązał króla do złożenia obietnicy, że bez zezwolenia Rzeczypospolitej nie będzie czynił zaciągów, ani wszczynał wojny, ani też nie pozwoli obcemu mocarstwu werbować na ziemiach polskich żołnierzy. Ponadto musiał jeszcze Władysław wyrzec się ustanowienia zakonu i słowem zaręczyć, że do tego projektu nigdy nie powróci.

Obok tylu przykrości i upokorzeń sejm 1638 roku zadał jeszcze cios polityce króla w stosunku do Kozaków. Z powodu wzburzenia, które panowało na Ukrainie i coraz częściej powtarzających się tam buntów, konstytucja tego sejmku odebrała Kozakom wszystkie dotychczasowe przywileje i kilkadziesiąt tysięcy wolnych rodzin kozackich zrównała z chłopami. I ta konstytucja miała zezasem pociągnąć za sobą najfatalniejsze dla Rzeczypospolitej następstwa ¹⁾.

¹⁾ Sprawa ta omówiona jest szerzej w rozdziale VIII książki niniejszej.

Wreszcie izba poselska, mszcząc się na Ossolińskim, postanowiła odebrać mu tytuł książęcy. Sądzone, że będzie się bronił uporczywie. Tymczasem ku podziwieniu posłów nowy podkanclerzy sam dobrowolnie zrzekł się nadanych mu tytułów, ale żeby dokuczyć swym przeciwnikom, zażądał, aby wogóle wszystkie tytuły raz na zawsze zostały zniesione. Uderzenie było zręczne. Cała izba podzieliła się odrazu na dwa obozy. Koroniarze z zapalem przyłączyli się do tego żądania, natomiast szlachta ruska i litewska, otoczona protekcją Radziwiłłów, Zasławskich, Wiśniowieckich, stanęła namiętnie w obronie swych możnych protektorów. Wszczęły się gwałtowne spory, zakończone uchwaleniem konstytucji, znoszącej wszystkie tytuły uzyskane zagranicą, z zachowaniem jedynie tych, które zawarowane zostały unją Korony z Litwą. Sprawę tę postanowiono zdecydować ostatecznie na następnym sejmie.

Pod jednym tylko względem sejm 1638 roku poszedł na rękę królowi: oto przyznał uposażenie czyli tak zwaną oprawę królowej Cecylji Renacie w wysokości 200.000 złotych rocznie, z czego 100.000 przypadało na Koronę, 100.000 na Litwę.

Tak skończył się pamiętny i doniosły w swych skutkach sejm 1638 r.

Król pobity został na całej linii: przegrał sprawę z Gdańskiem, przegrał sprawę z orderem, musiał znieść obelgę, wyrządzoną mu przez króla duńskiego i skapi-tulować przed swoim lennikiem, który mu zbuntował Piławę. Odarty z powagi w kraju, obrażony na hono-rze, zarazem skompromitowany został w oczach za-granicy.

A kompromitacja ta przyczyniła się do nowej wzgar-

dy, której doznał król i Rzeczpospolita, a na którą w obliczu całego świata pozwoliła sobie Francja.

Tym razem powód do głośnego w Europie skandalu dał brat królewski Jan Kazimierz. Młody, niespokojny, ruchliwy, a zmiennymi namiętnościami miotany król-wiecz, nie mogąc znaleźć sobie w Polsce zajęcia, któreby mu dogadzało, wstąpił na służbę cesarską i w charakterze pułkownika kirysjerów walczył w roku 1635 po stronie cesarza przeciw połączonym wojskom Francuzów i Szwedów. Po zawarciu rozejmu sztumdorfskiego Władysław na życzenie Francji przywołał brata do Polski. Lecz Jan Kazimierz nie lubił Polaków, nudził się w kraju, a wichrowata natura gnała go z miejsca na miejsce. Więc postanowił pojechać do Hiszpanji i na dworze swego ciotecznego brata, Filipa IV szukać kariery i szczęścia. Jakoż wyruszył w drogę, ale dojechawszy do Niderlandów, rozmyślił się i wrócił do Warszawy. W r. 1637 Władysław wysłał go, jak wiadomo, do Wiednia, gdzie imieniem króla zaślubił arcyksiężniczkę Cecylję Renatę, a później towarzyszył jej do Krakowa. Otóż podczas pobytu w Wiedniu namawiano go, by wrócił na służbę cesarską, albo też udał się do Hiszpanji na służbę Filipa, który przyrzekał mu wielkorządztwo Portugalji lub urząd admirałski. Z tą myślą odtąd się nie rozstawał. Król odradzał bratu ten wyjazd, lecz Jan Kazimierz, duch niespokojny i awanturniczy, nie dał sobie zamiaru wyperswadować i w styczniu 1638 roku, wbrew życzeniom króla, pożegnał Polskę i w orszaku, złożonym z trzydziestu kilku osób, puścił się w drogę.

Zamiary Jana Kazimierza nie były tajne rządowi francuskiemu, który szukał tylko okazji, by Władysła-

wowi dać odczuć swój gniew za odrzucenie proponowanego mu przez Francję przymierza i przechylenie się na stronę Habsburgów.

Jan Kazimierz pilnie był strzeżony przez agentów francuskich. Już z Genui odpłynął z nim szpieg, by śledzić jego poruszenia i zawiadamiać o nich swe władze. Nieprzezorny królewicz nie tylko nie przedsięwziął żadnych środków ostrożności, ale nie bacząc na to, że udawał się na służbę wrogiego Francji mocarstwa, zatrzymywał się w portach francuskich, a nawet zwiedzał pobrzeżne twierdze i miasta. Skorzystały z tego władze francuskie i w Tour de Bouc aresztowały go pod haniebnym zarzutem szpiegostwa. Nadaremnie Jan Kazimierz protestował i świadczył się swoją niewinnością. Nie zważając na nie, przewieziono go pod silną eskortą do Salony, gdzie wzburzony tłum ludu powitał go, jako szpiega Hiszpanji, gradem najokropniejszych wyzwisk i przekleństw.

Król Władysław, dowiedziawszy się o uwięzieniu brata, zaraz wysłał listy do króla francuskiego i wszechwładnego kardynała Richelieugo, z żądaniem natychmiastowego uwolnienia brata i ukarania urzędników, którzy wzięli się go aresztować.

Oczywiście, dwór francuski ani myślał uwzględnić tych żądań. Chcąc dokuczyć Władysławowi, rozgłosił po całej Europie, że brat króla polskiego, dążąc na służbę do Hiszpanji, w szpiegowskich celach lustrował wybrzeża i porty Francji. Richelieu mścił się okrutnie, a prócz zemsty powodował się jeszcze względami politycznemi na przyszłość. Liczył na to, że dopóki trzymać będzie Jana Kazimierza w więzieniu, dopóty Władysław w obawie przed zemstą nad bratem nie ośmieli

się posiłkować cesarza Ferdynanda, a może nawet zerwie a przynajmniej rozluźni przyjazne z Habsburgami stosunki.

Jakoż król Władysław znalazł się w niesłychanie przykrem położeniu.

Na myśl o nowej, wręcz niesłychanej zniewadze obcego mocarstwa trząsł się z gniewu i upokorzenia, pragnął zadośćuczynienia i zemsty, lecz jednocześnie obawiał się, by stanowczym krokiem nie narazić brata na nieszczęście. Z drugiej strony rozumiał, że jest osamotniony, że występując energicznie przeciw Francji, nie znajdzie w kraju poparcia, zwłaszcza, że Jan Kazimierz nie umiał sobie zaskarbić serc szlachty i nie miał w Polsce przyjaciół. Więc hamował swój gniew, a widząc, że jego bezpośrednie wystąpienie żadnego nie odnosi skutku, poniżył się i wysłał pisma do papieża i cesarza, do rządów Wenecji i Genui, prosząc je o interwencję na rzecz brata w Paryżu.

Prośbom króla uczyniono zadość, ale Francja była głucha na wszystkie wstawiennictwa.

Tymczasem Jan Kazimierz, zamknięty w więzieniu, znosił głód, zimno i wszelki niedostatek. Narażony codziennie na brutalne postępowanie swoich dozorców, przygnębiony hańbiącym podejrzeniem, całkiem upadł na duchu i zapomniał o zachowaniu swojej godności. Zniżał się ciągle do prośb, które dwór francuski pozostawiał bez odpowiedzi, to znowu snuł plany ucieczki, narażając na prześladowanie oddane mu osoby, a raz nawet wskazując tego, kto miał go ratować. A uczynił to, według własnego wyznania, w celu złagodzenia surowości, jakiej doznawał w więzieniu.

Z powodu podejrzeń o chęć ucieczki władze francuskie często przewoziły jeńca z jednego więzienia do drugiego.

W czasie tych przenosin gruntownie zmienilo się położenie królewicza.

W podróży otaczano go wielkimi uprzejmościami: na spotkanie więźnia wyjeżdżali gubernatorowie, wydawano na jego cześć wystawne bankiety, urządzano wspaniałe polowania, traktowano z najwyszukańszą grzecznością, ale gdy przybył na miejsce, wtrącano go znowu do wieży i oddawano na łaskę grubjańskich dozorców. Jedyną rozrywką więźnia były odwiedziny ojców jezuitów, czego władze francuskie nie broniły, a co wywarło duży wpływ na zgnębionego surowem więzieniem królewicza. Zwłaszcza ojciec Leier i jego nauki wielkie na królewiczu wywierały wrażenie.

Richelieu, który Jana Kazimierza uczynił ofiarą swej polityki, latem 1638 roku znalazł nowy powód do wywarcia na jeńcu swej zemsty.

W owym czasie król Władysław, bawiący dla poratowania zdrowia u wód badeńskich, zjechał się w Nikolsburgu z cesarzem. Kardynał, chcąc dać poznać Władysławowi swe niezadowolenie, umyślił wydać królewicza Szwedom. Ponieważ traktat sztumdorfski nie pozbawiał praw do Szwecji braci Władysława, a Jan Kazimierz był po Władysławie najbliższym do korony szwedzkiej pretendentem, sądził przeto Richelieu, że Szwecja chętnie przyjmie tę propozycję. Ale Szwedzi nie kwapili się z przyjęciem takiego daru, uradzili tylko wspólnie z Francuzami, by królewicza polskiego nie wypuszczać na wolność dopóty, dopóki król i Rzeczpospolita nie złożą uroczystego zapewnienia,

że za uwięzienie Jana Kazimierza mścić się na Francji nie będą.

Władysław, chcąc jak najprędzej zakończyć tę nad wyraz przykrą sprawę, wysłał do Paryża posła Dębskiego. Poseł traktowany był przez władze francuskie ze wszystkimi należnemi przedstawicielowi obcego mocarstwa względami, ale długo nie mógł wyjednać audjencji u Richelieugo, który czekał na wiadomości z Nikolsburga. Pod koniec 1638 r. Dębski wrócił z Paryża i przywiózł z sobą listy króla i kardynała. Listy te były nową dla Władysława obelgą. Król francuski przyznawał otwarcie, że uwięzienie Jana Kazimierza nastąpiło za jego wiedzą, a stanowisko swoje tłumaczył tem, że królewicz, jadący do Hiszpanji, by objąć tam stanowisko admirała, lustrował po drodze wybrzeża i porty francuskie. Ustnie Dębskiemu, oświadczone, że Jan Kazimierz tylko wtedy może być uwolniony, jeśli on sam, król i Rzeczpospolita zapewnią Francję, że dochodzić swej krzywdy nie będą.

Władysław czuł się wielce dotkniętym żądaniami Francji, lecz w marcu 1639 roku, po naradzie z senatorami, postanowił wysłać do Paryża wielkiego posła wraz z żadaną asekuracją, podpisaną imieniem Rzeczypospolitej przez przedniejszych senatorów. Na wielkiego posła upatrzony został wojewoda smoleński Krzysztof Korwin Gosiewski. Tymczasem królewicz nadesłał z więzienia swego wiadomość, że kardynał Richelieu nie zadowolili się podpisami króla i senatorów, lecz żąda asekuracji całego sejmu.

Był to nowy cios dla Władysława.

Nieszczęśliwy król widział, że jego własne zaręczenia nic wobec całego świata nie znaczą, a miał wąt-

pliwość, czy szlachta, nie lubiąca Jana Kazimierza, zechce się sprawą tą zająć. Gniewny i rozjątrzony, rozkazał Gosiewskiemu wyjechać niezwłocznie. Więc Gosiewski wyruszył w drogę, ale z Hamburga, po rozmowie z bawiącym tam pełnomocnikiem Francji, hrabią d'Avaux, doniósł królowi, że istotnie Francja nie zadowoli się wiezionem oświadczeniem.

W ten sposób, ku goryczy króla, sprawa musiała się oprzeć o sejm, zaczęty 5 października 1639 r.

Senatorowie na wstępie wyrazili królowi ubolewanie z powodu uwięzienia Jana Kazimierza, ale izba poselska długo wzdragała się z oświadczeniem swej kondolencji. Posłowie nie mieli sympatji dla królewicza, zarzucali mu, że przekłada Niemców nad Polaków i żywi wzgardę dla swej polskiej ojczyzny. Król pragnął, by sejm ratował sytuację powzięciem energicznej a nawet groźnej uchwały, iżby wobec opinji świata wyglądało, że sejm polski uwolnienie brata królewskiego wymusił. Posłowie ani chcieli o tem słyszeć, utrzymując, że Jan Kazimierz aresztowany został nie jako brat królewski, lecz jako osobistość, pozostająca na służbie cudzoziemskiej. Wiele znowu musiał wycierpieć Władysław, nim izba poselska zgodziła się dać żadaną przez Francję asekurację. Asekuracja ta, podpisana przez prymasa i marszałka izby, pod wiarą, słowem i sumieniem zaręczała, że jeśli Jan Kazimierz otrzyma wolność, to za jego uwięzienie ani król, ani Rzeczpospolita mścić się nie będą.

Dokument ten przesłano Gosiewskiemu do Francji, ale wiele jeszcze trudności czynił Richelieu, nim Jan Kazimierz po 21 miesiącach ciężkiego więzienia odzyskał upragnioną wolność.

Dnia 8 marca 1640 r. przyjął go Ludwik XIII na dworze królewskim w St. Germain.

Jan Kazimierz powitał króla francuskiego zapewnieniem, że wyrządzonej mu krzywdy nie pamięta, że daleki jest od nienawiści i podejrzeń, że wierzy, iż tylko żli doradcy mogli skłonić tak wspaniałomyślnego monarchę do okrucieństwa, jakiego padł ofiarą. Ludwik XIII chciał się tłumaczyć, ale wzruszenie i łzy nie pozwoliły mu dokończyć odpowiedzi. Obdarował swego gościa wspaniałym, zdjętym z palca pierścieniem brylantowym, a później wszelkiego rodzaju uprzejmościami starał się wynagrodzić królewiczowi jego długą niedolę.

W miesiąc po odzyskaniu wolności wyjechał Jan Kazimierz do Polski i latem 1640 r. stanął w Warszawie. Niedługo tutaj popasał. Nie mogąc usiedzieć na miejscu, wyruszył wkrótce w nową podróż, a wreszcie w roku 1643, bawiąc w Rzymie, wstąpił ku wielkiemu zmartwieniu króla do zakonu jezuitów.

Sprawa uwięzienia Jana Kazimierza stała się głośnym w Europie skandalem, odebrała Władysławowi powagę zagranicą, skompromitowała go w oczach dyplomacji europejskiej, a zarazem poderwała autorytet Rzeczypospolitej.

Mogli sobie posłowie szlacheccy rezonować, że Jan Kazimierz, skoro przyjął służbę u obcego monarchy, nie ich nie obchodzi: w oczach świata był on Polakiem i bratem króla polskiego, a upokorzenie, jakiego doznał Władysław, spadało na całe państwo.

VI

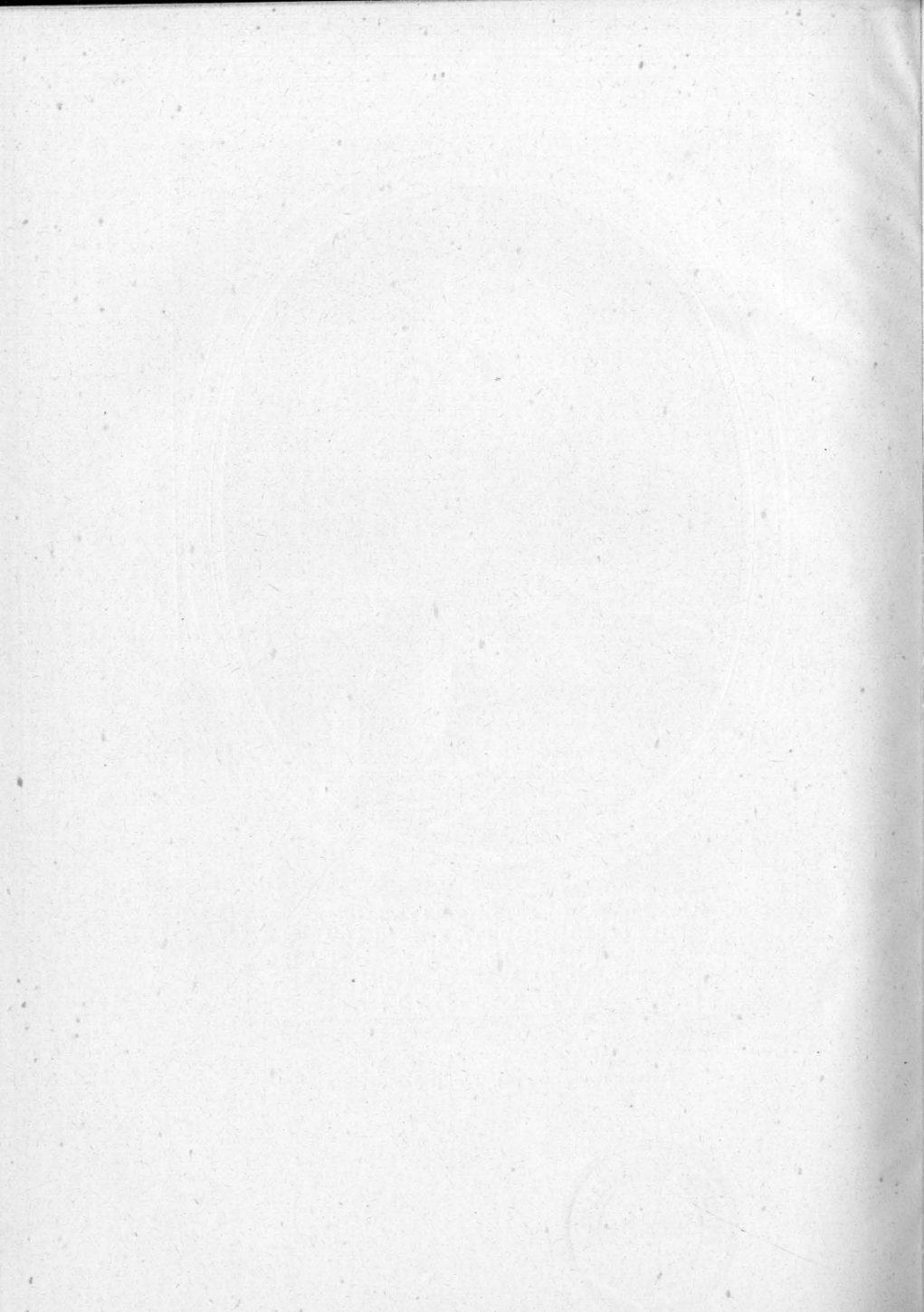
STOSUNKI DWORSKIE. NOWE MAŁŻEŃSTWO KRÓLA. STARANIA O POKÓJ RELIGIJNY

Pomimo ciągłych zawodów i przykrości, Władysław nie mógł pogodzić się ze skromną rolą, jaką odgrywał w Europie. Ambitny, tęskniący do wielkich czynów i sławy, nie przestawał myśleć o odzyskaniu Szwecji, ani też marzyć o wyparciu Turków z Europy. Nie zrażając się niczem, nie wątpił, że jego wytrwałość zwycięży wkońcu niechęć rozmiłowanej w pokoju szlachty i zjedna ją dla jego wielkich zamiarów. Wiedział, że nie przyjdzie to łatwo, ale wierzył, że prędzej czy później pomogą mu sprzyjające okoliczności, a ufał w swój rozum i zwycięstwo nieugiętej woli. Były to przecież marzenia, którym przeczyła rzeczywistość. Ograniczony w swych prawach, podejrzewany przez nieufny ogół szlachecki o dążenie do władzy absolutnej, pozbawiony oparcia w senacie, a znieważany bezkarnie w oczach Europy, nie miał za sobą siły, którą mógłby rzucić na szale wypadków. Położenie króla było tem trudniejsze, że nawet najbliżsi mu dygnitarze toczyli z sobą walkę i nieraz ciężkie sprawiali mu kłopoty.



Adam Kazanowski, według Hondiusa.





W latach młodości najbliższym przyjacielem Władysława był Stanisław Kazanowski. Zczasem przecież stracił łaski, a miejsce jego zajął brat Adam. Był to człowiek układny, lekki, wesoły. Zazdrosny o względy na dworze, chciwy pieniędzy i zaszczytów, zawsze pamiętał o sobie i przede wszystkim własne korzyści miał na widoku. Bez skrupułów i bez idei, któraby mu przyświecała, był w sprawach publicznych najczęściej echem swego protektora. Stanowisko swoje zawdzięczał temu, że, pობлаżając we wszystkim królewiczowi, umiał stać się mu pożytecznym i zyskać jego zaufanie. Jeszcze za życia Zygmunta III powszechnie sarkano na tę przyjaźń i na łapczywość Kazanowskiego. Mówiono, że wszystko, co posiadał królewicz, stawało się ich obu własnością. I było w tem wiele słuszności, gdyż Władysław miał rękę nad wszelki wyraz szczodra, a nie lubił odmawiać, gdy go o co proszono. Bez miary nadużywał tej hojności Adam Kazanowski. Zczasem doszło do tego, że najbogatsze sprzęty, znajdujące się w pomieszczeniu królewicza, przepyszne obrazy, posągi, nieoszacowanej wartości klejnoty, a nawet upominki, któremi Zygmunt III obdarzał najstarszego syna, przechodziły w ręce chciwego ulubieńca.

Król Zygmunt, chcąc położyć kres temu nadużyciu, rozkazał pewnego razu opieczętować dom Kazanowskich w Warszawie. Sprawa narobiła w swoim czasie wiele hałasu i tylko dzięki protekcji Władysława, który energicznie ujął się za swoim faworytem, nie skończyła się dla Kazanowskiego największym skandalem.

W rok później, kiedy Władysław zasiadł na tronie, Kazanowski, najpoufalszy powiernik nowego króla, zaczął odgrywać coraz większą rolę. Nie dobijając się

najwyższych godności, poprzestał na urzędzie podkomorzego koronnego i kasztelanji sandomierskiej. Ale z racji swych wpływów przy dworze wyrósł na potęgę, która decydowała o rozdawnictwie wakansów i najin-
tratniejszych starostw. Ciągąc ze wszystkiego korzy-
ści, doszedł do takich bogactw, że wystawnością życia i blaskiem zewnętrznym nikt mierzyć się z nim nie mógł. Nikt też wspanialej nie mieszkał, nikt nie mógł się zdobyć na taką, jak on okazałość. Jego pałac w War-
szawie słynął z przepychu i nieoszacowanych skarbów. Nie dziwnego, że najmożniejsi panowie zabiegali o jego przyjaźń i protekcję, aczkolwiek faworyt królewski nie cieszył się dobrą sławą. Nie próbowano przecież nawet z nim walczyć, gdyż wiadano, że nikt tak jak on nie potrafi dogodzić królowi w zachciankach i upodoba-
niach życia prywatnego.

Dopiero gdy Władysław wstąpił w związki małżeń-
skie, stanowisko Kazanowskiego przy dworze zachwiało się nieco. Królowa Cecylja Renata, widząc w nim zle-
go ducha swego małżonka, nie taila swej dla ulubień-
ca królewskiego wzdardy. A do królowej przyłączył się Jerzy Ossoliński, którego rozum, zasługi i talenty wielce król cenił, a który dla swej stateczności i przez królową darzony był największym szacunkiem.

Na tem tle pomiędzy Ossolińskim a Kazanowskim doszło do rywalizacji.

Ossoliński zaczął brać coraz żywszy udział w we-
wnętrznem życiu dworu, a Kazanowski, jakby dla prze-
ciwwagi, zainteresował się naraz życiem publicznem i sprawami państwowemi, w których dotąd nie odgry-
wał jawnie wybitniejszej roli. Gdy po śmierci kancle-
rza Zamoyskiego upatrzonym na jego miejsce kandy-

datem został, według zwyczaju, podkanclerzy Gębicki, obaj rywale rozpoczęli walkę o mniejszą pieczęć. Dzięki swym zasługom i silnemu poparciu królowej, zwyciężył Ossoliński.

Zbladła gwiazda Kazanowskiego.

Nowy podkanclerzy był człowiekiem upartym, ambitnym, miał charakter twardy, znał swą wartość i wiedział, że król go potrzebuje. W ten sposób obok Kazanowskiego, jedynego, dotychczas szafarza łask królewskich, wyrastał nowy potentat, z którym walka była trudna i niebezpieczna.

Lecz Ossoliński miał drugiego nieprzyjaciela w kanclerzu Gębickim. Ten ostatni, statysta wytrawny, energiczny i zręczny, acz nie dorównujący talentami i połotem Ossolińskiemu, chciał nim kierować, jako swym młodszym kolegą. Tymczasem Ossoliński zagarnął w swe ręce większość spraw, wymagających pieczęci, i, działając samodzielnie, ani myślał podporządkować się kanclerzowi. A że kompetencje jednego i drugiego nie były prawem ściśle określone, więc między obu pieczętarzami ostra zaczęła się walka. Kazanowski połączył się z Gębickim i pomagał mu podkopywać Ossolińskiego. Taki stan rzeczy doprowadził zczasem do tego, że w otoczeniu króla utworzyły się dwa obozy, z których jednemu przywodził Gębicki z Kazanowskim, a na czele drugiego stanął popierany przez królową Ossoliński.

Kazanowski, chcąc podważyć wzrastające wpływy swego rywala, umyślił poróżnić parę królewską, w nadziei, że zniechęciwszy króla do małżonki, odzyska dawną przewagę i nie będzie potrzebował dzielić się względami królewskimi z nienawistnym mu podkanclerzym.

Sposobność wkrótce się nadarzyła.

W roku 1639-ym zmarł wojewoda łęczycki Przyrebski, marszałek dworu królowej. Godność po Przyrebskim Władysław zamierzał oddać Denhofowi, wojewodzie sieradzkemu, stronnikowi kanclerza i Kazanowskiego. Królowa, nie mając zaufania do Denhofa, obiecała ten sam urząd kanclerzowi wielkiemu litewskiemu Albrychtowi Radziwiłłowi.

Na tych rozdzźwiękach osnuł Kazanowski swoją intrygę.

Gdy Władysław wyjechał w owym czasie na Litwę, do ulubionego przezeń Merecza, siedziby chorażyny nurskiej, Wypyskiej, zdawna cieszącej się względami króla, Kazanowski skorzystał z rozłąki małżonków, by plan swój wykonać. Rozmawiając poufnie z królem, pół serjo, pół żartem powiedział, że Denhof nie zostanie marszałkiem królowej, czego jest tak pewien, że gotów się o to założyć. Rozdrażniony tą pewnością, Władysław wysłał natychmiast list do Denhofa, z żądaniem, by objął urząd na dworze królowej.

Cel został osiągnięty: pomiędzy królem a królową istotnie doszło do przykrych nieporozumień.

Kazanowski zacierał ręce, ale radość jego nie trwała długo. Po kilku tygodniach gniewów i dąsów wzajemnych para królewska porozumiała się z sobą: Cecylja Renata uległa woli małżonka i pogodziła się z narzucenym jej marszałkiem. Lecz następstwa tej intrygi były opłakane, gdyż powiększyły tylko nienawiść między przywódcami dwu zwalczających się obozów. Zarówno kanclerz, jak podkanclerzy, obaj w równym stopniu zawzięci, przenieśli toczoną z sobą walkę na arenę publiczną, a niezgodą swoją wywołali burzę na

sejmie 1639 r. i przyczynili się do tego, że sejm ten został zerwany.

Wobec intryg i zawiści w najbliższym swem otoczeniu Władysław okazał się bezsilnym. Cenił Ossolińskiego, musiał się liczyć z Gębickim, a z Kazanowskim, ulubieńcem swoim, rozstać się nie chciał. Nie mogąc ich pogodzić, sam padał najczęściej ofiarą ich nieustannej walki. Rywale czuwali nad każdym jego krokiem, pretendowali jednocześnie do jednych i tych samych beneficjów bądź dla siebie samych, bądź dla swych protegowanych, a gdy król spełniał prośbę jednej strony, natychmiast druga czuła się pokrzywdzoną. Ostatecznie więc zaczął stosować taką taktykę, by jednocześnie obu stronom okazywać swe względy, albo też obie pomijać na rzecz kogoś trzeciego.

Śród kłopotów, wywołanych rywalizacją najwyższych dygnitarzy, śród niepowodzeń, przykrości i upokorzeń, wreszcie śród cierpień, spowodowanych ciągłymi chorobami, zaszedł wypadek, który ożywił cały dwór królewski, a króla nappełnił wręcz nieopisaną radością. Dnia 1 kwietnia 1640 roku urodził się królestwu syn. Władysław leżał w najokropniejszych bólach, spowodowanych trapiącym go kamieniem, gdy przyniesiono mu pożądaną nowinę. Na tę wieść zapomniał o cierpieniu, natychmiast rozkazał przynieść do siebie nowonarodzonego, wziął go na ręce i wołał w radosnem uniesieniu:

— „Witaj mi, gościu nowy, gościu pożądanym!”

Od tej pory uszczęśliwiony Władysław, jakby sam wraz z upragnionym synem nowe rozpoczął życie, większą w działaniu powodował się ostrożnością i gruntowniej a głębiej wnikać zaczął w sprawy, które zaj-

mowały jego twórczy umysł. Pragnął zarazem uporządkować swe interesy, gdyż te skutkiem hojnej jego ręki w najopłakańszym znajdowały się stanie. Gdy magnaci ówcześni, dzięki trwającemu od dłuższego czasu pokojowi, dochodzili do ogromnych bogactw, Władysław brnął po uszy w długi i znajdował się w najokropniejszych kłopotach pieniężnych. Sprawa zapłacenia długów królewskich poruszona była już na sejmie 1639 roku, ale z wielkim wstydem i upokorzeniem Władysława długo jeszcze ciągnąć się miała. W końcu przecież załatwiona została pomyślnie. W r. 1643-im sejmujące stany niepraktykowanym dotychczas zwyczajem uchwały na potrzeby prywatne króla i to jedynie z miłości dla jego osoby 4.500.000 talarów, sumę tak olbrzymią, że Władysław nie tylko wybrnął z dokuczliwych długów, ale mógł jeszcze za milion florenów nabyć od cesarza w zastaw na lat 50 księstwa opolskie i raciborskie.

Uchwała ta była głównie zasługą Ossolińskiego. Wywdzięczył mu się Władysław, wynosząc go na godność kanclerską, którą złożył właśnie Gębicki wzamian za biskupstwo krakowskie.

Usunięcie się od wielkiej pieczęci Gębickiego miało ten dobry skutek, że w najbliższym otoczeniu króla ustała szkodliwa dla spraw publicznych rywalizacja. Wprawdzie Adam Kazanowski, od roku 1642 marszałek nadworny koronny, nie przestał krzywem okiem spoglądać na Ossolińskiego, ale że ich działalność ściśle była rozgraniczona, gdyż jeden pochłonięty był sprawami dworu królewskiego, drugi pogrążony w sprawach publicznych, więc coraz rzadziej dochodziło do owych starć i rozdźwięków, zakłócających

życie króla i dworu, gdy pieczęć wielką piastował Gębicki.

Pomyślniejszy zwrot w stosunkach dworskich zakłóciła śmierć królowej, która po krótkiej chorobie zgasła niespodzianie w dniu 24 marca 1644 roku.

Nie zdążył jeszcze król oswoić się z tym ciosem, gdy z różnych stron zbiegli się do Warszawy agenci dworów europejskich, by do nowego małżeństwa nakłonić pięćdziesięcioletniego wdowca.

Dwa rywalizujące ze sobą dwory: cesarski i francuski szczególniejsze czyniły wysiłki, by Władysława przeciągnąć na swą stronę. Cesarz przysłał królowi do wyboru portrety szesnastu arcyksiężniczek, a jedną z pięciu księżniczek krwi proponowała Francja.

Ferdynand, jak zwykle, obawiał się, by Władysław przez nowe związki małżeńskie nie zbliżył się do jego wrogów, dwór francuski stale dążył do zerwania sojuszu między Rzeczpospolitą a Austrią, w owym czasie zaś powodował się jeszcze obawą, by król polski nie wspomógł Danji, walczącej ze Szwecją. W październiku 1644 roku przybył właśnie poseł duński do Warszawy, by skorego do wojny Władysława prosić o pomoc przeciw Szwedom. Za Duńczykiem przyjechał poseł hiszpański i cesarski, ks. Ditrichstein oraz poseł francuski, wicehrabia de Bregy.

Władysław, jak przed pierwszym małżeństwem, tak i tym razem rozpatrywał wszystkie propozycje pod kątem widzenia tego, która z nich może go zbliżyć do upragnionego celu i zapewnić tron szwedzki. W tym czasie właśnie rządy w Szwecji rozpoczęła młodziutka królowa Krystyna i król zastanawiał się nad tem, czy by nie podjąć starań o jej rękę. W sprawie tej radził

się poufnie najbliższych senatorów. Kazanowski był za nowym związkiem z domem cesarskim, lecz Ossoliński, pozyskany przez Francję cennymi darami, utrzymywał, że nie należy odrzucać przymierza z potężnym państwem, zaprzyjaźnionem ze Szwecją, której na wszystkich polach bitew stale dopisuje szczęście wojenne.

Jak dawniej, tak i teraz dwie drogi stały do wyboru przed królem i dwie odsłaniały się perspektywy. Zbliżenie się do Francji pozwalało mu żywić nadzieję, że cel swój osiągnie zapomocą układów pokojowych, powtórne związki z cesarzem¹ prowadziły do tego samego celu przez wojnę. Władysław z gorzkiego doświadczenia wiedział, że cały naród wojnie jest przeciwny i że cesarz nie należy do pewnych sojuszników. Więc nie przestając myśleć o zdobyciu ręki Krystyny, zaczął przechylać się ku przymierzcu z Francją, co zapowiadało gruntowną zmianę systemu w polityce polskiej.

W myśl tego posel francuski na propozycje swoje w sprawie małżeństwa nie otrzymał ostatecznej odpowiedzi. Ale za jego pośrednictwem prosił Władysław królową-regentkę, by wybadala Szwedów, czy nie zechcą mu oddać ręki Krystyny. Oświadczał zarazem, że dopiero wtedy, gdyby się okazało, że to małżeństwo do skutku dojść nie może, mógłby rozpocząć starania o rękę jednej z proponowanych mu księżniczek francuskich. W każdym razie prosił królową, by pamiętała o jego pretensjach do korony szwedzkiej, a zaznaczał, że zawrze tylko takie małżeństwo, które wielką korzyść przyniesie zarówno jemu, jak Rzeczypospolitej.

Dyplomacja francuska z zadowoleniem powitała ten zwrot w polityce Władysława. Pośrednictwa podjęła się

chętnie, wiedząc zresztą dobrze, że Szwedzi związkowi króla polskiego z Krystyną sprzyjać nie będą i że Władysławowi nie pozostanie potem nic innego, jak małżeństwo z Francuzką. Przewidywanie było trafne. Negocjacje ze Szwecją, prowadzone z jednej strony przez Władysława, z drugiej przez dwór francuski, nie dały pomyślnego wyniku. Szwedzi stanowczo oparli się wszystkim propozycjom — i projekt małżeństwa z Krystyną musiał być zaniechany.

Wtedy król skłonił się do związku z Francuzką.

Układy między Władysławem a dworem francuskim w sprawie tego małżeństwa prowadzone były w największym sekrecie. Francja obiecywała wpływami swemi w Szwecji uregulować sprawę następstwa tronu po Krystynie na rzecz Władysława lub jego potomka, ze swej strony Władysław zobowiązał się do niezaczepiania Szwedów i przestrzegania paktów sztumdorfskich.

Gdy układy zostały zakończone i zamiary króla przestały być tajemnicą, na dworze francuskim wielkie zapanowało ożywienie. Wszystkie księżniczki krwi rade były zasiąść na tronie polskim i poślubić wdowca, mimo że ten kończył lat 50, był schorowany, nadmiernie otyły i stracił doszczętnie wszystkie powaby młodości. Ale od korony polskiej bił jeszcze blask na całą Europę, a o wspaniałem uposażeniu królowej polskiej krążyły po wszystkich dworach przesadzone wieści.

Władysław, nie chcąc brać udziału w intrygach i zabiegach zainteresowanych członków domu francuskiego, pozostawił wybór swej oblubienicy królowej-regentce, a ta wybrała Ludwikę Marję z domu Gonzagów, księżniczkę Mantui, Montferrat i Nevers.

Panna ta liczyła lat 34. Miała romantyczną, awanturniczą przeszłość, była ambitna, dumna, przebiegła, cheiwa władzy i blasku korony. Ludwika Marja, znakomicie wykształcona w intrygach dworskich, sama poruszyła wszystkie sprężyny, by zostać królową. Jakoż, nie przebierając w środkach, zwyciężyła swoje rywalki. Do zwycięstwa jej przyczynił się Mazarini, a przyczynił się w ten sposób, że przekupił agenta polskiego w Paryżu, Włocha Roncalli'ego. Nieuczciwy pośrednik króla wysyłał do Warszawy listy, w których wychwalał pod niebiosy urodę, wdzięki, rozum, charakter i bogactwa Ludwika. W tych pochwałach nie było słowa prawdy, gdyż wdzięki starzejącej się księżniczki już przekwitły, majątek nie był tak znaczny, a charakter i moralność panny wiele pozostawiała do życzenia. Ale to, co pisał Roncalli, poświadczał w Warszawie poseł francuski, wicehrabia de Bregy. Okłamywany król po niewczasie miał się dowiedzieć o prawdzie.

Intrygi francuskie starał się sparaliżować Adam Kazanowski, stale namawiający Władysława, by nie odrzucał propozycji domu cesarskiego.

Mazarini, wiedząc o wielkich wpływach Kazanowskiego, polecił de Bregy'emu zjednać powiernika króla prezentami, pieniędzmi i dożywotnią pensją. De Bregy, spełniając to polecenie, wypłacił Kazanowskiemu 4.000 talarów, ale wstrzymał się z wypłacaniem pensji, bo jak pisał, wie dobrze „co to za ptaszek”. I nie mylił się: „ptaszek” pieniądze przyjął, lecz królowi nie przedstawiał odradzać małżeństwa z Francuzką.

Namowy Kazanowskiego nie mogły przecież dać wyniku, gdyż na decyzję króla wpływały wyłącznie względy natury politycznej.

Latem 1645 roku Władysław wysłał do Francji wojewodę pomorskiego, Gerarda Denhofa, w charakterze posła nadzwyczajnego, mającego ostatecznie skojarzyć projektowane małżeństwo. Denhof spełnił zadanie i 26 września podpisał w Fontainebleau umowę przedślubną. Gdy Denhof powrócił do Warszawy, król wyprawił do dworu francuskiego uroczyste poselstwo z biskupem warmińskim Wacławem Leszczyńskim i wojewodą poznańskim Krzysztofem Opalińskim na czele.

W końcu listopada Ludwika Marja wyjechała do Polski. Przyjazd jej teraz dopiero wyprzedziły wieści, uwłaczające jej dobrej sławie. Wieści te doszły do uszu króla, przeraziły go i jak najgorzej usposobiły dla nowej małżonki. Więc nie śpieszył się z jej przyjęciem. Oblubienica królewska, przyjechawszy w początkach lutego do Gdańska, cały miesiąc, wśród trzaskających mrozów, musiała odbywać swą powolną podróż do Warszawy.

Dopiero 10 marca (1646 r.) Ludwika Marja wjechała uroczyście do stolicy.

Król gniewny i cierpiący czekał na małżonkę w katedrze świętojańskiej. Gdy panna młoda, otoczona orszakiem, zbliżyła się do niego, przeszył ją wzrokiem badawczym, zimnym, nieufnym, poczem, nie powstając z krzesła, rzekł zasepiony do stojącego opodal posła francuskiego:

— „To więc jest ta piękność, o której tyle powiadaliście mi cudów!”

Zmieszana takim powitaniem Ludwika rzuciła się przed królem na kolana i rękę jego ucałowała z pokorą.

I teraz Władysław nie drgnął i nie wyrzekł słowa. Chmurny, jak noc, skinął tylko na kanclerza, mającego

powitać królową, by zaczynał orację. Więc Ossoliński zabrał głos i w górnych a serdecznych słowach, będących rażącym kontrastem z zachowaniem się Władysława, powitał „kwitnącą lilję Francji”. Kończąc swoje życzenia, powiedział:

— „Pan nasz, od którego żaden poddany zasmucony nie odchodzi, niczego ci nie odmówi”...

Słowa te były jakby nauczka dla króla, że inaczej powinien traktować swoją małżonkę, a zapewne promień nadziei zbudziły w sercu przerażonej Ludwiki.

Po Ossolińskim zabrał głos imieniem kapituły biskup poznański Jędrzej Szołdrski, obu mówcom odpowiedział towarzyszący Ludwice biskup francuski, poczem nuncjusz papieski arcybiskup Jan de Torres dopełnił ślubnego obrządku. Zaraz po tej ceremonji Władysław rozkazał odnieść się na pokoje królewskie, a w ślad za nim w otoczeniu dam dworu udała się na zamek królowa.

Nazajutrz dopiero odbyła się uczta weselna, z udziałem najprzedniejszych dostojników państwa i posłów zagranicznych. Przez kilka dni potem rozbrzmiewała Warszawa odgłosami hucznych kapeli, dźwiękami dzwonów, hukiem armat, bawiła się i szalała wśród maskarad, tańców i wspaniałych festynów, któremi przed nową królową popisywali się możni panowie. Tylko nowożeńcy nie dzielili powszechnej radości. Król nie taił swej niechęci ku małżonce, a królowa, przerażona doznaniem przyjęciem, zaczęła już myśleć o wyjeździe z Polski.

Lecz czas złagodził postępowanie króla, a Ludwika Marja, posiadając silny charakter, umiała opanować swe nieprzyjemne wrażenia, wynagradzane zresztą bla-

skiem noszonej korony. Nie mogąc być małżonkowi miłą, umiała przynajmniej stać się mu użyteczną. Ja-koż dzięki posagowi, który wynosił 700.000 talarów, potrafiła zjednać sobie przychylność Władysława, ofiarowując mu znaczną pożyczkę na potrzeby wojny, do której się przygotowywał. Ale chciwa władzy i znaczenia, a zaprawiona we Francji do wszelkiego rodzaju intryg i matactw, zapragnęła po pewnym czasie odgrywać w Polsce wielką rolę polityczną. Dopieła swego, ale dopiero po zgonie pierwszego małżonka. Władysław nie pozwolił mieszać się jej zbyt do spraw publicznych, a raz nawet z gniewem odesłał ją do kuchni i garnków.

To nowe małżeństwo nie przyniosło królowi spodziewanych korzyści politycznych: nie podniosło jego powagi w świecie i nie zbliżyło go o krok do tronu szwedzkiego, chociaż do śmierci o utraconem przez ojca dziedzictwie myśleć nie przestawał.

Nie tylko cała Rzeczpospolita, ale stan rzeczy w Szwecji i stosunki międzynarodowe w Europie stałe tworzyły nieprzebytą tamę dla jednego z najniezłomniejszych dążeń Władysława.

* * *

Snując nieustannie wielkie plany w polityce zewnętrznej, król Władysław IV nie przestawał dążyć do utrwalenia wewnętrznego w państwie pokoju i załagodzenia waśni, które zakłócały nieustannie życie polskie za Zygmunta III. Jedną z przyczyn niezgody oddawna już były namiętności religijne. Wprawdzie walka religijna w Polsce, w porównaniu z tem, co działo się na zachodzie Europy, miała przebieg bardzo łagodny,

tem niemniej pochłaniała wiele energii społeczeństwa i ogromnie osłabiała wewnętrzną spójność Rzeczypospolitej. Władysław jeszcze przed wstąpieniem na tron skutecznie, jak wiadomo, przyłożył rękę do uśmierzenia sporów między zwalczającymi się obozami. Później, już jako król, używał całej swej powagi, aby zapobiec toczącej się walce. Ale namiętności wrzały, a uregulowanie wielu palących kwestyj ciągle pozostawało w zawieszeniu.

Papież Urban VIII, mając na względzie wojnę z Moskwą i trudne położenie króla, czasowo tylko godził się na poczynione schizmatykom ustępstwa. Polegał nadto na słowach Ossolińskiego, który solennie obiecywał nawrócenie na katolicyzm dysydentów i nową unję ze schizmatykami. Tymczasem upływały lata, a w Polsce nic się nie zmieniało. Więc Rzym zaczął się dopominać o spełnienie złożonych uroczyscie przyrzeczeń.

Władysław IV zwlekał ze stanowczą odpowiedzią, ale dzięki uległości i ustępstwom w drobniejszych sprawach podtrzymywał dobre ze stolicą apostolską stosunki. W znacznej mierze przyczyniał się do tego nuncjusz papieski Visconti, sprzyjający królowi i nawzajem najlepiej przez króla widziany. Stosunki te pogorszyły się, gdy Władysław zaślubił arcyksiężniczkę Cecylję Renatę. Papież Urban VIII był najgorzej usposobiony dla dworu cesarskiego i nie życzył sobie tego małżeństwa. Viscontiego zastąpił wkrótce nowy nuncjusz Marjusz Filonardi, człowiek surowy, nietaktowny, wymagający. Żądał on bezwarunkowego dotrzymania wszystkich przyrzeczeń w sposób gwałtowny i szorstki. Stosunki między królem a nowym przedstawicielem papie-

za stale były naprężone, wkońcu zaś doszło między nimi do poważnego konfliktu.

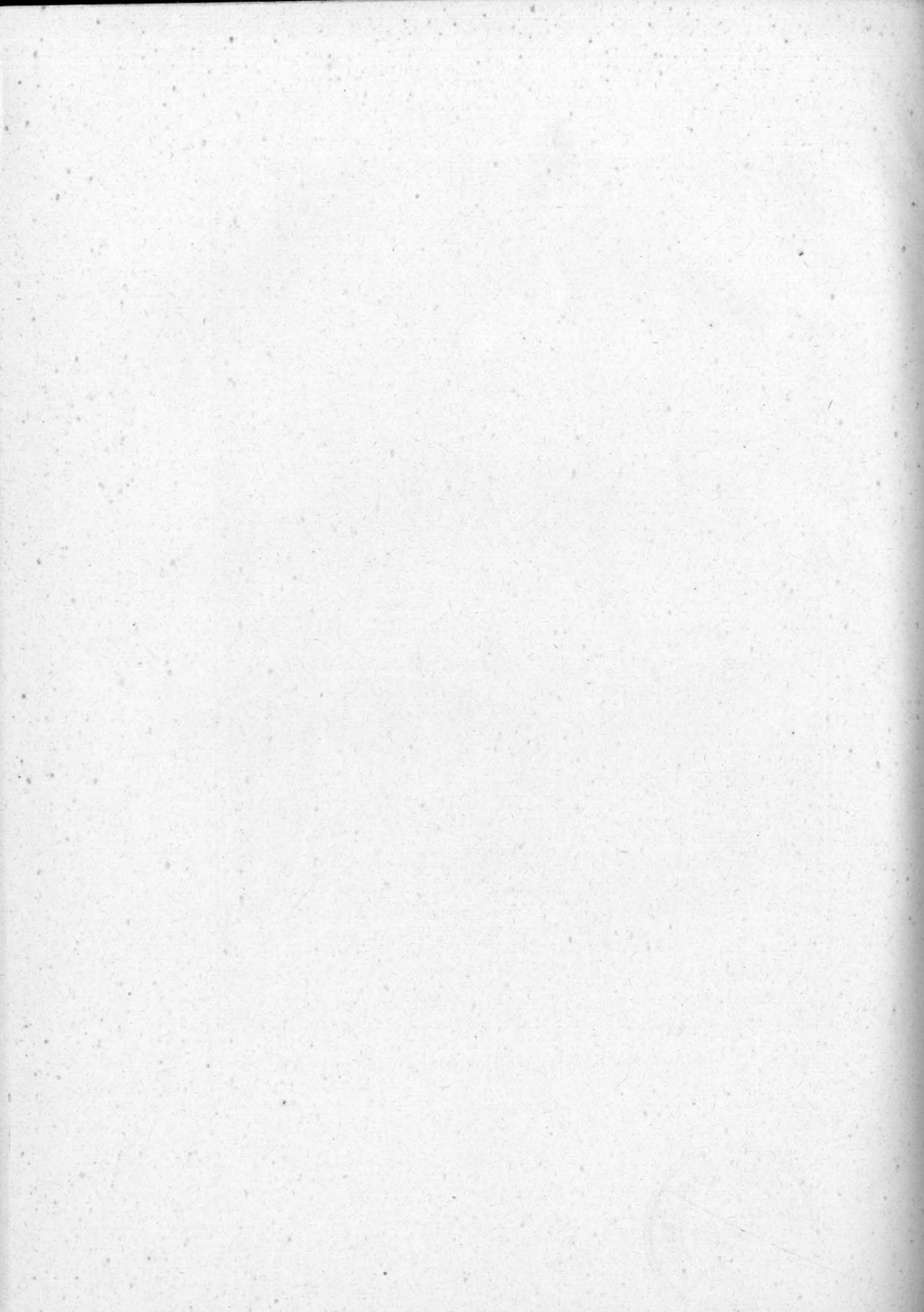
Król, obiecując pomyślne załatwienie spraw religijnych w Polsce, zamierzał zwołać synod unitów, by na nim ułożyć warunki nowej unji, dla załatwienia zaś sprawy różnowierców pragnął urządzić wielki zjazd, na którymby ich przedstawiciele wspólnie z reprezentantami katolików ustalili zgodę religijną w Polsce.

Projekty króla spotkały się ze sprzeciwem Rzymu.

Papież wypowiadał się przeciwko zwoływaniu wszelkich synodów i zjazdów, natomiast żądał stanowczo wznowienia unji brzeskiej i odebrania przywilejów różnowiercom.

Spełnienie tych wymagań musiałyby doprowadzić do zawichrzenia w kraju. Rozumieli to, nie wyłączając biskupów, najżarliwsi katolicy w Polsce i wspólnie z królem szukali sposobów, by znaleźć pokojowe rozstrzygnięcie sprawy.

Tymczasem nuncjusz Filonardi, otrzymawszy instrukcje z Rzymu, wystąpił z całą swą energią przeciw tolerancyjnej polityce króla. Dnia 26 lutego 1642 r. złożył on protest przeciw przywilejom, z których korzystali różnowiercy i wezwał katolików do współdziałania. Znalazło się zaledwie pięciu biskupów i dwóch senatorów świeckich, którzy podpisali złożoną w nuncjaturze protestację, lecz olbrzymia większość senatorów-katolików nie godziła się na nią. Sprzeciwiał się jej przedewszystkiem kanclerz Ossoliński, przywódca stronnictwa katolickiego i sam żarliwy katolik, gotowy skwapliwie spełniać wszelkie życzenia stolicy apostolskiej, ale stojący na stanowisku, że sprawy wewnętrzne Rzeczypospolitej bez wpływów z zewnątrz powinny być regulowane.



ków, że zresztą nie posiada żadnego w kraju znaczenia, bo w najdrobniejszej sprawie decyduje senat i pijana szlachta.

Mając w ręku dowody, jak postępuje nuncjusz, oburzony Władysław, po zasięgnięciu opinii rady senatu, wysłał do Filonardiego kilku senatorów z oświadczeniem, że tak król polski, jak Rzeczpospolita nie uznają go za nuncjusza i żądają, by opuścił Polskę. Na to odpowiedział Filonardi, że przysłany został przez papieża i bez jego rozkazu nie może wyjeżdżać z Warszawy. Wtedy wszyscy senatorowie wystosowali do papieża pismo z prośbą, by odwołał Filonardiego i zastąpił go innym nuncjuszem.

Upokorzony Filonardi wszczął nową z królem zwadę.

W owym czasie czynił Władysław przygotowania do wzniesienia przed zamkiem pomnika dla ojca. Chcąc, by pomnik stanął na obszernym placu, zakupił przylegające do zamku domy, należące do klasztoru bernardynek i domy te rozkazał zburzyć. Filonardi, dowiedziawszy się o tem, pod groźbą interdyktu zabronił spełnienia rozkazów królewskich. Oburzył się Władysław, uniósł się gniewem, nakazał znieść domy z największym pośpiechem, a nuncjusza aresztował w jego własnym gmachu. Silna straż wewnątrz i z zewnątrz pałacu odcięła Filonardiego od świata. Wtedy dopiero spostrzegł się uwięziony nuncjusz, że przebrał miarę. Chciał przeproszać króla, ale Władysław odmówił mu audjencji. Więc z wielkim wstydem w sierpniu 1643 r. opuścił Warszawę.

Urban VIII nuncjusza nowego nie przysłał — i stosunki z Rzymem zostały na czas pewien przerwane.

W takich to warunkach przystąpił Władysław do dzieła utrwalenia pokoju religijnego w Polsce. Sam będąc prawowiernym katolikiem, chciał ugruntować katolicyzm w Polsce. Tem się tłumaczy, że nie tylko stronnictwo katolickie z kancelrzem na czele, ale i biskupi sprzyjali zamiarom króla i wypowiadali się przeciw żądaniom Filonardiego, rozumiejąc, że w następstwach swoich żądania te musiałyby doprowadzić do wojny domowej. Ale kwestja religji zawsze była dla króla kwestją sumienia. Dobrze obznajmiony ze współczesną literaturą, poświęconą sporom religijnym, świadomy różnic, które dzieliły walczące z sobą obozy, wierzył, jak wielu oświeconych ludzi owego czasu, że nie ucisk i przemoc, lecz dobra wola i tolerancja wzajemna może zapobiec walkom, ustalić zgodę i doprowadzić z czasem całe chrześcijaństwo do jedności kościelnej.

Unję brzeską istotnie chciał zastąpić unją nową, silniejszą i trwalszą przez utworzenie w Polsce patryarchatu w osobie schizmatycznego metropolity. Uważał, że jest to najskuteczniejszy sposób, by schizmatyków polskich oderwać od patryarchy carogrodzkiego, który, zależąc od sultana, nieraz zmuszony był działać w interesie mahometańskiej Turcji. A zerwanie wszelkich związków ze Wschodem prowadziło zczasem do zbliżenia się ku kościołowi katolickiemu. Na tych warunkach sami schizmatycy oświadczaali chęć przystąpienia do unji. Otóż pierwszym krokiem, prowadzącym do celu, był w oczach króla synod unitów, mający ułożyć podstawy nowej unji i pociągnąć ku niej wyznawców schizmy.

Ale Urban VIII przeciwny był zwoływaniu synodu.

Nie mogąc w tej sprawie z powodu coraz bardziej naprzężonych stosunków porozumieć się z Rzymem, król, nie wyrzekając się swej myśli, postanowił rozpocząć dzieło utrwalenia zgody religijnej od porozumienia się katolików z różnowiercami. Stosownie do planu króla synod biskupów polskich, zgromadzony w Warszawie w październiku 1643 r., wydał odezwę do wszystkich różnowierców z zaproszeniem ich na przyjacielską rozmowę do Torunia na dzień 10 września 1644 r.

Odezwa ta zaniepokoiła Rzym. Na wieść o niej papież wysłał uprzejme listy do króla, kanclerza i prymasa, prosząc ich o odwołanie projektowanego zjazdu, a gdyby to okazało się już niemożliwem, to przynajmniej o odroczenie dysputy do czasu wypowiedzenia się w tej sprawie kongregacji kardynałów.

Lecz sprawa zjazdu posunięta była już za daleko: ani król, ani prymas, ani biskupi nie uznali za możliwe zastosować się do nadesłanych z Rzymu propozycji. Więc w zapowiedzianym terminie zjechał do Torunia biskup żmudzki Tyszkiewicz na czele teologów katolickich. Ale delegaci różnowierców, zamiast do Torunia przyjechać do Warszawy, by rozmówić się z królem i postawić warunki, od których przyjęcia uzależniali swój udział w zjeździe.

Władysław z wielką przychylnością powitał delegatów, zgodził się w myśl ich żądań na odroczenie zjazdu i przyjął do wiadomości ich życzenie, by on sam był obecny na zjeździe i sporne kwestje, jakie się wyłonią, rozstrzygał swoją powagą.

Odpowiadając na te życzenia, przypomniał spory religijne, toczące się z wielkiem utrapieniem wszystkich stron powaśnionych i z widomą krzywdą Rzeczypospo-

litej. Podkreślił przytem własne swe starania, by rozwiązać sprawiedliwie ciężkie zagadnienia, które stworzyła w Polsce niezgoda religijna.

— „Przeto,—mówił,—i teraz co się dzieje, przysięgam waszmościom na sumienie i wiarę moją, nie w innej myśli się dzieje, jeno że zawsze mamy na pamięci przysięgę, którą tak katolikom, jak dysydentom obowiązani jesteśmy”.

Zjazd odroczony został do sierpnia 1645 r.

Tymczasem zaszły okoliczności, które ku innemu zagadnieniu skierowały wszystkie myśli króla i osłabiły żarliwość, z jaką zabrał się do utrwalenia zgody religijnej w Polsce.

Urban VIII umarł we wrześniu 1644 roku. Jego następcą Inocenty X, życzliwie usposobiony dla Polski i króla Władysława, mógł okazać potężne poparcie wielkim planom wojennym, które król oddawna układał, a którym obecnie zdawały się sprzyjać okoliczności. Był to plan wojny z Turcją. Na tle olbrzymich zamiarów sprawy religijne inny w umyśle króla przybrały kierunek. Patrjarchat w Polsce nieprzychylnie widziany był przez patrjarchę carogrodzkiego, którego król wobec projektowanej wojny chciał koniecznie mieć po swojej stronie. Zresztą zdobycie Konstantynopola, bo o tem marzył Władysław, zgola inaczej rozstrzygało zagadnienie schizmy. Wobec tego sprawa nowej unji przestała być dla króla aktualną. Z drugiej strony nie chciał on i w stosunku do różnowierców narazić się czemkolwiek bądź Inocentemu, który moralnie i materialnie mógł się przyczynić do urzeczywistnienia wielkich zamysłów i do zwycięstwa nad potężną Turcją.

To było powodem, że sprawę unji i kierunek zjazdu oddał król całkowicie w ręce nowego papieża. Stało się ostatecznie na tem, że zapowiedziany zjazd w Toruniu odbędzie się bez zakazu, ale też i bez zezwolenia Rzymu, cicho, skromnie i bez hałasu. Starania o nową unję zeszły na plan dalszy.

Król, którego umysłem owładnął inny zamiar, nie przywiązywał już w owej chwili wielkiego znaczenia do zapowiedzianego zjazdu. Na reprezentanta swej osoby wyznaczył kanclerza Ossolińskiego, któremu Inocenty najzupełniej ufał, a który, jako przywódca stronnictwa katolickiego, nie cieszył się względami różnowierców. To też sama wiadomość, że króla zastąpi Ossoliński, wywołała wśród dysydentów popłoch i podejrzenia, że Władysław zmienił swe projekty. Dyplomatyczne oświadczenia kanclerza uspokoiły żywione obawy, ale stanowisko króla zgóry przesądzało rezultaty zjazdu.

W takich warunkach dnia 28 sierpnia 1645 r. rozpoczęło się w Toruniu w wielkiej sali ratusza w obecności tłumu cudzoziemców, którzy z różnych stron świata na tę ciekawą dysputę przybyli, słynne *colloquium charitativum*.

W zjeździe w charakterze czynnych członków brało udział 80 osób, wtem 25 teologów katolickich, upoważnionych do tego przez prymasa, 28 teologów kalwińskich i 24 teologów ewangelickich. Na czele katolików stał biskup żmudzki Tyszkiewicz, kalwinom przewodniczył kasztelan chełmiński, Zbigniew Gorajski, lutrom — Zygmunt Guldenstern, starosta sztumski.

Zjazd zagaił kanclerz Ossoliński, oddając przede wszystkim hołd królowi, który niby drugi Konstantyn dąży do utrwalenia zgody i pokoju w Rzeczypospolitej.

Wspomniawszy następnie o wojnach religijnych, srożących się w Europie, z dumą podniósł mówca, „że jedna tylko Polska przezornością i łagodnością przodków naszych nie uległa dzikości podobnej i roztropnem znoszeniem różnowierców wzajemną między obywatelami miłość szczęśliwie dotąd utrzymuje”.

Mowa, wypowiedziana z wielkim taktem, ogólnie się podobała. Zjazd z zapalem przyjął wezwanie kanclerza do obrad, których rezultat powinien, zdaniem mówcy, Polskę podwyższyć, wzmocnić i wsławić.

Po tym obiecującym wstępie zaczęła się bardzo przelekła dyskusja nad porządkiem obrad. Skutkiem różnicy zdań dopiero 16 września, zgodnie z ustalonym trybem, przystapiono do składania wyznań wiary reprezentowanych na zjeździe religij.

Wyznanie wiary katolików, napisane w słowach umiarkowanych i poważnych, nikogo nie mogło dotknąć i obrazić, natomiast deklaracja kalwinów, krytykująca ostro kościół katolicki, wywołała wzburzenie. Biskup Tyškiewicz zaprotestował przeciw niej, dowodząc, że jest to deklaracja niezgodna z instrukcjami króla, a Ossoliński, kierujący zjazdem, zawołał z gniewem, że nie pozwoli na umieszczenie w aktach odczytanego paszkwilu. Ossolińskiemu odpowiedział kasztelan chełmiński, tłumacząc, że nikt nie miał zamiaru obrażać katolików, prosił o łagodniejszą ocenę deklaracji i, protestując przeciw nieumieszczaniu w aktach zjazdu tego, co się jednej ze stron nie podoba, twierdził, że takie postępowanie nie zgadza się z intencjami króla.

Ale nieustępliwy kanclerz odparł, że on jeden ma prawo tłumaczyć instrukcję królewską i z prawa tego nie myśli rezygnować. Wobec tego żądał zmiany naj-

drażliwszych ustępów odczytanego pisma, w przeciwnym zaś razie potwierdzał swą zapowiedź, że deklaracji w aktach nie umieści.

Śród ogólnego rozdrażnienia sesja została dnia tego rozwiązana.

W kilka dni później złożyli na ręce kanclerza wyznaczenie wiary ewangelicy. Ossoliński, przejrzawszy podane mu pismo, zażądał, by ustępy, zawierające krytykę innych wyznań, zostały skreślone.

To żądanie wzburzyło różnowierców.

Kasztelan chełmiński wysłał do króla skargę i domagał się satysfakcji za wyrządzoną różnowiercom obrazę. Władysław, nie wiedząc nic o całym zajściu, dla ważnych spraw, związanych z planem wojny tureckiej, odwołał Ossolińskiego z Torunia. Ale różnowiercy sądzili, że stało się to z powodu postępowania kanclerza, a list podkanclerzego, który zawiadamiał kasztelana, że król z przykrością dowiedział się o zniewadze, jaka spotkała różnowierców, utwierdził ich w tem mniemaniu.

Po wyjeździe Ossolińskiego przewodniczył obradom kasztelan Leszczyński, ale do zgody również doprowadzić nie zdołał. Zjazd cały, narobiwszy wiele hałasu w Europie, żadnego nie dał rezultatu. Uczestnicy *colloquium*, nie zmieniawszy w niczem swego zdania, rozjechali się bez wzajemnego żalu, ale też żadnej nie załatwiwszy sprawy.

Doniosłe zamierzenie króla, poczęte w poczuciu odpowiedzialności za spokój wewnętrzny państwa, przez samego króla w gruncie rzeczy zostało zwichnięte. Wpatrzony w inne większe plany, ostygł Władysław dla własnego dzieła i przestał je popierać. W owym

ezasie właśnie był pewien, że bije upragniona godzina, mająca go powołać na widownię dziejową. Więc postanowił korzystać ze sposobności i dowieść nareszcie światu, że posiada dość sił i woli, by wstrząsnąć Europą i nową erę zapoczątkować w dziejach ludzkości.

VII

WIELKIE PLANY WOJENNE WŁADYSŁAWA

Plan wojny z Turcją od wczesnej młodości nurtował umysł Władysława. Ale po uzyskaniu korony musiał najpierw zmierzyć się z Moskwą, a później, wbrew jego życzeniom i woli, tendencje pokojowe narodu i skłonności pojednawcze Turcji zażegnały burzę wojenną. Z kolei król pochłonięty był sprawą odzyskania Szwecji. Tą myślą nacechowana była cała jego działalność, dla niej zawierał związki małżeńskie, dla niej zbliżał się to do cesarza, to do dworu francuskiego, dla niej podejmował ideę powszechnego w Europie pokoju i prowadził politykę zarówno wewnątrz kraju, jak politykę zagraniczną. Lecz w miarę tego, jak tracił nadzieję, by wobec piętrzących się zewsząd trudności udało mu się dojść do celu, myśl o odzyskaniu Szwecji ustępowała myśli o zdobyciu Konstantynopola.

Upadający na siłach i zdrowiu król Władysław, oglądając się w owym czasie za siebie, widział w gruzach wszystkie swe górne projekty i zamiary. Zawiodła go zwycięska wojna z Moskwą, nie dopisał tron szwedzki,

rozwiała się marzenia o koronie cesarskiej. A lata szły za latami, zbliżał się ku schyłkowi wiek męski, wzmagaly się cierpienia fizyczne, życie zaś płynęło nadal wśród ciągłych trosk i kłopotów, wśród małych wydarzeń i wielkich rozczerowań. Ale te rozczerowania i zawody nie zabiły w królu ambicji i nie ugasiły żądzy sławy, w którą od wczesnej młodości, jak w słońce, utkwione miał oczy. Starzejący się Władysław nie mógł pogodzić się z myślą, że zejdzie ze świata i nie zaważy na jego losach i nie przekaże wiekom swego imienia w blasku nieśmiertelnych czynów. Więc gdy wszystkie wysiłki, mające mu zapewnić wielkie imię, zawiodły, chwycił się największego ze swoich planów i z gorączkową energją zabrał się do dzieła.

Ambicja króla nie była tym razem w sprzeczności z interesem Rzeczypospolitej.

Polska oddawna znajdowała się w upokarzającym położeniu względem Wysokiej Porty. Stosunki między obu państwami stale były naprężone, a choć w czasie pokoju obie strony nieraz zachowywały się poprawnie, to jednakże Wysoka Porta przemawiała zazwyczaj tonem wyższości i lekceważenia. Ponadto sułtan trzymał w odwodzie Tatarów, którzy niemal co roku niszczącymi zagonami rozlewali się po ziemiach polskich, pustoszyli je ogniem i mieczem i często z bogatymi łupami oraz jassyrem wracali bezkarnie na swe koczowiska. Polacy, chcąc zapewnić sobie bezpieczeństwo ziem granicznych, posyłali chanowi coroczne upominki w pieniądzach i darach. Był to właściwie płacony rabusiom haracz, który w gruncie rzeczy nie zapobiegał klęskom najazdów. Chan brał „upominki”, uiszczane co prawda nieregularnie, i wysyłał swe ordy na rabunek.

Król Władysław postanowił położyć kres temu upokarzającemu dla Polski stanowi rzeczy. Już w r. 1641 w instrukcji swej na sejmiki gorąco zachęcał szlachtę, by zamiast corocznie oczekiwać wtargnięcia łupieskiej hordy, sama z mieczem w dłoni ruszyła w głąb siedzib tatarskich i tam „tę szarańczę w gnieździe przy dzieciach, żonach i domostwach zmacała”. Ale szlachta ani myślała iść za wskazaniem króla. Dopiero w r. 1643, wobec grozy nowego najazdu sejm zezwolił przedsięwziąć poważniejsze środki ostrożności.

Wykorzystał to zarządzenie hetman Koniecpolski i w styczniu 1644 r. w bitwie pod Ochmatowem poważną klęskę zadał Tatarom.

Zwycięstwo to natchnęło senat odwagą i spowodowało jego uchwałę, wstrzymującą płacenie chanowi upominków.

Uchwała ta, odpowiadająca intencjom Władysława, zaostrzała polsko-tatarskie stosunki i oba państwa stawiała jawnie na stopie wojennej. Chodziło teraz o to, by nie czekać na nowe wtargnięcie ordy, lecz Krym wojną nawiedzić.

Król nie wątpił, że taka wyprawa zwycięstwem Polski zakończyć się musi, a widział dobrze, jak wielkie korzyści odniosłaby Rzeczpospolita, gdyby olbrzymie obszary bujnej i urodzajnej ziemi, uwolnione od grozy tatarskiej, mogły być zaludnione, a morze Czarne otwarte dla Polski.

A wojna zaczepna z Tatarami prowadziła z natury rzeczy do wojny z Turcją. Sułtan, będąc zwierzchnikiem chana, nie mógł patrzeć obojętnie na jego upadek, ani na usadowienie się Polski nad brzegami morza, dającego dostęp do posiadłości tureckich.

Wiedział o tem dobrze Władysław i po zgnieceniu Tatarów zamierzał stoczyć bój śmiertelny z Turcją.

Okoliczności zewnętrzne sprzyjały jego zamiarom.

W latach 1644 i 1645 Krym stał się widownią poważnych zamieszek. Wkrótce po klęsce ochmatowskiej chan Mechmet Giraj został wypędzony, a chanem z łaski sułtana został brat Mechmeta Islam-Giraj, człek ambitny, przedsiębiorczy, wojowniczy, z dzikim fanatyzmem traktujący „niewiernych”. Za zdetronizowanym chanem ujęli się jego stronnicy — i Krym stanął w ogniu wojny domowej.

Drugą okolicznością, która przemawiała na rzecz planów króla, był zatarg między Turcją a Wenecją. Pod koniec 1644 roku obie strony zaczęły się zbroić, a wszystko świadczyło, że wojna między temi państwami jest nieunikniona.

Władysław był pełen otuchy, plany jego zaczęły dojrzewać. W lutym 1645 r. pisał do papieża:

— „Podczas gdy świat chrześcijański wre ciągłemi wojennemi zamieszkami, a wspólny nieprzyjaciół stara się o rozniecenie jeszcze większego ognia, zapala się we mnie chęć spełnienia pewnej myśli, która zdoła znaczną jego część ugasić i prócz usłużenia Bogu i podniesienia oddanego mu Kościoła przyniesie ulgę wielką i Włochom i innym stronom”.

Zawojowanie Krymu, wojna z Turcją, wyzwolenie uciemiężonych przez sułtana ludów słowiańskich, zdobycie Konstantynopola, wyparcie Turków z Europy, a wkońcu oswobodzenie grobu Chrystusa, — oto były poszczególne ogniwa w łańcuchu ambitnych zamierzeń Władysława. Ostatecznym ich rezultatem miało być odbudowanie cesarstwa wschodniego.

Król Władysław, człowiek światły i wykształcony, przewyższający umysłem i rozległością pojęć wielu wybitnych obywateli, nie był wolny od przesądów swego czasu. Rad słuchał astrologów, a ci, czytając w gwiazdach, prorokowali mu podbój Turcji. I w drugim małżeństwie króla widziano szczęśliwą wróżbę. Ludwika Marja była ostatnią dziedziczką Paleologów, a wróżbici zdawna przepowiadali jej koronę grecką. Na żywą wyobraźnię króla oddziaływały te przepowiednie podniecająco. Władysław niecierpliwił się i płonął od wewnętrznego ognia, który go trawił. W przekonaniu, że zapalem swoim porwie szlachtę, rozkazał budować arsenały w Warszawie, Krakowie i Lwowie, zaczął sprowadzać z zagranicy biegłych inżynierów i na wielką skalę czynić przygotowania wojenne.

Przed walnym sejmem, mającym rozpocząć obrady w lutym 1645 roku, wysłał na sejmiki instrukcje, domagając się od szlachty zatwierdzenia powziętej przez senat uchwały, odmawiającej Tatarom płacenia upominków. Posłów tatarskich, którzy po te upominki zawitali właśnie do Polski, rozkazał zatrzymać pod strażą. Wreszcie, gdy sejm się zebrał, otwarcie wezwał zgromadzone stany do wojny z Tatarami.

W propozycji od tronu mówił Ossoliński:

— „Wielki to był bezpieczeństwa ziem ukraińnych fundament oddawanie upominków Tatarom, które oni, szczerzem chrzcząc słowem, poprostu haraczem nazywają. Uchodziła ta narodu naszego osławiona sromota, póki lubo nie watahom i birbaszom, to przynajmniej całej ordzie przygaszała łakomego pragnienia łupów i plonu naszego. Teraz, gdy cały Krym ledwo nie szlakiem tych, co upominki nasze odwożą, puszcza to jego

królewska mość pod uwagę stanów koronnych, jeśli przy tej obeldze zostawać i swej się szkody dokupować, czyli przy łasce bożej, a doświadczenem jego król. mości szczęściu i dzielności, przy ochocie palającej w usługach ojezyny wodzów i wojska męstwem tak postąpić, jak przykazuje nieskażona tych cnym narodów sława, jak bezpieczeństwo braci naszych, uczciwość krwi szlacheckiej, swoboda tak wielu dusz krwią Zbawiciela naszego odkupionych, w ciężkich okowach na zgubę chrześcijaństwa do galer pogańskich przykowana. Nie chce jego król. mość rachunku na strasznym sądzie bożym zdawać z tak wielu poddanych swoich poturczonych, imię boskie bluźniących; nie chce takowych łez krwawych o pomstę do Boga wołających i niebiosa przenikających. Gotów jest niedolę powierzonego sobie ludu własnymi zastąpić piersiami i tam szukać swobody, skąd wynika niedola!"

Goście słowa kanclerza zbudziły animusz wojenny szlachty.

Ale sejm został zerwany przez upór posłów ziemskich, którzy nie dopuszczali do rozważania żadnych spraw, dopóki przedtem nie zapadła uchwała, znosząca cła na przywóz i wywóz towarów oraz dopóki nie rozstrzygnięto sprawy Trubecka, który król przyrzekł oddać Moskwie wzamian za jej pomoc przeciw Tatarom.

Po zerwaniu sejmu Władysław odbył naradę z najzaufańszymi senatorami i postanowił przygotowywać się do wojny bez zezwolenia sejmujących stanów. Chodziło mu tylko o zachowanie pozorów legalności, a sprawa wydawała się bardzo prostą. Uchwała senatu, odmawiająca chanowi składania upominków, pozostawiała

w swej mocy aż do zebrania się następnego sejmu. A król nie wątpił, że ta odmowa spowoduje wielki najazd Tatarów. Otóż postanowił zgromadzić znaczne siły, by tym razem nie tylko najazd odeprzeć, ale za ucho-
dzącą orda wysłać nadworne wojska możnych panów, by te, goniąc nieprzyjaciela, zapędziły się aż na Krym, dokonały tam ostatecznego pogromu i zawładnęły posiadłościami chana. W ten sposób cały najazd miał być ogłowi przedstawiony, jako odwet panów kresowych na ordzie za nieustanne pustoszenie ich majątności. Ponieważ zaś należało przypuszczać, że Turcja pośpieszy Tatarom z pomocą, przeto jednocześnie z najazdem na Krym projektował Władysław dywersyjną wyprawę kozacką na Czarne morze.

Wszystko tym razem układało się po myśli króla.

Latem 1645 r. Turcja rozpoczęła wojnę z Wenecją, a do Warszawy przyszły wiadomości o wielkich przygotowaniach na Krymie do najazdu na Polskę. Jednocześnie zawitał do stolicy poseł wenecki Jan Tiepolo z prośbą o pomoc przeciw Turcji. Król życzliwie wysłuchał posła, a kanclerz Ossoliński rozpoczął z nim zaraz układy o pomoc pieniężną dla Polski. Tiepolo ofiarowywał 500.000 talarów rocznie przez dwa lata, żądał jednak, by Rzeczpospolita bezpośrednio przeciw Turcji wystąpiła. Układy toczyły się dalej, a tymczasem król odebrał nowe wieści dla zamysłów swoich pomyślnie wiadomości. Oto obaj gospodarowie postanowili skorzystać z kłopotów Turcji i porwać się do broni, by zrzucić jarzmo sultańskie. Co więcej! wśród podbitych przez Turcję narodów, a przede wszystkim wśród Bulgarów i Greków zaczynało się wrzenie, zwiastujące wybuch powstania, jeśli tylko król polski rozpocznie kroki wojenne.

Wszystko zdawało się świadczyć, że wystąpienie Rzeczypospolitej wywoła olbrzymi pożar na obszarach, za-
wojowanych orężem tureckim.

Władysław podjął nowe starania, by zapewnić sobie pomoc pieniężną papieża i książąt włoskich, wysłał po-
sła Stempkowskiego do Moskwy, by traktował z carem
o przymierze przeciw Tatarom, a przez zakonnika wło-
skiego Dominika di Luca starał się pobudzić do wojny
z Turcją nieprzyjazną jej Persję.

Jednocześnie zmienił ton w stosunku do Wysokiej
Porty.

Latem 1645 r. hetman Koniecpolski na rozkaz króla
zawiadomił wielkiego wezyra, że jeśli Tatarzy ośmiela
się wtargnąć do Polski, to całe morze Czarne zaroi się
od czajek kozackich.

Wysoka Porta na groźby groźbami zwykła była od-
powiadać. Tym razem wojowniczy ton hetmana odniósł
skutek przeciwny. Sułtan przestraszył się pogroźki
i wysłał gońca do chana, by nie ważył się zaczepiać
Polaków, lecz ordy swoje skierował na Moskwę. Tak
się też stało. W grudniu 1645 r. Tatarzy przekroczyli
granice moskiewskie i, rozgromiwszy wojewodów car-
skich, trzy tygodnie ogniem i mieczem łupili olbrzy-
mie przestrzenie, zapędzając się aż do Putywła, Bilska
i Kurska. Na rozkaz króla hetman polny Potocki ru-
szył z wojskiem kwarcianem na pomoc Moskalom, ale
sroga zima i szybki odwrót objuczonej niezliczonemi
łupami ordy nie pozwoliły Potockiemu spełnić powie-
rzonego mu zadania.

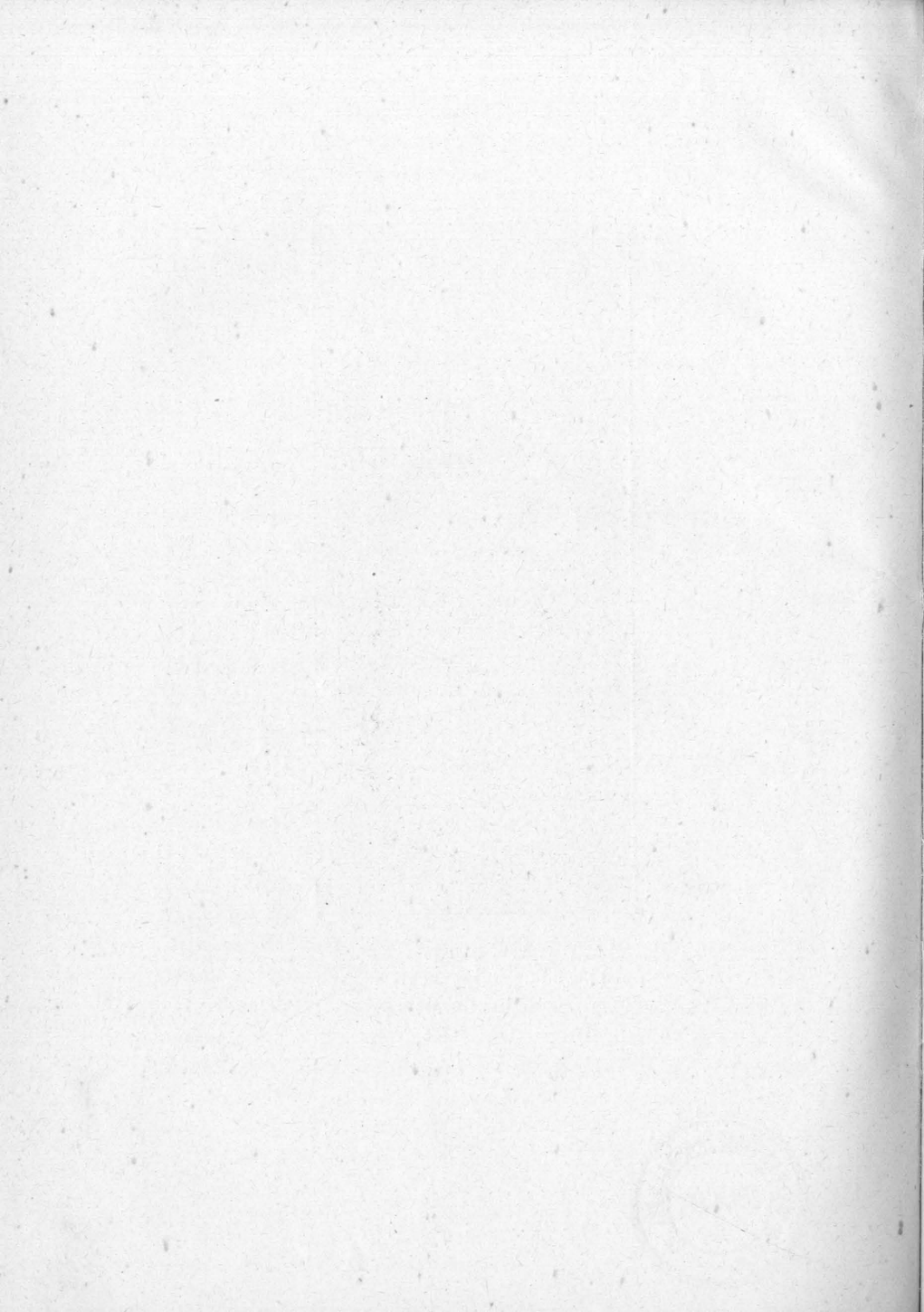
Najazd ten uczynił Moskali skłonniejszymi do za-
warcia z Polską sojuszu. Nowy car moskiewski Aleksey,
zaraz po wstąpieniu na tron potwierdził wieczysty





Hetman w. k, Stanisław Koniecpolski, według starej ryciny w Bibl. Ord. Krasieńskich.





z Rzeczpospolitą pokój i wyznaczył wielkich posłów, by ułożyli z Władysławem warunki wspólnego działania przeciw Tatarom.

Król na lato 1646 r. planował rozpoczęcie wojny, aczkolwiek w najbliższym jego otoczeniu podzielone były zdania, od czego działania wojenne rozpocząć. Różnili się w tym względzie kanclerz Ossoliński, prawa ręka króla w polityce i hetman Koniecpolski, którego szabla dawała najpewniejsze rękojmie powodzenia w polu.

Hetman wielki koronny, Stanisław Koniecpolski, głośny pogromca Szwedów, Turków, Tatarów i Kozaków, wojownik, którego sława szeroko rozbrzmiewała w Europie, należał do najpiękniejszych i najwybitniejszych postaci polskich w XVII stuleciu. Genjusz wojenny łączył on z niepospolitym umysłem, szlachetne, pełne ludzkości serce z żelazną wolą, nieugięty charakter ze statecznością w postępowaniu. Powagą w kraju cieszył się tak wielką, że gasił nią ściganego podejrzeniami króla. W oczach ogółu szlacheckiego był ten wielki wódz opoką Rzeczypospolitej. Wiedziała cała Polska, że dopóki sędziwy hetman zasłania ziemie graniczne swą piersią, dopóty kraj może być pewien bezpieczeństwa. Kochała go szlachta, uwielbiało wojsko. Ponieważ się jąkał, przeto rycerstwo żartobliwie powiadało o nim, że najpierw pobije, a potem dopiero wymówi. Ten żart o tyle nie odpowiadał prawdzie, że znakomity wojownik odznaczał się wielką przeornością i długo nieraz rozmyślał, nim powziął ostateczną decyzję. Wielkiej nauki i roztropności, jak był niezastąpiony w polu, tak nieoceniony był w radzie.

Król szanował Koniecpolskiego i darzył go swoją przyjaźnią, wzamian też miał w nim przyjaciela, który, nie schlebiając, mówił mu zawsze prawdę, nie dbając, czy się ta prawda podoba, czy nie, lecz gdy się czegośkolwiek podjął, to już na pewno nie uczynił zawodu. Był tem cenniejszym dla króla pomocnikiem, że jak nikt w Polsce znał Kozaczyznę, Turków i Tatarów. Bunt kozaackie tłumiał ręką z żelaza, ale szanował Kozaków, jako żołnierzy. W czasie pokoju nieraz przychodził im z pomocą, i własną powagą bronił ich przed uciskiem. Imię jego było na Kozaczyźnie groźne, ale zarazem i szanowane. Liczyła się z nim niemniej, niż z królem Wysoka Porta, a wojowniczy chan Islam-Giraj, zabiegając o jego względy, prosił hetmana, aby ten raczył go uważać za swego syna.

Władysław, układając plan wojny, musiał przede wszystkim pozyskać dla swego planu Koniecpolskiego.

Znakomity wódz nie był przeciwnikiem wojny, ale uważał, że trzeba należycie przygotować się do niej i kroków wojennych nie zaczynać inaczej, jak za zezwoleniem Rzeczypospolitej. Poglądy swoje wyłożył w godnym uwagi „Dyskursie o zniesieniu Tatarów krymskich i lidze z Moskwą”, odczytanym na naradzie z królem i przedniejszymi senatorami. W „dyskursie” tym omawiał Koniecpolski ogromne trudności, jakie musiałoby wywołać wspólne z Moskalami zawojowanie Krymu. Utrzymanie go w rękach polskich nie wydawało się hetmanowi rzeczą łatwą ze względu na ciągle wrzenie na Ukrainie, a oddanie Krymu Moskalom nowemi groziło komplikacjami.

— „Konsyderując wrodzoną nienawiść moskiewską przeciwko narodowi naszemu i ową ich śliską wiarę,—

wywodził hetman,—zdaje się to rzeczą pełną niebezpieczeństw. Bo osiadłszy tamto miejsce, wszystko chrześcijaństwo od morza Czarnego aż do morza Azowskiego siedzące do siebieby przyciągnęli. Pociągnęliby i same ordy tatarskie, odłączywszy je od Turków i mogliby nam być ciężcy. A co większa, Kozaków tak blisko mając i wiarą i nadzieją łupu, kto wie, jeśliby ich nie oderwali od nas, a potem i wszytkiej Rusi”.

Przyznawał hetman, iż nieraz rozmyślając nad tą sprawą, doszedł do przekonania, że najlepszem jej rozstrzygnięciem byłoby „ożenie królewicza Kazimierza w Moskwie”, wszakże pod warunkiem, że car dałby królewiczowi posag we włościach, przyległych do granic polskich i posiłki na zdobycie Krymu, do czego ze swej strony przyczyniłaby się i Rzeczpospolita. Ale że Jan Kazimierz wstąpił do zakonu, przez co i projekt ten sam przez się upadał, przeto hetman wyrażał wątpliwości, czyby lepiej było mieć w Krymie podejrzanych przyjaciół Moskali, czyli też pogan, jawnych nieprzyjaciół. Ostatecznie przecież dochodził do wniosku, że lepiej Krym zostawić w rękach Moskwy i narazić tę ostatnią na ciągłe zatargi z Turcją, a samym zagarnąć całą Wołoszczyznę, posuwając granice Polski po Dunaj.

Wypowiadając taki pogląd, Koniecpolski przestrzegał króla przed niepewną pomocą zagranicy i radził przed rozpoczęciem wojny uzyskać na nią zgodę stanów Rzeczypospolitej.

Innego zdania był kanclerz Ossoliński.

Znając niecierpliwość króla i gorące jego życzenie, by niezwłocznie przystąpić do dzieła, a zdając sobie sprawę z niechęci ogółu szlacheckiego do wojny, nie

uważał on za konieczne oglądanie się na wolę sejmu, byle tylko tak postępować, aby kroki wojenne móc usprawiedliwić przed ogółem koniecznością odwrócenia grożącego Rzeczypospolitej niebezpieczeństwa. Koniecpolski radził najpierw skończyć z Krymem, Ossoliński uważał, że wystarczy przeciw Tatarom rzucić Moskwę, a jednocześnie wojska polskie wyprowadzić na Wołoszczyznę. Wbrew hetmanowi, który nie dowierzał obietnicom zagranicy i nie ufał orężowi carskiemu, kanclerz był zdania, że układy z Wenecją i innemi rządami dojdą do skutku, a Moskale sami dadzą radę Tatarom.

Koniecpolski zwracał uwagę na jedno jeszcze niebezpieczeństwo. Twierdził on, że wśród Kozaków zaczyna się wrzenie, że skarżą się oni coraz bardziej na doznawany od Rzeczypospolitej ucisk, że szemrzą i zmańwiają się, jakby zrzucić swe jarzmo i wybić się na wolność. Nauczeni doświadczeniem, że dotychczasowe ich buntury krwawo były tłumione, nie polegają już na własnych siłach, lecz traktują z Tatarami, by wspólnymi siłami przeciw Polsce się zwrócić.

Była to wiadomość przerażająca, lecz ani król, ani kanclerz nie zdawali sobie jeszcze sprawy, jak bliskie jest to nowe niebezpieczeństwo.

Pomiędzy Koniecpolskim a Ossolińskim różnica zdań doprowadziła do starcia — i hetman ze swoim poglądem wyjechał z Warszawy.

Władysław, licząc na wypróbowaną wierność obu głównych swych pomocników, nie brał zbytnio do serca tego nieporozumienia. Sam nie wypowiadał się za jednym ani drugim planem, gdyż snuł tajemnie jeszcze rozleglejsze plany, a nie wątpił, że w stanowczej

chwili tak kanclerz, jak hetman będą mu najpewniejszą pomocą.

W lutym 1646 r. Tiepolo zawiadomił króla, że Wenecja zgadza się wypłacić mu 400.000 skudów na wojnę z Turcją, wkrótce potem przybyli pod pozorem złożenia życzeń Władysławowi z racji nowego małżeństwa posłowie obu gospodarów, a w początkach marca zawitali do stolicy wielcy posłowie carscy dla traktowania z królem i Rzeczpospolitą o przymierze przeciw Tatarom.

Król, pełen otuchy, musiał, z racji uroczystości weselnych, przerwać na krótki czas pracę dla wielkich swoich zamysłów. Przykuty w owym czasie chorobą do łóżka, wijący się w bólach, ponurą twarzą witający nową małżonkę, nie biorący udziału w radosnych uroczystościach, które rozbrzmiewała cała stolica, zamknięty w sobie, trawiony był przecież ogniem wewnętrznym, bo wierzył, że zbliża się chwila, o której marzył przez całe swe życie.

Nie spodziewanie jak grom z jasnego nieba przyszła do Warszawy wieść o nagłej śmierci hetmana Koniecpolskiego. Był to cios, który wstrząsnął królem do głębi duszy, a cały naród okrył żałobą. Władysław gorzko zapłakał nad zgonem wielkiego przyjaciela. Srogi los, zabierając ze świata hetmana, strząsał miecz w rękach królewskich. Bez Koniecpolskiego wykonanie wojennych zamysłów zawisało niejako w powietrzu. Zmarły hetman trzymał w ręku nici wielu sekretnych planów króla, był niezastąpiony w przygotowaniach wojennych i w polu, a wobec wzburzenia Kozaków dawał największą rękojmię, że uspokoi ten niesforny żywioł i pociągnie go na wojnę przeciw Tatarom.

Lecz Władysław otrząsał się ze smutku, w jakim pograżyła go żałobna wiadomość i z niesłabnącą energją dalej prowadził swe dzieło.

Zaniepokoiony stanem rzeczy na Ukrainie, wysłał tam dla wywiadu Hieronima Radziejowskiego wraz z sekretnem pismem do Kozaków, w którym obiecywał im przywrócenie praw dawniej posiadanych. Na skutek tej misji w kwietniu 1646 r. przybyło do Warszawy tajne poselstwo kozackie w osobach Iwana Barabasza, Iwana Eljaszeński, Nestoreński i szczególniejszym względem króla zalecanego Bohdana Chmielnickiego. Późno w noc zawezwano tych przedstawicieli Kozaków do króla, aby nikt niepowołany nie mógł się o tem dowiedzieć. W czasie rozmowy Władysław wezwał ich do wszczęcia przygotowań wojennych, aby tak na lądzie, jak na morzu mierzyć się mogli z nieprzyjacielem. Przypuszczeni do konfidencji z królem przywódcy kozaccy obiecali stanąć zbrojno w 50.000 ludzi, a „każe li król, — mówili, — to 100.000 nas stanie na jego skienie”.

Zadowolony z tej odpowiedzi Władysław rozkazał im wypłacić na pierwsze koszta budowy czajek 18.000 złotych, a ponadto wydał im na piśmie dwa przywileje, z których jeden upoważniał ich do zbrojeń, drugi przyzwalał na powiększenie liczby Kozaków rejestrowych z sześciu na 12.000 ludzi.

Przywileje te, opatrzone pokojową pieczęcią króla, były krokiem nieprawnym i nielegalnym, ale Władysław tyle wagi przywiązywał do pozyskania Kozaków, że nie wahał się czynić daleko sięgających przyrzeczeń, ciągle w nadziei, że zwycięska wojna i w tej sprawie rozwiąże mu ręce.

Zawarłszy przymierze z Moskwą, pozyskawszy hospodarów, umówiwszy się z Wenecją, Władysław czynił jeszcze zabiegi, by pozyskać pomoc cesarza, Francji, Hiszpanji, Szwecji, wojewody siedmiogrodzkiego i książąt włoskich, przyjmował biskupów wschodnich, zapewniających go, że gdy tylko wyruszy w pole cała Grecja i wszystkie ludy słowiańskie, dźwigające jarzmo sultańskie, porwą się do broni. Nie poprzestając na tem, starał się jeszcze nakłonić do wojny z Turcją Persję i Marokko.

W owym czasie stale otaczali króla i najbliższe jego towarzystwo stanowili dwaj bracia Magni, kapucyn Walerjan, znany teolog, fizyk i dyplomata, cieszący się wielkimi względami na dworze warszawskim, brat Walerjana Franciszek, oraz poseł wenecki Tiepolo, wszyscy trzech ludzie o gorącej wyobraźni i niepomiernej ambicji, ruchliwi, czynni; przyklaskujący z największym zapalem zamiarom króla i utrzymujący go swemi podszeptami w stanie gorączkowej czynności.

W takich okolicznościach obmyślał król plany wojenne na miesiąc sierpień 1646 r.

Hetman Potocki miał z częścią regularnego wojska i hufcami panów, razem w 30.000 ludzi wyruszyć nad Dniepr i wspólnie z Moskwą uderzyć na Tatarów krymskich. W tym samym czasie król na czele 40.000-ej armji zamierzał ruszyć wzdłuż Dniestru, maszerować na Oczaków, Białogród, zgnieść Tatarów budziackich, a następnie zdobywać miasta i fortece, rozłożone nad brzegami Czarnego morza.

Tak wielki zamiar bez zezwolenia stanów był wobec pokojowego usposobienia szlachty przedsięwzięciem w najwyższym stopniu ryzykownem. Więc pod grozą

zwichnięcia całego zamysłu trzeba było kroki wojenne zalegalizować. Radę na to wynalazł Ossoliński. Jeden z warunków pokoju, zawartego w roku 1634 między Rzeczpospolitą a Turcją, obowiązywał tę ostatnią do oczyszczenia Budziaku¹⁾ z osiedlonych tam w XVI stuleciu Tatarów nohajskich, którzy z biegiem lat, wzmocnieni przez Tatarów krymskich, rozszerzyli się poza Dniestr i zazwyczaj latem dokonywali zuchwałych napadów na ziemie Rzeczypospolitej. Warunek ten nie został przez Turcję spełniony, a że król miał obowiązek zapobiegać najazdom Nohajców, przeto wojna z Turcją, któraby wynikła z powodu wyprawy na Budziak, chroniła go od zarzutów, jakich w przeciwnym razie należało się spodziewać.

Niestety, jakieś fatum zawisło nad królem: gdy wszystko mu sprzyjało, on sam uczynić miał krok, narażający całe przedsięwzięcie na największe niebezpieczeństwo.

Działalność Władysława nie mogła ukrywać się długo w tajemnicy.

Domyślali się senatorowie, że król przygotowuje się do wojny i szemrali przeciw jego zamiarom. Dopóki przecież milczał, dopóki przygotowania wojenne pozorował potrzebą zabezpieczenia się przed Tatarami, dopóty nie wywoływał silniejszych objawów niezadowolenia. Ale w maju 1646 r., czy to pod wpływem otaczających go cudzoziemców i sprzyjających wielkiemu zamysłowi okoliczności, czy to w przekonaniu, że trzeba zgodę senatorów zdobyć szturmem, stawiając ich przed

¹⁾ Tak zwano obszar między morzem Czarnym, Dniestrem a Dunajem od Akermanu do Kilji, dziś południową Besarabję.

powzięta i już niecofnioną decyzją, czy też z innych, jemu samemu tylko wiadomych pobudek, dość, że nie porozumiawszy się nawet z Ossolińskim, rozgłosił jawnie swój zamiar wojny z Turcją i zaczął grać w otwarte karty.

Zdumieli się wszyscy, gdy wieść o tych projektach przeniknęła do wiadomości publicznej. Przeciwnicy wojny uderzyli na alarm — i wnet w całym kraju wszczął się wielki krzyk przeciw królowi i jego zamysłom.

Tymczasem Władysław, z gorączkową czynnością, jakby na potwierdzenie słów swoich, przystąpił otwarcie do organizowania sił zbrojnych.

Cała Warszawa zapełniła się zbrojnym ludem, werbowanym pośpiesznie do szeregów. Pałac królewski w Ujazdowie stał się jakby główną kwaterą wielkiego obozowiska, które rozbrzmiewało szezękiem oręża i gwarem żołnierskim. Król odżył i odmłodził. Otoczony rycerstwem, dzień i noc pracował bezustannie, wnikając we wszystkie szczegóły przygotowań, a dwa razy dziennie lustrując arsenał, w którym wrzała nadwyzajna praca.

Zdumienie ogarnęło ludność.

Kancelarz wielki litewski Albrycht Radziwiłł opowiada, że, przybywszy 12 maja do Ujazdowa, a słysząc zewsząd o wojnie, sądził, że to Szwedzi, zawarłszy pokój z cesarzem, mają wtargnąć do Polski. A gdy się dowiedział, że to chodzi o wojnę z Turcją, zdumienie jego nie miało granic. Oświadczył też zaraz kancelarzowi, że pozwoliłby sobie raczej rękę odrąbać, niż przyłożyć pieczęć na listach przypowiednich dla starszyny wojskowej.

Daje to miarę, jak wielka odległość dzieliła króla od najwpływowszych senatorów.

Ale jeżeli niechęć Radziwiłła mógł król jeszcze przeboleć, to daleko dotkliwszym dla niego ciosem była zmiana, jaka dokonała się w kanclerzu koronnym.

Ossoliński, żarliwy poplecznik planów wojennych Władysława, przeraził się jego postępowaniem, to bowiem, co król czynił, stanowiło jawne pogwałcenie przysięgi, że wojny bez zezwolenia stanów wypowiedać nie będzie. Ossoliński odrazu zrozumiał, że taka zapowiedź wywoła wzburzenie kraju, udaremni zamiary królewskie i, kto wie, zamiast wojny z Turcją doprowadzi może do wojny domowej. Nie chcąc tedy narażać się opinii, opuścił króla i co więcej! odmówił pieczęci na przygotowanych listach przypowiednich na nowe zaciągi.

Strapiiony Władysław skarżył się później przed posłem weneckim, że Ossoliński zdradził go, „jak Judasz Chrystusa”, chociaż nie uczynił tego „przez złość, ani nienawiść”.

Okazało się wkrótce, że cały senat jest przeciw wojnie.

Kasztelan krakowski Jakób Sobieski, wojewoda poznański Opaliński, wojewoda krakowski Stanisław Lubomirski, a nawet zawsze skory do wojny wojewoda ruski Jeremjasz Wiśniowiecki oraz inni senatorowie bądź ustnie, bądź listownie błagali Władysława, by porzucił swoje zamysły. A prymas Lubieński, przypomniawszy królowi złożoną przysięgę, domagał się zwołania sejmu, dowodząc, że wojna, bez zgody Rzeczypospolitej zaczęta, więcej szkody przyniesie Polsce, niż jej wrogom. Do zdania arcybiskupa przyłączyli się biskupi, a za bisku-

pami poszło niższe duchowieństwo. I oto ze wszystkich stron płynęły protesty i prośby, pomieszane z groźbami. Litwini również zażądali zwołania sejmu, zapowiadając, że w razie odmowy stany litewskie same zjadą do stolicy i rozpoczną obrady choćby nawet w nieobecności króla.

Teraz dopiero spostrzegł się Władysław, jak wielki błąd popełnił, nie idąc za ostrożnymi radami kanclerza. W głębi duszy wrzał z gniewu, ale widząc burzę, zbierającą się zewsząd nad jego głową, postanowił ułagodzić umysły. W tym celu kazał rozgłosić po całym kraju i sam odzywał się publicznie, że wojny wypowiadać nie myślał, że wszystko, co czynił, czynił dla zabezpieczenia Rzeczypospolitej przed najazdem, że bez zgody stanów nie chciał nie przedsięwziąć i nie nie przedsięwziąć. Aby zaś dać dowód swych pokojowych intencji, zerwał jawnie ligę z Wenecją i rozkazał zaprzestać dalszego werbunku, a zaciągniętych żołnierzy rozpuścić.

Temi zarządzeniami istotnie uspokoił wzburzoną opinię.

Ale Władysław nie wyrzekł się łatwo swych planów, a cóż dopiero wielkiego zamyśłu, który stał się jakby treścią jego duszy i ostatniem ogniwem, wiążącym go ze światem. Czego dokonał przez swą nieostrożność, to postanowił naprawić chytrością. Czyniąc nazewnątrz wszystko, by uśpić podejrzenia, pocichu nadal porozumiewał się z zagranicą. Uniwersały, rozpuszczające zwerbowanych żołnierzy, podpisał, ale trzymał je pod kluczem w swej kancelarji. W arsenałach po staremu dzień i noc wrzała praca, a król bankietował z oficerami wszystkich rodzajów broni i jednał sobie serca

żołnierskie. Hetmanowi polnemu Potockiemu, oddał buławę wielką po Koniecpolskim i kasztelanę krakowską po zmarłym w tym czasie Jakóbie Sobieskim. Postępowaniem takim dopiął tego, że istotnie na pewien czas hałasy w kraju uśmierzył, a wojsko i hetmana dla swych planów pozyskał.

Nawet Ossoliński, widząc, że Władysław zaczyna liczyć się z opinią, nawrócił się i znowu zaczął go popierać.

Dnia 26 czerwca 1646 r. król rozesłał listy do senatorów, zapraszając ich do Krakowa na koronację królowej i posiedzenie rady senatu, które miało się odbyć po uroczystości koronacyjnej. W listach tych prosił senatorów, by uspokoiili szlachtę zapewnieniem, że z Turcją wojować nie myśli, że zbroi się jedynie przeciw Tatarom. Nazajutrz wyruszył sam do Krakowa, ale tegoż dnia 3.000 piechoty wymaszerowało z Warszawy do Lwowa, a fakt ten zbudził znowu czujność podejrzliwych panów. To też gdy na tajnem posiedzeniu rady senatu oświadczył Władysław, że okoliczności pchają Polskę do uwolnienia się raz na zawsze od plagi najazdów tatarskich, senatorowie nie chcieli o tem słyszeć. Nadaremnie przekładał król, że Turcja, zajęta wojną, nie będzie mogła chana wspomagać, że współudział Moskwy jest zapewniony i że Rzeczpospolita posiada wszystkie widoki zwycięstwa. Senatorowie nie chcieli zezwolić na wojnę zaczepną i żądali dla zdecydowania tej sprawy zwołania sejmu nadzwyczajnego.

Król wściekły zgodził się zwołać sejm na drugą połowę października, lecz zaraz opuścił Kraków i wyruszył do Lwowa, by tam, wbrew opinii senatorów, wydać ostatnie zarządzenia wojenne i rozpocząć wy-

prawę przeciw Tatarom budziackim. Zamierzał osobiście stanąć na czele sił zgromadzonych, ale odprawivszy przegląd wojska, uznał, że jest ono jeszcze zbyt nieliczne, by mu samemu wypadało tak słabe siły prowadzić. Więc po naradzie wojennej, która odbyła się w największej tajemnicy, rozkazał hetmanowi Potockiemu ruszyć ze wszystkiem wojskiem pod Kamieniec i tam oczekiwać dalszych zarządzeń. Do sułtana wysłał nieprzyjazny list, oskarżając Wysoką Portę o naruszenie pokoju, ponieważ warunek, obowiązujący Turcję do przesiedlenia na Krym Tatarów z Budziaku nie został dopełniony. W tym samym czasie z rozkazu króla czajki kozackie wyruszyły na Czarne morze.

Władysław wrócił do Warszawy, w przekonaniu, że stoi w przededniu rozpoczęcia kroków wojennych.

Ale hetman Potocki, przestraszony zamiarami króla zawiadomił o wszystkim senatorów i po naradzie z nimi, postanowił wyszukiwać różne przeszkody, któremi pozorował przed Władysławem zwłokę w wykonaniu otrzymanych rozkazów.

Tymczasem przeciwnicy wojny zdołali na nowo uzbroid opinję kraju przeciw królowi.

Na sejmikach, poprzedzających sejm walny, głośno krzyczano, że król chce najwidoczniej zdeptać wolność szlachecką i rządy absolutne zaprowadzić. Inni dowodzili, że takie rządy już się zaczęły, skoro bez zezwolenia stanów król czynił zaciągi i gromadził wojsko. Wszędzie z największą stanowczością wypowiadano się przeciw wojnie. Dowodzono, że w razie zwycięstwa Turcji, cały kraj czeka niewola, a w razie zwycięstwa króla niewola czeka szlachtę. Sejmiaki jednomyślnie, potępiając zaczęte zbrojenia, zaleciły posłom, by w spo-

sób stanowczy zażądali rozpuszczenia zaciągów, wysłania do Konstantynopola posła, któryby zapewnił sułtana o pokojowych tendencjach Rzeczypospolitej, wreszcie wypłacenia Tatarom zaległych upominków. Co więcej! postanowiła szlachta, w razie oporu króla, sięść na konie i siłą rozpedzić zaciągnięte wojska.

Władysław dobrze wiedział o tem, jak wielka burza zbiera się nad jego głową, ale nie dawał za wygraną i w dalszym ciągu niezmordowanie dążył do przyświecającego mu celu. Niestrudzony w zabiegach o stworzenie koalicji przeciw Turcji, porozumiewał się w owym czasie niemal ze wszystkimi monarchami chrześcijańskimi, wysłał posła do Persji, traktował z Francją o zasilki pieniężne, a od małżonki swej Ludwiki Marji pożyczył 660.000 złotych pod zastaw własnych klejnotów.

Wiadomości, przychodzące w owym czasie z zagranicy, dodawały mu otuchy i słodką go kołysały nadzieją. Moskwa zaczęła już wojnę z Tatarami i osaczała Azow, Persowie oblegali Babilon, a w wielu posiadłościach tureckich porwały się do broni ujarzmione ludy. Rakoczy przysłał zapewnienie, że będzie strzegł granic węgierskich i nie zezwoli na przemarsz wojsk tureckich do Polski, a obaj gospodarowie zobowiązali się do wystawienia po 25.000 zbrojnych ludzi i znacznych subsydjów pieniężnych.

Śród takich okoliczności dnia 25 października 1646 r. rozpoczął obrady sejm pod łaską Jana Mikołaja Stankiewicza, pisarza żmudzkiego.

Uwaga całej Rzeczypospolitej skupiła się na tych obradach, wszyscy bowiem rozumieli, że pomiędzy królem a narodem przyjsze musi do starcia. W kaju pano-

wała trwoga, namiętności wrzały. Wyższe duchowieństwo nakazało modły i we wszystkich kościołach odprowadzały się 24-godzinne nabożeństwa na intencję pomyślnego przebiegu obrad sejmowych. Senatorowie, znając usposobienie szlachty i niezłomną wolę króla, tak byli przerażeni, że pozostali w swych domach: zamiast 140 zaledwie 7 z prymasem na czele zjawilo się w dniu otwarcia sejmu. Wejście tej garstki senatorów przyjęli posłowie urągliwym śmiechem, króla i kanclerza powitali grobowem, pełnem groźby milczeniem.

Marszałek Stankiewicz w sposób uprzejmy, ale stanowczy przemówił do króla, wyrażając nadzieję, że zechce on uwzględnić życzenia narodu. Nazajutrz propozycję od tronu wygłosił Ossoliński. Kanclerz miał tym razem zadanie niesłychanie ciężkie. Ale przyrodzony talent krasomówczy i chytryś pomogły mu wybrnąć zwycięsko z trudnego obowiązku. Ossoliński mówił tak spokojnie i dobroduszenie, że mowę jego nazwał jeden ze współczesnych „dobrotliwą oliwą kanclerza”. Przeczył on, jakoby król bez wiedzy stanów zamierzał rozpocząć wojnę zaczepną z Turcją i podkreślał tylko konieczność zabezpieczenia granic Rzeczypospolitej przed najazdami Tatarów. Nie wahał się przecież potępić „płacenia „plugawych upominków”, a obrazem straszliwych spustoszeń, jakie corocznie szerzą łupieskie ordy na ziemiach polskich, starał się zbudzić animusz wojenny słuchaczów. Zakończył swą mowę żądaniem opatrzenia rodziny królewskiej i zwiększenia dochodów króla.

Całej tej mowy wysłuchano w milczeniu, dziwiąc się niepomalu jej łagodności. Spodziewano się usłyszeć tony wojownicze, usłyszano łagodne zaprzeczenie „zlo-

śliwym i płochym głosem", pomawiającym króla o chęć wojny z Turcją. A zręczny zwrot o zaspokojenie pretensyj pieniężnych Władysława i jego rodziny stropił w pierwszej chwili szlachtę. Wielu wydawało się wręcz nieprawdopodobieństwem, by król, który tyle względów od sejmu potrzebował, przeciw woli sejmu knuł wojenne plany.

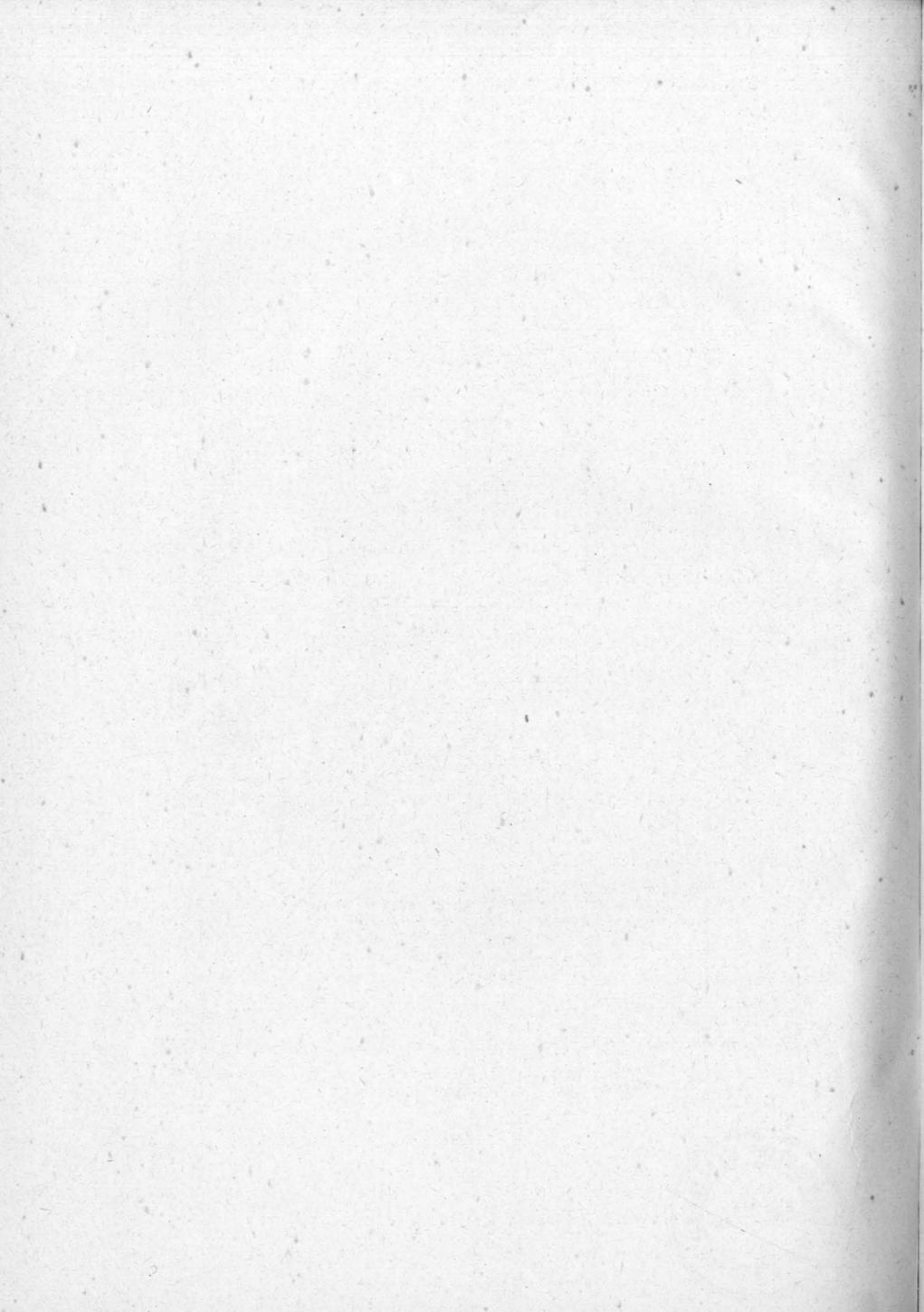
Senatorowie, odpowiadając na mowę kanclerza, acz różne wygłaszali sentencje i nieraz zwracali się przeciw królowi, godzili się na to, że wojny zaczepnej nawet z Tatarami Rzeczpospolita rozpoczynać nie może, ale przyznawali, że niebezpieczeństwo istnieje i że wobec tego do wojny przygotowywać się trzeba.

Lecz izba poselska nie dała się zastraszyć perspektywą najazdu i przez usta swych członków piorunowała na poczynione zaciągi, domagając się natychmiastowego ich rozpuszczenia. Śród krzyków i gróźb zdecydowano wysłać do króla deputację z oświadczeniem, że izba żadnej innej materji rozpatrywać nie będzie, dopóki to jej żądanie nie zostanie spełnione. Król chory i cierpiący, leżąc w łóżku, kilkakrotnie przyjmował deputację, a kanclerz, przemawiający w jego imieniu, żądał, aby w tak doniosłej sprawie izba porozumiała się z senatem. Na to odpowiedzieli posłowie prośbą, aby król wskazał projektodawcę wojny i zezwolił na rozmowę z senatem, ale w swojej nieobecności. Było to wyrażenie votum nieufności pod adresem senatu i króla. Więc Władysław odpowiedział, że sam wyśle do izby deputację senatorów. Jakoż tak uczynił: siedmiu senatorów ruszyło do izby poselskiej, a przewodniczący tej deputacji biskup poznański Szoldrki oświadczył, że nie kto inny, jeno sam król przystąpił do zbrojeń



Władysław IV, według Hondiusa.





z obawy o bezpieczeństwo kraju, że gotów jest jednak wojsko rozpuścić, byle sejm sam obmyślił skuteczną obronę Rzeczypospolitej i pokrył poniesione koszta.

Wtedy izba poselska zażądała z wielką stanowczością, by uniwersały, rozpuszczające wojsko, natychmiast zostały wydane.

Król spełnił żądanie, ale zawiadomił sekretnie pułkowników i rotmistrzów, by nie zważali na rozesłane im uniwersały.

Gdy wiadomość o tem rozeszła się wśród posłów, w izbie rozpętała się burza. Śród krzyków na króla i jego doradców, poseł Ponętowski zaproponował, by cała izba udała się do prymasa, wzięła go za świadka złamania zaprzysiężonych paktów i odmówiła królowi posłuszeństwa, jako krzywoprzysiężcy. Olbrzymia większość izby przyklaskiwała temu projektowi. Posłów, którzy próbowali bronić króla, obrzucono stekiem wyzwisk i obelg, grożono im pomstą i śmiercią. Śród nieopisanej wrzawy sesja dnia tego została solwowana.

Nazajutrz wzburzenie wzrosło.

Podnieceni posłowie odgrażali się, że jeśli wojsko natychmiast nie zostanie rozpuszczone, to odwołają się do braci szlacheckiej, by z bronią w ręku dokonała tego, czego król spełnić nie chce.

Zanosilo się na jawny bunt i wojnę domową.

Wtedy Władysław zmienił taktykę. Deputację, którą raz jeszcze wysłała do niego izba poselska, zapewnił, że ściśle wykona wszystko, czego naród żąda, by zaś udobruchać izbę, zgodził się nawet na żadaną rozmowę z senatem w jego nieobecności, z zastrzeżeniem, że temat rozmowy stanowić będą jego sprawy, nie zaś sprawy publiczne.

Ostatecznie sejm uchwalił konstytucję, która rozpuszczała zaciągnięte wojsko, a groziła przełożonym nad zaciągami obywatelom karą konfiskaty dóbr i infamją w razie niespełnienia rozkazu. Ponadto dla zabezpieczenia się przed nowymi ze strony króla niespodziankami i dla obmyślenia obrony kraju zdecydowały sejmujące stany zwołać sejm ekstraordynaryjny na dzień 2 maja 1647 r.

Cierpiący i poniżony król zachowywał się w owym czasie spokojnie; konstytucji, która czyniła zeń pośmiewisko, słuchał z uśmiechem i pogodnie oblicze ukazywał posłom. Ale wróciwszy do pałacu, krzyczał wniebogłosy, strasznemi jękami napełniał komnaty, kłął na czem świat stoi swoje cierpienia i doznane od sejmu zniewagi. Przez trzy dni po zakończeniu obrad sejmowych nie mówił nic o swych zamiarach, wreszcie wybuchnął i oświadczył senatorom, że nie może uwolnić ani jednego żołnierza. Struchleli senatorowie, ale widząc gniewne usposobienie Władysława, nie śmieli mu się sprzeciwiać i tylko ubocznemi drogami starali się odwieść go od powziętej decyzji.

Na nic się to nie zdało.

Król tak się zrół i zespolił ze swoim planem, że chyba wraz z życiem myśli o wojnie z Turcją można było z umysłu jego wyrwać. Więc wbrew uchwalonej przez sejm konstytucji zakazał zwijać chorągwie, a po pewnym czasie nawet wznowił zaciąg żołnierzy.

Była to rękawica, ciśnięta urągliwie szlachcie.

Zaraz też w całym kraju podniosła się wrzawa, we wszystkich województwach zaczęły się odbywać naraady. Powszechne oburzenie było tak wielkie, że szlachta zaczęła się zbroić i przygotowywać do rozrzedzenia

królewskiego wojska. Nie zważał na to Władysław. Dopiero gdy pod wpływem wzburzonej opinii sami żołnierze zaczęli opuszczać szeregi, zdecydował się rozpuścić częściowo zwerbowane zaciągi. Ale pomimo piętrzących się przeciwnieństw, nie rozstawał się ze swą ideą, dzień i noc myśląc nad tem, jakby wojnę z Turcją wywołać.

Nie otrzymując odpowiedzi na list swój, wysłany do sułtana jeszcze ze Lwowa, łudził się nadzieją, że Wysoka Porta sama wojnę rozpocznie. By lepiej zamiały Turcji wybadać, rozkazał Ossolińskiemu wysłać do Konstantynopola gońca z listem do wielkiego wezyra. Licząc na znaną drażliwość i wyniosłość polityki tureckiej, spodziewał się, że wezyr odprawi owego gońca z groźbą, albo też rozkaże go uwięzić. Stało się jednak coś, czego niepodobna było przewidzieć. Szlachcie Dzi-bałtowski, którego kanclerz wyprawił, przyjęty został przez wielkiego wezyra z wielką uprzejmością, a nawet przedstawiony sułtanowi. Ale nie dość na tem. Goniec kanclerza przyczynił się do tego, że sam sułtan wysłał swego czausza do króla z listem przyjaznym i pokojowym.

Zawiedziony król stłumił gniew, w jaki go wprowadziła ta niewczesna przyjaźń, odpowiedział przecież na list sułtański uprzejmie, choć stanowczo i ostro dopominał się wypędzenia Tatarów z Budziaku.

Wkrótce potem spotkała króla nowa niespodzianka.

W ślad za czauszem tureckim przekroczyło granice Polski uroczyste poselstwo tatarskie, wioząc listy chana, pełne wyrazów przyjaźni dla króla i Rzeczypospolitej. Chan prosił o zwykłe dary, przyrzekał zresztą niczem niewzruszony pokój.

Wysoka Porta wiedziała dobrze, co się dzieje w Polsce, a nie chcąc w owej chwili wojny, używała najskuteczniejszych środków, by sparaliżować zamiary króla i skompromitować go wobec pokojowo usposobionej szlachty.

Cel został dopięty.

Wieści o obu poselstwach lotem błyskawicy rozeszły się po całym kraju i utwierdziły ogół szlachecki w przekonaniu, że żadne niebezpieczeństwo Polsce nie grozi, że to nie chan i nie sultan wojny z Polską pragną, lecz król prze do wojny z Tatarami i Turcją.

Władysław, zdruzgotany nowem niepowodzeniem, nie przyjął posłów tatarskich, lecz rozkazał zatrzymać ich pod strażą o pięć mil od stolicy i postanowił nie dawać im posłuchania, dopóki położenie się nie wyjaśni.

Na sejmiki wysłał instrukcje, które po staremu przedstawiały grożące Polsce niebezpieczeństwa i wzywały szlachtę, by poleciła swym posłom radzić na sejmie walnym o środkach obrony. Z rozkazu króla i hetman Potocki rozesłał list okólny, w którym prosił obywateli, by przez wzgląd na dobro ojczyzny nie spuszczaali się na niepewny pokój i szczupłe wojsko kwarciane, lecz taką obmyślili obronę, „któraby do bezpieczeństwa Rzeczypospolitej i odparcia wrogów wystarczyć mogła”.

Zarówno instrukcja królewska, jak okólnik hetmański sarkaniem i hałasami powitały sejmiki. Szlachta żądała, by król wysłał do sultana wielkiego posła dla utwierdzenia pokojowych z Turcją stosunków, a chanowi nie odmawiał upominków, byle ten dał zapewnienie, że ziem polskich najeżdżać nie będzie.

W dniu 2 maja 1647 r. rozpoczął się sejm trzyniedzielny, a wszystko zapowiadało, że przebieg jego będzie bardzo burzliwy. Posłowie przyjechali z postanowieniem, by wszelką myśl o wojnie doszczętnie wyplenić i złamać ostatecznie nieugiętego w swem dążeniu króla.

Stało się przecież inaczej, chociaż początek obrad nie dobrego nie wróżył Władysławowi.

W mowie od tronu kanclerz Ossoliński wypowiedział się przeciw płaceniu haniebných upominków Tatarom i za zawarciem ligi z Moskwą, czego gorąco car pragnął. Poza tem wyraził ubolewanie z powodu kłamliwych wieści, szerzonych przeciw królowi, wreszcie zapowiedział przybycie hetmana, który pragnie przestrzec sejmujące stany o grożących Rzeczypospolitej niebezpieczeństwach.

Ossolińskiemu odpowiedział pierwszy biskup kujawski Gniewosz, śmiało, ostro, lecz poważnie krytykując króla i wyrzucając mu jego wojenne zamiary, żywione wbrew woli całego narodu.

Urażony Władysław z zasepionem czołem powstał i opuścił izbę, a potem wszystkim senatorom czynił z powodu tej mowy gorzkie wyrzuty.

Zkolei zakłóciły sejm sprawy religijne i wielkie roznamietnienie wywołały tak wśród katolików, których przywódcy chcieli różnowiercom odebrać swobody, z jakich ci korzystali, jako też wśród różnowierców brońących swych spraw z ogromnem rozdrażnieniem. Później wystąpili ze swemi pretensjami schizmatycy. Na tych kłótniach upłynął niemal cały czas, przeznaczony na obrady. Dopiero pod sam koniec sejmury przy-stąpiono do odczytywania konstytucyj, których zgłoszono

aż 134. Czytanie odbywało się wśród niesłychanego chaosu, wśród hałasów, krzyków i w nadzwyczajnym pośpiechu. Otóż w tem zamieszaniu uchwalono również konstytucję „o zatrzymaniu wojska kwarcianego” w myśl skryptu, złożonego do archiwum w r. 1643. A konstytucja ta pozwalała królowi po porozumieniu się z hetmanami i kanclerzami przygotowywać się do obrony w razie niebezpieczeństwa, grożącego krajowi ze strony nieprzyjrzanych sąsiadów i użycia wojska bez odwołania się do stanów.

W ten sposób, wbrew wszelkim przewidywaniom, sejm oddawał w ręce króla oręż, który mu sejm poprzedni wytrącił.

Władysław wielce był ucieszony takim obrotem sprawy: teraz już legalnie mógł przygotowywać się do wojny obronnej, a już od niego zależało, by wojnę obronną zamienić w zaczepną.

Z tą intencją udzielił wreszcie audjencji posłowi tatarskiemu.

Dnia 20 czerwca 1647 roku w sali tronowej na zamku w obecności rady senatu odbyła się ta uroczystość.

Posel, zbliżywszy się przed oblicze króla, klęknął i czołem uderzył o ziemię, poczem powstał i przez tłumacza odprawował swe poselstwo, wyrażając wkońcu prośbę swego pana o upominki. Odpowiedziano mu, że chan upominków nie otrzyma i że na pismo chańskie król odpowiadać nie będzie. Skonfundowany Tatar prosił, by dozwolono mu pożegnać króla i ucałować jego rękę. I tego mu odmówiono. Musiał poprzestać na trzykrotnem uderzeniu czołem i ucałowaniu rąbka szaty królewskiej.

Obrażony doznaniem przyjęciem, poseł chana zaraz po skończeniu ceremonji oświadczył bez ogródki, że takie posłuchanie uważa za wypowiedzenie wojny. Pogroził nawet, że przy pomocy sułtana chan sam w Warszawie się zjawi, by odebrać swoją należność. Na to odpowiedzieli Polacy, że niech tylko przyjedzie, a będzie przyjęty, jak należy.

Obraziwszy chana, posunął się król dalej i wysłał do Moskwy kasztelana kijowskiego Kisiela dla omówienia sprawy wspólnego działania przeciw Tatarom. Zaraz też podjął dalsze przygotowania wojenne, ale postępował tym razem z wielką ostrożnością, by nie zbudzić przedwcześnie czujności podejrzliwej szlachty.

W owym czasie Wenecja rozpoczęła wojnę lądową w Dalmacji, obaj gospodarowie zaczęli zbroić się gorączkowo, Francja obiecała królowi przysłać na wojnę z Turcją zaraz po zawarciu pokoju w Niemczech wojska posiłkowe, a w Warszawie zjawił się wysłaniec z Grecji misjonarz Piotr Parcewicz i w największej tajemnicy odwiedzając króla, zapewniał go, że skoro tylko ruszy przeciw Turkom, cała Bułgarja natychmiast powstanie i w 40.000 zbrojnych ludzi przyjdzie mu z pomocą. Poseł ten, starzec z olbrzymią siwą brodą, opatrzone pełnomocnictwami sprzysiężonych przeciw Turcji Bułgarów, ofiarowywał Władysławowi koronę bułgarską i opowiadaniem swemi rozpląmieniem jego wyobraźnię. Przybyli także do Polski posłowie od cesarza marokańskiego i patriarchy z Konstantynopola, a obaj gorąco wzywali Władysława do wojny z Turkami.

A hetman Potocki trzymał w pogotowiu bojowym wojsko i czuwał nad przygotowaniem czajek kozackich,

mających wraz z rozpoczęciem kroków wojennych na lądzie wypłynąć na Czarne morze i płomień wojny przenieść na posiadłości tureckie.

Król był najlepszej myśli.

Zdawać się mogło istotnie, że, pomimo popełnionych błędów, jego nieugięta wytrwałość zbliża go nareszcie do celu. Odżyły w nim z niewypowiedzianą mocą marzenia o wielkiej roli dziejowej, do której zdawna czuł się powołanym i znowu zaświeciła mu nieśmiertelna sława pogromcy Tureji, wskrzesiciela potęgi Rzeczypospolitej, obrońcy całego chrześcijaństwa i oswobodziciela nieszczęśliwych ludów, dźwigających od wieków jarzmo sułtańskie. Król ożywił się, odmłodził, czuł w sobie napływ świeżych sił i wolę zwyciężyć.

Śród tych radosnych uczuć i świetlanych nadziei ugodził we Władysława cios nieoczekiwany: dnia 9 sierpnia 1647 r., po trzech tygodniach choroby, zmarł jedyny jego syn, ośmioletni Zygmunt Kazimierz, największe ukochanie życia, ostatnia nadzieja i pociecha śród zawodów panowania i cierpień zbliżającej się starości. Król przez dwa dni płakał, nie chcąc przyjmować żadnych pokarmów i w ciągu całego miesiąca jeszcze nie mógł utulić swojego żalu.

Po śmierci ukochanego syna wszystko, co łączyło Władysława z życiem i światem, był to ów plan wojny z Turcją, tak potężnie tkwiący w jego umyśle i sercu, że zwyciężył żalłość zrozpaczonego ojca i zbudził w nim na nowo przygłuszoną wrażeniem poniesionej straty energję.

Władysław otrząsnął się z bólu i dalej prowadził swe dzieło.

Na początku 1648 r. był pewien pomocy zagranicy, współdziałania obu gospodarów, wybuchu powstań na ziemiach przez Turcję ujarzmionych, miał czekające rozkazów wojsko, a ożywiony był płomiennym zapalem i niezłomną wiarą we własne swe siły.

Jedna tylko troska zasępiała chwilami czoło Władysława. Troskę tę wywoływały nadchodzące z Zaporozża i Ukrainy wieści, świadczące, że wśród ludności miejscowej wzmaga się niebezpieczne wrzenie. Ale król taką wśród Kozaków cieszył się powagą i taką posiadał miłość, iż nie wątpił na chwilę, że stłumi rosnące wśród nich niezadowolenie i te siły, niezbędne dla urzeczywistnienia swoich zamysłów, skupi pod swoją buławą.

VIII

WYBUCH BUNTU KOZACKIEGO.

ŚMIERĆ WŁADYSŁAWA

Ze wszystkich królów polskich Władysław IV był najpopularniejszym wśród Kozaków królem. Już za lat młodości, w czasie swej pierwszej na Moskwę wyprawy, zjednał sobie ich wodza Konaszewicza Sahajdaczego i podbił serca młojców. Potem w oblężonym przez Turków Chocimiu przyczynił się swoim wpływem do zażegnania buntu kozackiego i odwrócenia katastrofy, którą ten bunt groził oblężonym. A śnać pozostawił jak najlepszą po sobie wśród Kozaków pamięć, skoro pod mury Smoleńska potrafił ściągnąć liczne pułki kozackie i korzystać w wojnie z Moskwą z ich wiernej służby, męstwa i brawury.

Ludzki, sprawiedliwy, broniący przed gwałtem i uciskiem chłopów, tolerancyjny względem innych wyznań, a mający wielkie zasługi przy zażegnaniu burzy religijnej w Polsce, król Władysław był jakby powołany do tego, by bujny, niespokojny i wojowniczy żywioł kozacki przywiązać na zawsze do Rzeczypospolitej.

Ale panowie, którzy posiadali na Ukrainie olbrzymie dobra dziedziczne, zdawna niechętnem okiem spoglądali na Kozaków i niesfornej ludności miejscowej ciężko dawali się we znaki. Korzystając ze swej przewagi, zmuszali ją do przymusowej robocizny, do sprzedawania za narzuconą zgóry cenę zboża, miodu, ryb i zwierzyny, gnębili podatkami, słowem, nakładali ciężary, które przyjmowane były z największem wzburzeniem.

W r. 1635 sejm, na skutek zawartego z Turcją pokoju, postanowił dla wstrzymania wypraw morskich Kozaków na posiadłości sułtańskie, wznieść mocną warownię w pobliżu siedlisk kozackich na Zaporozu, w miejscu przez hetmana wybranem. W myśl tego Koniecpolski zaczął budować nad Dnieprem przy ujściu rzeki Samary warowną twierdzę, nazwaną Kudakiem. Twierdza ta miała strzec ruchu na Dnieprze i nie dopuszczać do wypadów czajkami na Czarne morze.

Widok wznoszącej się twierdzy do rozpaczcy doprowadził Kozaków.

Jeden z najzuchwalszych wodzów kozackich, głośny ze swoich wypraw morskich Sulima, skrzyknął oddanych mu mołojców, wpadł niespodziewanie do twierdzy, słabą załogę, wynoszącą 200 ludzi piechoty, wyciął w pień, komendanta twierdzy Mariona wbił na pał, zburzył mury fortecy, zasypał fosy i rozkopał wały. Na wieść o tem cała Kozaczyzna podniosła głowę i w wielu miejscowościach wybuchły bunt. Ale zjawienie się na Ukrainie hetmana Koniecpolskiego przeraziło Kozaków. Pochwycili oni Sulimę, Pawluka i kilku innych przywódców i wydali ich w ręce hetmana. Sejm grudniowy 1635 r. skazał Sulimę na śmierć. Pomimo wsta-

wiennictwa króla, który chciał buntownikowi okazać wspałałomyślność, Sulimę ścięto i ćwiartowano. Ocalał jednak Pawluk i jego towarzysze. Kudak odbudowano. Ale w r. 1637 bunt wybuch na nowo, tym razem pod wodzą ocalałego Pawluka, który mianował się hetmanem jego król. mości na Zaporozu. Cała Wiśniowieczyna stanęła w morzu płomieni. Potworzyło się mnóstwo band chłopskich, które rabowały dwory i na pochwycanej szlachcie srogą wywierały zemstę. Przeciw Pawlukowi wyruszył na rozkaz Koniecpolskiego hetman polny Potocki, odniósł nad Kozakami zwycięstwo w krwawej bitwie, stoczonej 16 grudnia 1637 r. pod Kumejkami, a następnie obległ Pawluka pod Borowicą. I tym razem przestraszeni Kozacy wydali swego wodza wraz ze starszyzną. Potocki okrutnie się pomścił nad zwyciężonymi, gdyż 400 jeńców kozackich rozkazał wbić na pał, a Pawluka i kilku jego pomocników odesłał w kajdanach do rozporządzenia sejmu. Zkolei rozgromił grasujące bandy i chwilowo przywrócił w zbuntowanym kraju spokój. Ale nie zażegnał niebezpieczeństwa: Ukraina w dalszym ciągu znajdowała się w stanie wrzenia.

Sejm marcowy 1638 roku, niwecząc politykę króla w stosunku do Kozaków, chwycił się, jak wiadomo, najgwałtowniejszych środków, by raz na zawsze kres buntom położyć.

Uchwała tego sejmu odbierała Kozakom „wszelkie ich dawne jurysdykce, starszeństwa, prerogatywy, dochody”, chcąc mieć „tych, których los wojny żywych zachował, za w chłopy obrócone pospółstwo”. Liczbę rejestrowych zmniejszono do 6.000 i oddano pod władzę wyznaczonego przez Rzeczpospolitą komisarza. Puł-

kownikami mogła być odtąd wyłącznie szlachta, a jedynie atamanów i setników mieli prawo wybierać zpośród siebie Kozacy.

Uchwała tego sejmku, zapędzając kilkadziesiąt tysięcy wolnych rodzin kozackich w jarzmo ciężkiego poddaństwa i z wolnych ludzi czyniąc uciskanych chłopów, stanowiła dowód niesłychanego krótkowidztwa szlachty. Odpowiedzią na tę uchwałę był wybuch nowego buntu na wiosnę 1638 r. pod wodzą Ostranicy. Wprawdzie i tym razem bunt krwawo stłumiono, a następnie przystąpiono do wykonania uchwały sejmowej—i Kozaków, nie należących do rejestru, gwałtem czyniono chłopami. Wielu zasłużonych żołnierzy, ludzi, rozkochanych w swobodzie, musiało spełniać wszystkie posługi pospolu z ujarzmionym ludem. A był to żywioł niespokojny, wojowniczy, nie mogący pogodzić się ze swem upośledzeniem. Ci żołnierze oddziaływali podniecająco na skorą do rozruchów ludność, przenikali ją nienawiścią do panów i szlachty, a czekali tylko hasła, by porwać się do broni i zrzucić nienawistne jarzmo.

Tak trwało lat kilka.

W okresie tym niesłychanie powiększyli swe dobra ukraińscy magnaci: Wiśniowieccy, Potoccy, Koniecpolscy, Kalinowscy, wielkich fortun dorabiała się szlachta. A wraz ze wzrostem fortun rósł ucisk i pogłębiała się nienawiść wzajemna. Śród starszyny kozackiej zaczęto obradować nad wyzwoleniem się z pod przemocy znienawidzonych Lachów. Doświadczenie uczyło, że dotychczasowe powstania po krótkotrwałych powodzeniach kończyły się zawsze klęskami i srogim odwetem zwycięzców. Więc oglądano się za obcą pomocą. W ten sposób nawiązano stosunki z Tatarami. Hetman Koniec-

polski, jak już wiadomo, uprzedzał w swoim czasie króla o tych konszachtach i zaniepokoił go wielce możliwością sojuszu kozacko-tatarskiego.

Wtedy to Władysław postanowił porozumieć się bezpośrednio ze starszyzną kozacką. W kwietniu 1646 r. przyjął czterech wybitnych przedstawicieli Kozaczyzny, dał im przywileje, opatrzone swą pokojową pieczęcią i pieniądze na budowę czajek, a nadto zachęcał ich do czynienia na wojnę z Turcją zaciągów.

Inny wiatr powiał na Ukrainie. Kozacy, spodziewając się, że zaciągnięci będą w liczbie 100.000, wszędzie zaczęli się zbroić. Wierząc, że mają za sobą króla, byli pewni, że kończy się ich niewola. Ku przerażeniu magnatów i osiadłej tam szlachty cała Ukraina podniosła głowę. Lecz sejm 1646 r., wypowiedziawszy się przeciw wojnie i zmusiwszy Władysława do pozornego wyrzeczenia się planów wojennych, zmienił postać rzeczy. Rozczarowali się Kozacy, a szlachta z tem większą surowością zwróciła się przeciw swoim poddanym. Nowa fala ucisku i wślad za nią nowa fala niezadowolenia rozlała się po Ukrainie.

Bohdan Chmielnicki, który, sprawując urząd pisarza, czuwał nad zaciągami i zdobył sobie wielkie wśród Kozaków wpływy, skompromitowany obecnie w ich oczach, udał się na wiosnę 1647 r. do Warszawy, by przedstawić królowi skargi na panów i upomnieć się o sprawiedliwość z powodu gwałtu, jakiego sam padł ofiarą. Oto podstarości czehryński, Daniel Czapliński, ufny w mozną opiekę Aleksandra Koniecpolskiego, zagarnął przemocą Chmielnickiemu jego majątność, skatował jego syna i porwał mu ukochaną kobietę.

Król przyjął sekretnie Chmielnickiego, wysłuchał jego żalów i wysłał list do Koniecpolskiego, upominając się za pokrzywdzonym kozactwem. Żądając w swym liście poskromienia urzędników, którzy dopuszczają się gwałtów, dodawał Władysław, że Kozacy dobrze się zasługują ojezyźnie. Świadczy to, że ufał im i nie podejrzewał jeszcze ich wierności.

Chmielnickiego starał się ująć. Wyraził mu swoje współczucie, podarował przy pożegnaniu szablę, a gdy ten wspomniał swą własną krzywdę, miał się wyrazić:

— „Jesteś żołnierzem. Jeśli Czapliński ma przyjać ci, i ty ich mieć możesz. Broń się, nie daj się!”

Według innej wersji, Władysław powiedział:

— „Głupi, a czy to nie masz szabli przy boku!”

Chmielnicki powrócił na Ukrainę i w otoczeniu swoim rozpowszechniał mniemanie, że król jest w niewoli u panów i szlachty, że sam przez się nie może dla Kozaków uczynić, aczkolwiek im sprzyja i zachęca ich nawet do obrony swojej wolności. W gruncie rzeczy Chmielnicki widział bezsilność króla i nie wierzył w urzeczywistnienie planu wojny z Turcją. Ale pobyt w Warszawie i zaniesiona do króla w imieniu całej Kozaczyzny skarga podniosła jego urok i powagę. W oczach Kozaków urastał on na ich wodza i mściciela. Ostrożny i nad wszelki wyraz chytry, obdarzony wielkim rozumem i talentem politycznym, ambitny bez granic, dyszący nienawiścią i zemstą, przejmował się swoją rolą i myślał o wyzwoleniu Ukrainy z pod panowania polskiego. Widząc wszędzie gotowość zbrojną, czekał odpowiedniej chwili, by podnieść sztandar buntu i pozyskać pomoc Tatarów w wojnie z Rzeczpospolitą.

Tymczasem Władysław, otrzymując wiadomości o wrzeniu na całej Ukrainie, postanowił ukrócić wzmagający się tam ucisk, uspokoić wzburzoną ludność, a temperament i energję Kozaków wyładować w wyprawie morskiej na posiadłości tureckie. Dla układów z Kozakami, przerwania ich konszachtów z Krymem i zbadania istniejącego stanu rzeczy, wysłał król na Ukrainę Ossolińskiego.

Kancelarz wyjechał w sierpniu 1647 r. pod pozorem zwiedzenia swoich majątności i lustracji fortec ukraińskich. W myśl planu króla starał się on pobudzić Kozaków do wypadu na Czarne morze, dowodząc im, że wyprawa taka leży w interesie Rzeczypospolitej i że skutków takiego przedsięwzięcia nie potrzebują się lękać. Traktował w tej sprawie z Chmielnickim, a widząc, jaką ten stał się potęgą, ofiarował mu imieniem króla buławę i godność hetmana kozackiego. Lecz Chmielnicki, knujący już spisek przeciw Polsce, nie chciał się kompromitować przyjęciem urzędu z rąk króla polskiego. Podziękował więc uniżenie za okazane mu względy, upewniając zresztą kancelarza o swej gotowości słuchania we wszystkim rozkazów króla. Godził się również na wyprawę morską, twierdził tylko, że sprawa ta wymaga długich przygotowań i poważnych nakładów.

Chytry Kozak wyprowadził w pole wielkiego statystę, jakim był kancelarz Ossoliński.

Król również nie przeczuwał zdrady, a pod koniec 1647 r. zaszły wypadki, które utwierdziły go w przekonaniu, że wybuch wojny z Tatarami i Turcją jest bliski.

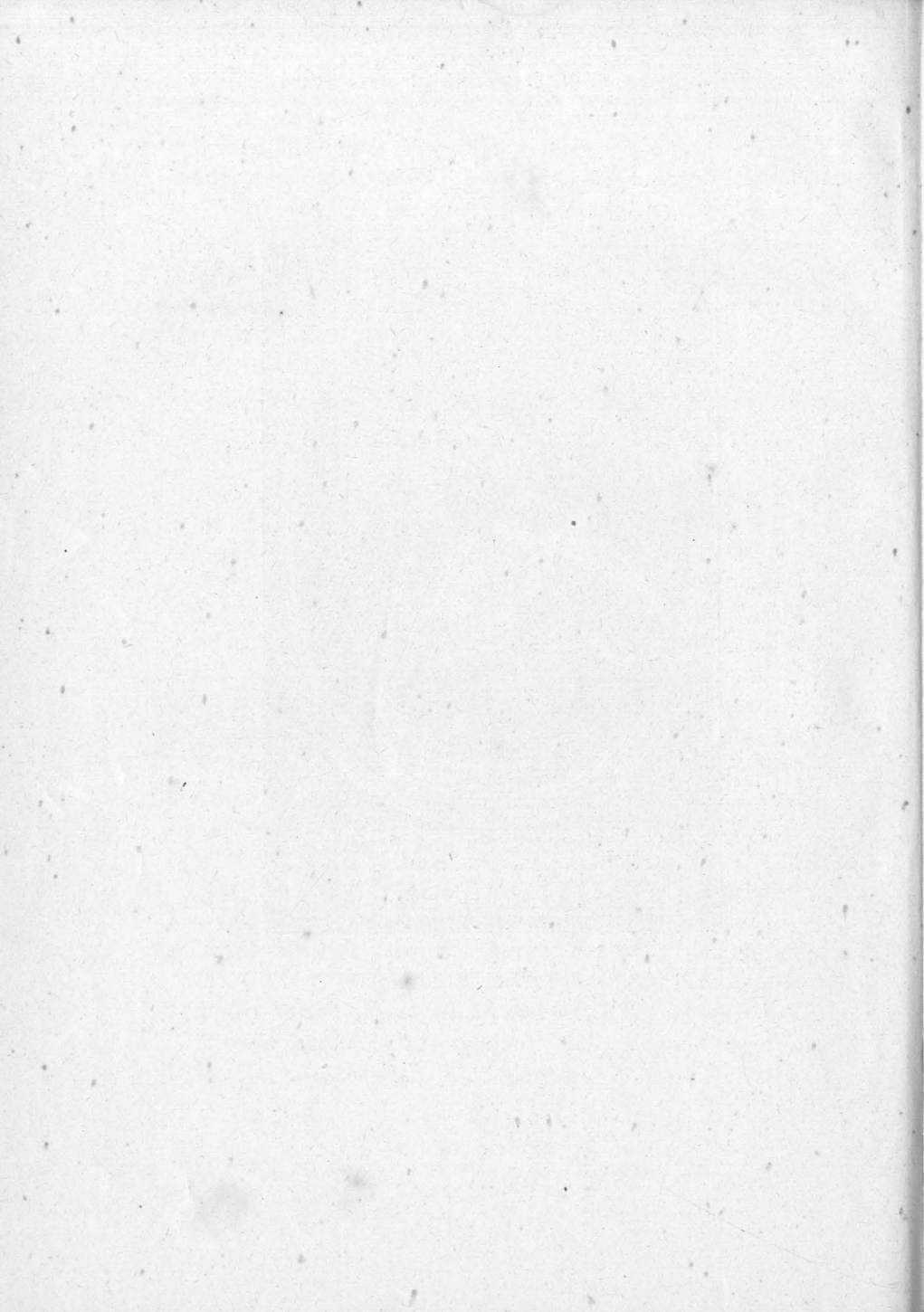
Dwaj magnaci, posiadający olbrzymie dobra na Ukrainie, Aleksander Koniecpolski i Jeremi Wiśnio-



BOHDAN CHMIELNICKI EXERCITUS
ZAPOROVIIEN PRÆFECTUS BELLI SERVILIS AUTOR
REBELLIIUMQ COSACCORUM ET PLEBIS UKRAÏNEN
DUX.

sculpsit Nicolaus Weyss, Barileus. CRM. Chalcographus Lipsien. Cuius typis S. S. M. Gledius. Ac. CI. L. LX. C.

Bohdan Chmielnicki, według Hondiusa.



wiecki przedsięwzięli każdy na własną rękę, a zapewne nie bez zachęty ze strony Władysława wielkie wyprawy przeciw Tatarom. Koniecpolski na czele 4.000 zbrojnych ludzi zapuścił się aż pod Oczaków i ze znacznemi łupami wrócił na Ukrainę. Wiśniowiecki wyprowadził w pole siły, dochodzące 26.000, zbliżył się do Zaporozża, a stamtąd część wojska wysłał ku Perekopowi.

Zkolei chan podjął wielkie przygotowania wojenne, a do sułtana wysłał posła, by w Konstantynopolu wyjednał zgodę na rozpoczęcie wojny z Rzeczpospolitą.

Chwilę tę uznał Chmielnicki za odpowiednią do wykonania swojego zamysłu. Zaczął więc porozumiewać się z Tatarami i przygotowywać wybuch powstania. Pomimo wielkiej ostrożności, jaką zachowywał, działalność jego zwróciła uwagę władz i osobistych jego nieprzyjaciół. Przedsięwzięto starania, aby go zdemaskować, zastawiano nań sidła, usiłowano go nawet zgładzić tajemnie ze świata. Lecz chytry spiskowiec wymykał się szczęśliwie z urządzanych na niego zasadzek, wreszcie uciekł na Niż i z kryjówki swojej kierował przygotowaniem do wzniecenia buntu.

Władysław, otrzymawszy wiadomość o ucieczce Chmielnickiego, zaniepokoił się tym wypadkiem, ale nie doceniał jeszcze rozmiarów niebezpieczeństwa. Wierząc w możliwość uspokojenia Kozaków, polecił Ossolińskiemu wysłać komisję dla zbadania ich krzywd oraz wypłacić wojsku kozackiemu żołd od lat kilku zaległy. Jednocześnie w oczekiwaniu najścia Tatarów rozkazał Potockiemu przygotować wszystko do wojny, a od możnych panów zażądał, by z pocztami swemi ruszyli ku wskazanym im punktom między Białą Cerkwią

a Winnicą. Moskwę wezwał, by, stosownie do zawartej umowy, pośpieszyła z pomocą.

W styczniu 1648 r. znaczne siły tatarskie zbliżyły się ku granicom Rzeczypospolitej, ale otrzymawszy wiadomość o wielkiem wojsku polskiem, przygotowanym na ich spotkanie, wstrzymały się w pochodzie i ruszyły w drogę powrotną. Wtedy hetman i przybyli na wezwanie króla panowie rozpuścili około 30.000 rycerstwa.

Wojna z Tatarami odroczonej została do wiosny, nie wątpiono bowiem, że gdy trawa puści, chan ze wszystkimi ordami ruszy znowu ku Polsce.

Ale Chmielnicki, nie przewidując cofnięcia się Tatarów, uderzył na oddział wojsk polskich, stojących na Zaporozu, i zadał im dotkliwą porażkę. Na wieść o tem osiadła na Ukrainie szlachta podniosła wielki alarm, zaczęła domagać się od hetmanów załogi lub też opuszczać swe majątności i szukać schronienia w obozie. Tu i ówdzie zaczynały się już rozruchy, a wzdłuż i wszerz Ukrainy przeszedł dreszcz wzburzenia.

Hetman Potocki ruszył w głąb kraju z wojskiem kwarcianem, zaczął obsadzać załogami zamki i miasta, zawezwał szlachtę do rozbijania chłopów, a przeciw garnącym się do Chmielnickiego zbiegom wydał uniwersał, grożący srogą zemstą na pozostałych w domu rodzinach. Nie poprzestając na tem, postanowił rozprawić się z Chmielnickim, nim ten zbierze znaczniejsze siły. Chcąc osaczyć buntownika, rozdzielił swe wojsko. 4.000 ludzi pod dowództwem Barabasza wysłał na bajdakach Dnieprem, 2.000 pod wodzą syna swego Stefana—stepami, a sam na czele 5.000 posunął się ku okolicom Czehrynia.

Król Władysław przebywał w owym czasie na Litwie. Był dobrej myśli i w pogodnym usposobieniu. Pewność, że wojna z Tatarami, a następnie wojna z Turcją jest nieunikniona, podtrzymywała jego energję, zapal i wiarę we własne siły. Dopiero list hetmana Potockiego, otrzymany w Wilnie w początkach kwietnia 1648 r., otworzył mu oczy na wielkie niebezpieczeństwo i spłoszył z jego czoła pogodę. Wierząc niezłomnie, że zręczne traktowanie z Kozakami może zapobiec buntowi, był wielce niezadowolony z postępowania Potockiego i jego surowych zarządzeń. Rozkazał więc hetmanowi nie posuwać się w głąb Ukrainy, nie dopuszczać do przelewu krwi, natomiast podjąć wszelkie starania, by doprowadzić do skutku morską wyprawę Kozaków.

Ale nim list króla doszedł rąk hetmańskich, już było za późno. Chmielnicki połączył się z przysłanymi mu na pomoc przez chana Tatarami pod wodzą Tohaj-beja i ruszył przeciw Polakom.

Władysław, nie przeczuwając nieszczęścia, postanowił udać się na Ukrainę i objąć komendę nad wojskiem. Nie wątpił, że samą swą obecnością uspokoi wrzenie ludności i przywiedzie do upamiętania darzących go wielkiem zaufaniem Kozaków. Był również pewien, że na wieść o jego przybyciu do wojska poruszy się szlachta, możni panowie przyprowadzą mu swe nadworne hufce i pomogą do stworzenia siły, pozwalającej na rozgromienie Tatarów i rozpoczęcie wojny z Turcją.

Ożywiony wielkimi zamiarami, trawiony gorączką czynu, w końcu kwietnia 1648 roku wyjechał z Wilna i śpieszył do Warszawy, by stamtąd, po załatwieniu spraw najpilniejszych, pociągnąć na Ukrainę. W dro-

dzie zachorowała królowa, skutkiem czego wypadło zatrzymać się w Trokach. Zkolei, również z powodu pogorszenia się stanu zdrowia Ludwiki Marji, przerwano podróż w Mereczu.

Władysław, korzystając z tej przerwy, wyjechał na łowy i cały dzień od świtu do zachodu słońca spędził na świeżem powietrzu. Przejeżdżając z miejsca na miejsce, a niezadowolony z woźnicy, który po przebywanych wertepach i manowcach jechał zbyt wolno, król sam pochwycił lejce i pędził w cwał, nie zważając na gwałtowne wstrząśnienia i niebezpieczeństwa szalonej jazdy. Po powrocie do Merecza uczuł się bardzo osłabionym. W nocy pochwyciły go bóle i trwały aż do rana. W ciągu dnia przyszedł do siebie i czuł się już tak dobrze, że rozkazał otoczeniu szykować się do łowów na dzień następny. Lecz w nocy powróciły cierpienia i wzmagaly się nieustannie. Lekarstwo, zażyte na zlecenie nadwornego medyka, a następnie puszczenie krwi nie pomogło. Wzrosła gorączka, król wpadł w malignę.

Dnia 19 maja Władysław odzyskał przytomność, ale stan jego był już bardzo groźny.

Podkanclerzy litewski Kazimierz Leon Sapieha, zapytany przez króla, co by sądził o jego chorobie, nie tał prawdy.

Król wzruszył się bardzo, rozkazał przynieść dawniej sporządzony testament i załatwić formalności, dotyczące ostatniej jego woli. Następnie przywołał nadwornego spowiednika, jezuitę Szenhofa, spowiadał się i komunikował, poczem wpadł w zupełną niemoc i leżał w bezwładzie.

Dnia 20 maja 1648 r. o g. 2 po północy zakończył swe życie.

Umarł, nie doczekawszy się wieści o wybuchu wojny, którą sprzymierzony z Tatarami Chmielnicki rozpalił już na południu Rzeczypospolitej. Był jedynym człowiekiem, mogącym, według zgodnej opinii narodu, ugasić szalejący pożar i zażegnać najstraszliwszą burzę, jaka kiedykolwiek nawiedziła Polskę. To też na wieść o pierwszych klęskach wojsk polskich cały kraj ku niemu zwrócił swe oczy i cały kraj z największem przerażeniem dowiedział się o jego zgonie. Nigdy król Władysław nie był potrzebniejszy ojczyźnie, jak w owej właśnie chwili, kiedy w krwawym odbłasku łuny wojennej śmierć porywała go ze świata.

Z A K O Ń C Z E N I E

Panowanie Władysława IV, po zakończeniu wojny z Moskwą, rozpoczętej jeszcze przed elekcją, upłynęło w spokoju. Losy chciały, że jeden z najbardziej wojowniczych królów polskich musiał poprzestawać na układaniu planów wojennych i ich wyrzekaniu się w decydującej chwili. Z trzech Wazów, którzy zasiadali na tronie polskim, jeden Władysław posiadał wykształcenie wojskowe, wielki talent wodza, zapal, wytrwałość i męstwo. Zarówno pozbawiony animuszu wojennego Zygmunt III, jak odważny żołnierz, lecz nieszczęśliwy wojownik Jan Kazimierz traktowali wojnę, jako zło konieczne, a nie mieli od niej wytchnienia. Natomiast Władysław, który od zarania życia marzył o sławie i wielkości, zdobywanej na polach bitew, zmuszony był wbrew swej woli nie mieczem, lecz układami kończyć dumne zamierzenia. A zaledwie zamknął powieki, w całej Rzeczypospolitej rozległ się szcęk oręża i najstraszliwsza burza wojenna rozszalała na ziemiach polskich.

Jako wódz pozostawił po sobie Władysław sławę wiekopomnego nad Moskwą zwycięstwa i ulepszenia

w organizacji sił zbrojnych. Za jego czasów komisarze sejmowi, dodawani do boku naczelnym wodzom, zostali ograniczeni w swych prawach na rzecz króla i hetmanów, a nowe artykuły w prawodawstwie wojskowem wprowadziły do szeregów dyscyplinę, rozluźnioną wielce za panowania Zygmunta III. Zamiłowany artylerzysta i znawca sztuki fortyfikacyjnej, sprowadzał król do Polski biegłych inżynierów z Holandji, Włoch i Francji, budował nowe arsenały, a dowództwo nad artylerją powierzał takim w sztuce swej mistrzom, jak Paweł Grodzicki lub Krzysztof Arciszewski, słynny pogromca Hiszpanów w Brazylii i wielkorządca tego kraju z ramienia Holandji.

Władysław IV, podobnie jak Batory, nie chciał być królem malowanym. Przed oczyma zawsze miał dalekie i ambitne cele, a w dążeniu do nich odznaczał się niezwykłą wytrwałością. Pomimo to panowanie jego było nieprzerwanem pasmem zawodów i rozczarowań. Czego się tknął, to kończyło się niepowodzeniem, o czemkolwiek zamarzył, to obracało się wniwecz. Nie otrzymał, pomimo zwycięstwa nad Moskwą, korony carskiej, zawiódł go tron szwedzki, nie udało mu się zdobyć silnego stanowiska w Niemczech i nie dopisała korona cesarska. Pożądany sojusznik zarówno w oczach Francji, jak cesarza, sam nie miał za granicą wiernego sprzymierzeńca. Nie mogąc skłonić Rzeczypospolitej do wojny, rzucił ideę powszechnego w Europie pokoju, by drogą układów usadowić się w Szwecji. Do pokoju doprowadzić nie zdołał, ale zmuszony był patrzeć, jak szalejąca na zachodzie burza zatrzymuje się u granic Polski. Gromy, wstrząsające światem, nie zakłócały snu magnatów i szlachty, nie budziły w narodzie energii

i ambicji, by zaważyć na losach Europy. A gdy Władysław przystąpił do realizowania największego ze swoich planów i wyprawą na Turcję pragnął zapoczątkować nową w dziejach polskich erę, dobytą szablę nieustannie wytrącano mu z ręki.

Niepowodzeniom w polityce zewnętrznej towarzyszyły stale niepowodzenia w polityce wewnętrznej. Praca nad utrwaleniem pokoju religijnego nie dała spodziewanych rezultatów: głośny zjazd w Toruniu nie doprowadził do pojednania stron powaśnionych, a nowa unja nie doszła do skutku. Kozaczyzna, z której usiłował uczynić przednią straż Polski w walce z Turcją i Tatarami, w przededniu jego zgonu podniosła sztandar buntu i straszliwe ciosy wymierzyła nie wspólnym nieprzyjaciółom, lecz Rzeczypospolitej.

Ambitny i dumny król musiał znosić upokorzenia od więżącej brata jego Francji, pozostawić bez odpowiedzi napaść króla duńskiego, upokorzyć się przed lekceważącym go Gdańskiem, wreszcie ustępować nieustannie przed wrzawą obrażających godność jego sejmów.

A przecież był człowiekiem światłym, rozumnym i przedsiębiorczym, miał wolę i energję, posiadał dużo osobistych przymiotów, które jednały mu serca, budziły dla jego osoby szacunek i przywiązanie.

Gdzież przyczyny ciągłych klęsk i niepowodzeń?

Twierdzono niejednokrotnie, że Władysław IV, król rycerski, wykształcony i utalentowany, nie posiadał genjuszu Stefana Batorego i dlatego nie umiał pozyskać szlachty dla swoich wielkich zamierzeń. Istotnie Władysław ustępował Batoremu pod niejednym względem. Nie miał stateczności i powagi króla Stefana, nie miał

tej surowości, którą zarówno w stosunku do siebie, jak do swego otoczenia przejawiał jego wielki poprzędek; mógł się z nim mierzyć wykształceniem, ambicją i po-
lotem, ale nie dorównywał mu żelazną konsekwencją
w działaniu. Był porywczy, namiętny, źle obliczał na-
stępstwa przedsięwziętych kroków i nieraz fatalne po-
pełniał omyłki. W dodatku nie znając miary w swojej
szczodrości, lekkomyślnie pozbawiał się środków ma-
terjalnych, bez których najlepiej obmyślane plany czy-
niły go całkowicie zależnym od sejmujących stanów lub
od obcej pomocy.

Ale jest rzeczą wątpliwą, czy ktokolwiek bądź na
miejscu Władysława zdołałby osiągnąć poważniejsze
rezultaty. Polska w dobie jego panowania nie była już
Polską z czasów Batorego. Rozkład wewnętrzny Rze-
czypospolitej pogłębił się za Zygmunta III i poziom
aspiracyj narodowych obniżył się znacznie. Magnaci
coraz bardziej pogrążali się w samolubstwie, a szlachta
w każdym zamierzeniu króla widziała zamach na swo-
je przywileje i swobody.

Zarzucano Władysławowi, że nieraz łamał prawa
i zarzut ten czyniono mu słusznie. Ale praworządność
w owym czasie przestała już być w Rzeczypospolitej
podwaliną życia publicznego. Poseł wenecki Tiepolo,
widząc, co się dzieje w Polsce, powiedział:

— „Polacy byliby straszni światu, gdyby się nau-
czyli porządku i karności”.

Niestety, porządek i karność należały już do prze-
szłości.

Po roku 1634 szlachta cieszyła się długotrwałym
pokojem. Pokój ten pomnożył niesłychanie dostatek
kraju oraz bogactwa w zamkach magnatów i szla-

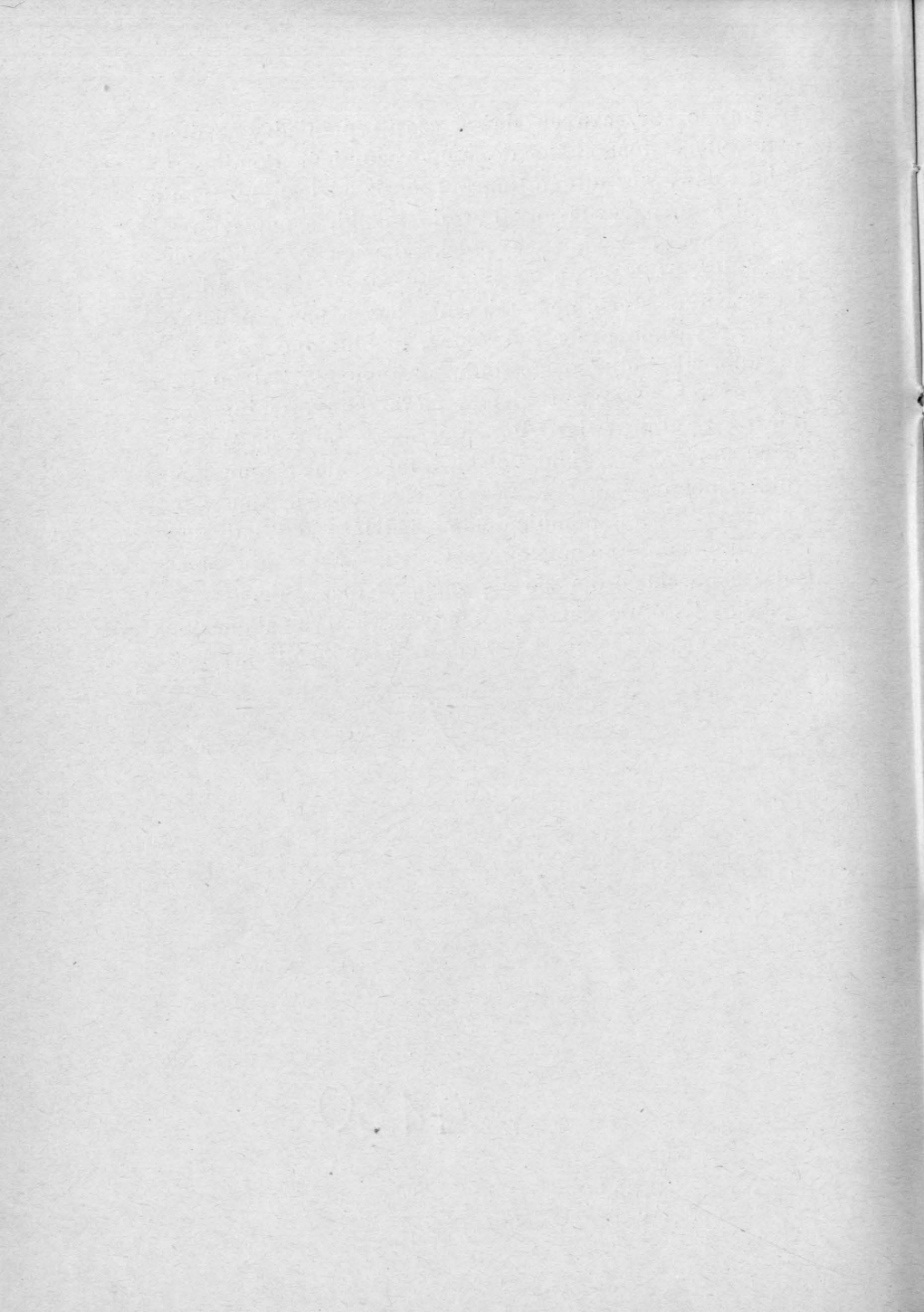
checkich dworach. Używano weczasów, błogosławiąc istniejący stan rzeczy, a zamykając oczy na niebezpieczeństwa, czające się w mrokach przyszłości. Miał idee król, nie miała ich ówczesna Polska. Ucisk mieszczan i chłopów, których ku swej chwale bronił ludzki Władysław, stwarzał coraz większe niebezpieczeństwo szczególnie na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej, a paraliżująca zamiary królewskie, krótkowzroczna polityka szlachecka w stosunku do Kozaczyzny, stała się jedną z przyczyn największej w dziejach narodu katastrofy.

To pewna, że niejeden błąd popełnił Władysław i że jego osobista, dynastyczna polityka nie tkwiła swymi korzeniami w interesach Polski. Ale z polityką tą łączyła się niesłuchanie ważna a doskonale przez króla rozumiana sprawa panowania nad Bałtykiem i posiadanie Inflant, które naród wolał utracić, byle korzystać z owoców długiego pokoju. A potępienie wojowniczych zamiarów Władysława w stosunku do Tatarów i Turcji również nie wypływało z przewidywania i troski o przyszłość, lecz z obojętności i krótkowidztwa politycznego, z niechęci do trudów, poświęceń i ofiar. Władysław nieraz błdził, ale miał skrzydła i orli wzrok, gdy przyziemny ogół szlachecki zasklepiał się w sferze źle pojętych interesów własnych. Piękne a przez długie wieki cechujące naród polski zamiłowanie pokoju i odraza do wojen zaczepnych przerodziły się z biegiem lat w lenistwo umysłu i ducha, które udaremniło wielkie plany Władysława, ale zaraz po jego zgonie przyprawiło Rzeczpospolitą o najstraszniejsze wstrząśnienia i zaprowadziło ją na sam brzeg przepaści.

Na tle sprzecznych dążeń często pomiędzy królem a narodem dochodziło do nieporozumień. Pomimo to Władysław, acz długo marzył o dziedzicznym tronie szwedzkim, przywiązany był do Polski, a ogół zdawał sobie sprawę, że koronę polską dźwiga człowiek niepospolity, że w razie zawieruchy okaże się mądrym i odważnym sternikiem miotanej burzą nawy państwowej. Krzyczano przeciw królowi, ale lubiono go i szanowano, jak żadnego z królów następnych. Żal po jego zgonie był szczerzy i niemal powszechny. Opinia publiczna zgodnie twierdziła, że wraz ze śmiercią Władysława umarło szczęście Polski, a marszałek sejmu konwokacyjnego Bogusław Leszczyński, poświęcając zgąślemu królowi wspomnienie, powiedział, że Władysław po kilkunastoletniem dobroczynnem panowaniu samą tylko śmiercią swoją źle się zasłużył ojczyźnie.

Jakoż istotnie śmierć Władysława IV zakończyła okres sławy, szczęścia i potęgi Rzeczypospolitej.





LITERATURA

Książka niniejsza, należąca do cyklu monografij, w których autor zamierza odtworzyć ważniejsze wydarzenia z dziejów Polski od czasów Batorego do czasów ostatnich, oparta jest, jak poprzednie do tego cyklu należące prace, na źródłowych materiałach, ogłoszonych drukiem i na opracowaniach, panowania Władysława IV dotyczących. Poniżej wykaz literatury, którą autor się posilkował.

I. Stanisł. Kobierzycki: Historia Vladislai Poloniae et Sueciae Principis. Dantisci, A-o 1655. — E. Wassenberg: Gestorum Gloriosissimi ac invictissimi Vladislai IV Poloniae ac Sueciae regis. Gedani 1643. — Paweł Piasecki: Kronika. Kraków 1870. — Albrycht St. X. Radziwiłł: Pamiętniki. W Poznaniu 1839. — Jakób Michałowski: Księga Pamiętnicza. W Krakowie 1864. — Ks. Krzysztof Radziwiłł: Sprawy wojenne i polityczne. Paryż 1859. — Jan Moskorzowski: Diarjusz wojny moskiewskiej 1633 r. Wyd. A. Rembowski. Warszawa 1895. — Stanisław Przyłęcki: Pamiętniki o Koniecpolskich. Lwów 1842. — Er. Rykaczewski: Relacje nuncjusów apostolskich, tom II, Berlin-Poznań, 1864. — Władysława IV, króla polskiego Listy i inne pisma. Zebrał Ambroży Grabowski. Kraków 1845. — Listy Władysława IV do Krzysztofa Radziwiłła ogłosił Ant. Muchliński. Kraków 1876. — Stefan Pac: Obraz dworów europejskich na początku XVII wieku przedstawiony w dzienniku podróżu królewicza Władysława. Wrocław 1854. — Pisma Stanisława Żółkiewskiego wydał A. Bielowski, Lwów

1861. — Portofolio królowej Marji Ludwiki, czyli zbiór aktów, urzędowych listów etc. Wyd. Edw. Raczyńskiego. Poznań 1844. — Wawrzyniec Jan Rudawski: Historia Polska od śmierci Władysława IV, przełożył Wł. Spasowicz. Petersburg i Mohilew, 1855. — J. U. Niemcewicz: Zbiór pamiętników o dawnej Polsce, tomy III i V. Lipsk 1838—1840. — K. Wójcicki: Pamiętniki do panowania Zygmunta III i Władysława IV. Warszawa 1846.

II. Dr. Ludwik Kubala: Jerzy Ossoliński. 2 tomy. We Lwowie 1883. — Ten-że: Król Jan Kazimierz (vide: Szkice historyczne. Lwów 1896). — Dr. Wiktor Czermak: Studja historyczne (Na dworze Władysława IV; Wojna smoleńska z r. 1633—1634 w świetle nowych źródeł). — Ten-że: Plany wojny tureckiej Władysława IV, Kraków 1895. — Ten-że: Z czasów Jana Kazimierza. Lwów 1893. — K. Kwiatkowski: Dzieje narodu polskiego za panowania Władysława IV. Warszawa 1823. — Tadeusz Korzon: Dzieje wojen i wojskowości w Polsce. Tom II. Kraków 1912. — Ksawery Liske: Przyczynki do historii wojny moskiewskiej z lat 1633—35. — Edward Kotłubaj: Odsiecz Smoleńska i pokój polanowski. Dodatek miesięczny do „Czasu”. Kraków 1858. — Karol Szajnocha: Dwa lata dziejów naszych. Warszawa 1877. — Adam Szelański: O ujście Wisły. Warszawa 1905. — Ten-że: Śląsk i Polska wobec powstania czeskiego. We Lwowie 1904. — Ten-że: Rozkład Rzeszy i Polska za panowania Władysława IV. Kraków 1907. — Ten-że: Układy królewicza Władysława z Gustawem Adolfem. Kwart. Historyczny. 1899. — Józef Muczkowski: Wiadomość o Władysławsko-Nowodworskiem Kolegium. W Krakowie 1849. — Bernard Kalicki: Władysław IV królem chłopów. Przegląd Polski, Kraków 1867. — Fr. Rawita Gawroński: Bohdan Chmielnicki. Tom 1-szy. Lwów 1906. — Ks. St. Załęski: Jezuici w Polsce. Tom II. Lwów 1907. — Józef Szujski: Dzieje Polski. Tom III. W Krakowie 1894. — Józef Gustaw Krajewski: Władysław IV. (Historja Polityczna Polski. Część II. W Krakowie 1923).

T R E Ś C

<i>Wstęp</i>	5
<i>I. Młodość Władysława</i>	11
<i>II. Władysław królem</i>	39
<i>III. Wojna z Moskwą i pokój polanowski</i>	67
<i>IV. Wojna z Turcją.—Zabiegi o koronę szwedzką</i> . . .	92
<i>V. Przeciw królowi</i>	121
<i>VI. Stosunki dworskie.—Nowe małżeństwo króla.—Starania o pokój religijny</i>	144
<i>VII. Wielkie plany wojenne Władysława</i>	169
<i>VIII. Wybuch buntu kozackiego.—Śmierć Władysława</i> . .	202
<i>Zakończenie</i>	214

